

MORRIS L. VENDEN

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ LUDZI

Nowe spojrzenie na osobę Chrystusa



Żadna książka nie jest w stanie przedstawić dokładnego portretu Jezusa z Nazaretu. Wiemy jednak, że:

Jego życie było uczciwe i prawe, a to oznaczało, że nikt nie mógł znaleźć w Nim żadnego niedociągnięcia. Jezus kochał zwykłych ludzi, troszczył się o samotnych i niekochanych, identyfikował się z pogardzanymi. Okazywał współczucie chorym i odrzuconym przez społeczeństwo. Swoim postępowaniem przyniósł wolność, szacunek i godność kobietom.

Dawid Watson, angielski duchowny i pisarz

Jego szlachetna postawa, łagodny charakter, a nade wszystko miłość wyrażona wzrokiem i brzmieniem głosu, przyciągały do Niego wszystkich, którzy nie stwardnieli w niewierze. Gdyby słodycz i życzliwość Jego duszy nie przejawiały się w każdym Jego słowie i spojrzeniu, nigdy nie mogłyby przyciągać do siebie takich rzesz.

Ellen G. White, amerykańska pisarka religijna

Jezus przebywał wśród grzeszników, prostytutek, złodziei. Traktował ich jednak z szacunkiem. Współczuł bojaźliwym i zasmuconym, karmił zaś pysznych i polegających tylko na sobie. Nikt nie pozostawał wobec Niego obojętny. Albo Go akceptowano albo po bliższym poznaniu odrzucano.

Morris L. Venden



MORRIS L. VENDEN (1932-2013)

amerykański duchowny chrześcijański, nauczyciel i duszpasterz akademicki, ceniony mówca. Autor ponad 30 książek, z których wiele stało się bestsellerami.

 **Znaki Czasu**
W Y D A W N I C T W O



ISBN 978-83-7295-402-2



9 788372 954022

MORRIS L. VENDEN

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ LUDZI

Nowe spojrzenie na osobę Chrystusa

 *Wydawnictwo*
„Znaki Czasu”

WARSZAWA 2019

TYTUŁ ORYGINAŁU
How Jesus Treated People

KIEROWNIK WYDAWNICZY
Mirosław Harasim

TŁUMACZENIE
Tomasz Paczuski

WSPÓŁPRACA
Renata Piotrowska

PROJEKTANT OKŁADKI
Radosław Krawczyk

TYPOGRAF
Jarosław Kauc

REDAKCJA
(+) Ryszard Jarocki, Adrian Danielewicz

ASYSTENT REDAKCYJNY
Klaudia Głowacka

Copyright © 1986 by Pacific Press Publishing Association
Copyright © 1996 by Chrześcijański Instytut Wydawniczy
„Znaki Czasu”

Wydano staraniem Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego
w Rzeczypospolitej Polskiej (zob. adwent.pl)

Wydanie II

ISBN 978-83-7295-402-2

Zamówienia na publikacje prosimy kierować pod adresem:
Dział Handlowy Wydawnictwa „Znaki Czasu”
ul. Foksal 8/6
00-366 Warszawa
tel. 22-331-98-00
e-mail: kontakt@znakiczasu.pl
księgarnia internetowa: sklep.znakiczasu.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	7
1. Jak Jezus traktował wekslarzy	9
2. Jak Jezus traktował ludzi upadłych	18
3. Jak Jezus traktował bojaźliwych	31
4. Jak Jezus traktował wyrzutków	40
5. Jak Jezus traktował ludzi pogrążonych w żałobie	50
6. Jak Jezus traktował notorycznych grzeszników	59
7. Jak Jezus traktował opętanych.....	68
8. Jak Jezus traktował ubogich.....	77
9. Jak Jezus traktował celników i poborców podatków.....	85
10. Jak Jezus traktował obcych	93
11. Jak Jezus traktował kobiety	102

12. Jak Jezus traktował ludzi pogrążonych w rozpacz	110
13. Jak Jezus traktował uczniów	119
14. Jak Jezus traktował sąsiadów	128
15. Jak Jezus traktował przywódców religijnych	135
16. Jak Jezus traktował prostych ludzi	144
17. Jak Jezus traktował ludzi spoza Kościoła	152
18. Jak Jezus został potraktowany w ogrodzie Getsemane	160
19. Jak Piotr traktował Jezusa	172
20. Jak potraktowano Jezusa na sali sądowej u Piłata	183
21. Droga krzyżowa	193

WPROWADZENIE

Jezus. Z pewnością słyszałeś już to imię. Może czytałeś o Nim lub śpiewałeś. Zastanawiałeś się zapewne nad przeciwieństwami w Jego życiu: z jednej strony jest On Barankiem Bożym, z drugiej zaś Lwem z plemienia Judy, Obrońcą i Sędzią jednocześnie, Człowiekiem i Bogiem w jednej osobie. Jego nauki tchną wielką prostotą, ale zadziwiają również swą ponadczasową głębią.

Małe dzieci garnęły się do Niego bez żadnej obawy, lecz gdy przyszedł na ziemię, imperia tego świata i królestwo ciemności zadrżały ze strachu i zostały pokonane. Grzesznicy, którzy nieśli brzemień winy, znajdowali przy Nim pokój i akceptację, zaś ci, którzy uważali się za sprawiedliwych, odczuwali dziwne zaniepokojenie. Jezus po raz pierwszy przyszedł na ziemię w ubóstwie i poniżeniu, ale powtórnie zjawi się tu w wielkiej chwale i nieopisanej mocy, aby panować na wieki jako Król królów.

Żadna książka nie jest w stanie przedstawić dokładnego portretu Jezusa. Te, które kiedykolwiek zostały napisane, nie mogą oddać w pełni wszystkich rysów Jego postaci, gdyż możliwości coraz to innego ujęcia życia i charakteru Zbawiciela są tak nieskończone, jak sama wieczność.

Niniejsza książka oferuje po prostu kolejne spojrzenie na Jezusa Chrystusa — spojrzenie, które kładzie szczególny nacisk na to, w jaki sposób traktował On ludzi. Rozpoczyna się opisem Jego służby, w której ewangelisti zwracali szczególną uwagę na relacje Jezusa z pojedynczymi ludźmi lub całymi ich grupami. Te kontakty również podkreślają paradoks Jego życia. Zwyczajni ludzie słuchali Go z radością, ale kapłani i przywódcy, chociaż wierzyli Mu i drżeli przed Nim, w końcu Go odrzucili. Jezus przebywał wśród grzeszników, cudzołożnic, złodziei. Traktował ich jednak z szacunkiem. Współczuł bojaźliwym i zasmuconym, karcił zaś pysznych i polegających tylko na sobie. Nikt nie pozostawał obojętny wobec Jego zbawczej misji. Albo Go akceptowano, albo po bliższym poznaniu odrzucano.

Wyobraź sobie siebie w roli obserwatora, umieszczonego na obrazie pokazującym kolejne sceny z życia Jezusa. Spójrz, On przychodzi do ciebie dzisiaj, więc pozwól Mu zniszczyć wszelkie bariery ograniczające twoje życie. Jezus kocha wszystkich ludzi i każdy może znaleźć miejsce w Jego sercu.

Moim pragnieniem jest, abyś lepiej Go poznał i bardziej Mu zaufał, gdy będziesz rozważał, jak On traktował ludzi.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ WEKSLARZY

Po namaszczeniu Duchem Świętym nad rzeką Jordan, czyli uznaniu za Mesjasza, Jezus wybrał się wraz ze swymi pierwszymi uczniami do Kany Galilejskiej na wesele. Uroczystość zaślubin miała charakter rodzinny. Ci, którzy w niej uczestniczyli, byli spokrewnieni z Jezusem. Tam dokonał pierwszego cudu — przemiany wody w wino — w odpowiedzi na pełną wiary prośbę swojej matki, która zwróciła się do Niego o pomoc, gdy zabrakło tego napoju. Bezpośrednio po tym wydarzeniu Jezus udał się w podróż do Jerozolimy, by tam po raz pierwszy dokonać publicznego aktu — oczyszczenia świątyni, co wywołało powszechne zainteresowanie Jego misją. Epizod ten, zapisany w drugim rozdziale Ewangelii Jana, dostarcza interesujących spostrzeżeń na temat tego, jak Jezus traktował ludzi. Godne uwagi jest to, że rozdział drugi rozpoczyna się weselem w Kanie, potem następuje opis oczyszczenia świątyni, natomiast rozdział trzeci otwiera rozmowa z Nikodemem. Ta kolejność jest bardzo interesująca.

„Potem [tj. po weselu w Kanie] udał się do Kafarnaum wraz z matką swoją i braćmi, i uczniami swoimi, i tam pozostali kilka dni. A gdy się zbliżała Pascha żydowska, udał się Jezus do Jerozolimy” (J 2,12-13).

Drogę do Jerozolimy przebył wmieszany w wielki tłum ludzi. Ponieważ nie był wtedy jeszcze znaną osobą, bez przeszkód udało mu się skryć wśród innych, podążających do miasta Dawida; stać się jednym z wielu. Wkrótce nie będzie to już możliwe. Teraz jednak widzimy Jezusa idącego z Kafarnaum do Jerozolimy w towarzystwie podróżnych, rozmawiającego z ludźmi dyskutującymi o przyjsciu Mesjasza.

„I [Jezus] zastał w świątyni sprzedających woły i owce, i gołębie, i siedzących wekslarzy. I skręciwszy bicz z powrózków, wypędził ich wszystkich ze świątyni wraz z owcami i wołami; wekslarzom rozsypał pieniądze i stoły powywracał, a do sprzedawców gołębi rzekł: Zabierzcie to stąd, z domu Ojca mego nie czynicie targowiska. Wtedy uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: Żarliwość o dom Twój pożera mnie” (J 2,14-17).

Czym jest targowisko? Miejscem, gdzie coś kupujemy lub sprzedajemy. Nabywamy tu przedmioty, na które wcześniej zapracowaliśmy. Na targowisku otrzymujemy to, na co zasłużyliśmy, a zasługujemy właśnie na tyle, ile otrzymujemy. Kościół nie jest odpowiednim miejscem na targ. Przypomina on raczej rodzaj pomieszczenia z darmowymi upominkami. Jezus pragnie, aby Jego Kościół był właśnie takim miejscem z prezentami. Nie musimy tu za nic płacić, wszystko otrzymujemy za darmo. Jezus nie chce, aby Kościół zamienił się w targowisko.

Ponieważ w dniu rozpoczynającym swoją publiczną działalność uczynił coś bardzo szoku-

jącego, zanim jeszcze ów dzień się zakończył, już znalazły się osoby gotowe Go zabić.

Przypatrzmy się bliżej grupie ludzi, których wtedy strofował Jezus. Byli wśród nich sprzedawcy owiec, bydła i gołębi, ludzie wymieniający pieniądze, a także przywódcy religijni służący Bogu dla materialnych korzyści.

Za czasów Jezusa urząd najwyższego kapłana można było nabyć za kwotę, która dzisiaj stanowi równowartość miliona dolarów. Oczywiście kłóciło się to z wolą Boga. Z chwilą kupna urzędu kapłan wpadał w ogromne długi, toteż musiał jakoś wynagrodzić sobie poniesione koszty. Dlatego zawierał układ z wekslarzami, a także z kupcami i sprzedawcami. Gwarantował on udziały w ich zyskach, a to z kolei umożliwiało szybki zwrot długu zaciągniętego w celu zdobycia urzędu najwyższego kapłana. Takie rzeczy działy się w czasach Jezusa, gdy religia opierała się na korupcji.

W świątyni znajdowali się też uczniowie Jezusa. Postępowanie Nauczyciela napełniło ich trwogą. Do tej chwili postrzegali Go jako osobę raczej pokorną, unikającą rozgłosu. Mogliby zawtórować chłopcom i dziewczętom śpiewającym pieśń: „Łagodny Jezus, pokorny i delikatny, spójrzmy na to Dzieciątko”.

Ale tego dnia zadrżeli ze zgrozy. Nie mówcie więc, że Jezus miał bladą cerę i był wychudzony, jak przedstawiają Go artyści na obrazach. Nie mógł tak bowiem wyglądać ktoś, kto pracował w warsztacie ciesielskim, zwłaszcza w tamtych czasach, kiedy praca nie była jeszcze zmechanizowana, a do przecinania drewna i wykonywania innych ciężkich robót używano jedynie siły własnych rąk. Jezus nie był więc chuchrem, jak przedstawiają Go liczne obrazy.

Kiedy wzniosł wysoko bicz z powrózków, rękaw Jego szaty zsunął się, odsłaniając muskularne ramię. Ale nie ów gest zrobił na ludziach największe wrażenie. Coś niezwykłego wydarzyło się tego dnia w świątyni. Otóż, zajaśniała tam chwała Boża. Nadludzka moc sprawiła, że jeden Człowiek, mroząc tłum wzrokiem, sprawił, iż w miejscu zgiełku i zamieszania natychmiast zapadła śmiertelna cisza. Uczniowie zdumieli się tym, co się stało.

Należy jednak pamiętać, że Jezus nie miał w zwyczaju unosić się gniewem lub krzyczeć. Gdy wypowiadał ostre słowa nagany, w Jego głosie dawał się słyszeć niemal płacz.

Tego dnia w świątyni znajdowała się wielka rzesza ludzi oszukanych przez kupczących łaską Bożą i tych, którzy służyli Bogu dla osobistych korzyści.

Z pozoru mogłoby się zdawać, że oczyszczenie świątyni polegało jedynie na wypędzeniu z niej złodziei. Prawda jest jednak inna; Jezus uczynił tak, gdyż pragnął, aby to święte miejsce stało się prawdziwym schronieniem dla chorych, chromych, niewidomych i zniechęconych. Oczyszczenie świątyni miało służyć ludziom, którym wmówiono, że dobre uczynki można kupić. Ci nieszczęśnicy wierzyli, iż na niebo trzeba sobie zapracować — to tak jakby uważali, że chociaż owca czy gołąb są za darmo, należy jednak za nie zapłacić. Wśród tłumu znaleźli się również ci, których nie było stać na owcę. Budzili się nocą i wpatrywali w sufit, zastanawiając się nad tym, czy kiedykolwiek będą w stanie „zapracować” na niebiańskie królestwo. Gdyby jednak religię można było kupić za pieniądze, bogaci żyliby w raju, biedni zaś umarliby na wieki.

W świątyni znajdowali się więc ludzie posiadający środki finansowe, którzy mogli bez przeszkód korzystać z łask sprzedawanych za pieniądze. Oni spali spokojnie, gdyż czuli się bezpiecznie z racji swego bogactwa. To poczucie bezpieczeństwa opierało się na fałszywym założeniu, że dzięki pieniądзом można przypodobać się Bogu. Wcześniej czy później Bóg musiał obudzić ich z tego snu, aby się opamiętali.

Jezus pragnął na nowo pouczyć ludzi, którzy przybyli do Jerozolimy specjalnie na święto Paschy, a później mieli wrócić do swych domów. Chciał trafić do tych, którzy czuli się niepewnie, a także do tych, którzy żyli w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Dlatego właśnie usunął ze świątyni złodziei.

Według Ewangelii Mateusza Zbawiciel powiedział: „Nie czyńcie z domu mego Ojca targowiska; nie czyńcie z niego jaskini zbójców” (zob. Mt 21,13). Ludzie ci nie tylko ograbiali innych z pieniędzy, ale przede wszystkim odbierali Bogu chwałę, a innym kradli pokój wewnętrzny; zwłaszcza osoby niezaradne życiowo traciły z ich powodu poczucie bezpieczeństwa.

Zauważmy jednak, że ów tłum ludzi zamiast uciec wraz z wekslarzami, kapłanami i uczonymi w Piśmie, pozostał na miejscu. Tak charakterystyczne dla targowiska odgłosy zgiełku i zamieszania umilkły. Zastąpiły je uwielbiające Boga dziękczynne modlitwy cudownie uzdrowionych. Chłopcy i dziewczęta głośno wysławiali Stwórcę, gdyż odzyskali utracone niegdyś zdrowie.

Dzisiaj też można znaleźć miejsca, w których ludzie krzyczą i wygłupiają się, nie budząc tym niczyjego zgorszenia. Dzieje się tak zwłaszcza podczas imprez sportowych. Ale gdy czasem ktoś

powie głośno „amen” w kościele, natychmiast zostaje uznany za dziwaka.

Tak więc kiedy przywódcy religijni i wekslarze, którzy wcześniej uciekli ze świątyni, zebrali się na odwagę i mimo lęku postanowili tam wrócić, zamiast dotychczasowych odgłosów targowiska usłyszeli modlitwy wielbiących Boga. Bardzo ich to zaniepokoiło. Milszy ich uszom był zgiełk bazaru niż hymny pochwalne na cześć Stwórcy.

Dobłą nowinę stanowi jednak fakt, iż Zbawiciel nie żywił nienawiści do złodziei, ani tym bardziej nie chciał ich napiętnować. Kochał zarówno handlarzy, jak i wekslarzy czy przywódców religijnych. Później można zobaczyć, jak uczestniczy wraz z nimi w różnych uroczystościach, spotyka się z poborcami podatków, kapłanami czy przywódcami religijnymi. Jezus rozumiał lęki i ignorancję tych ludzi; litował się nad nimi. Ale nie zaniedbywał też innych.

Tego dnia zdarzyło się coś jeszcze, choć opisując tę historię, raczej pomija się to milczeniem. Ukryty w cieniu, z dala od tłumu, stał pod kolumną pewien człowiek. Był on jednym z przywódców religijnych, członkiem Sanhedrynu. Obserwował wszystko, a to, czego stał się świadkiem, zdumiało go.

Nikodem widział uciekających kupców i wekslarzy oraz powywracane stoły, dostrzegł też niezwykłą moc, która emanowała z osoby Jezusa. Zauważył łzy w oczach Zbawiciela i wzruszenie kryjące się w Jego głosie. Słyszał ludzi wołających głośno: Hosanna! Był świadkiem wielu uzdrowień, a wszystko to obserwował ukryty głęboko w cieniu. Najwidoczniej nie uciekł wraz z innymi. Pozostał na miejscu i wszystko widział.

Rzekł wtedy do siebie: Koniecznie muszę porozmawiać z tym Człowiekiem. Dzieje się tu coś, czego nie można pojąć ludzkim umysłem. Tak więc w trzecim rozdziale Ewangelii Jana Nikodem spotyka się z Jezusem — to spotkanie stanowi jeden z rezultatów oczyszczenia świątyni. Nikodem osobiście rozmawia z Chrystusem i dowiaduje się o darze zbawienia.

Ale tutaj pojawia się pewna zagadka, problem na pozór nie do rozwiązania. Jezus pragnie, aby świątynia była miejscem z prezentami, a nie targowiskiem. Jednak ostatnia księga Biblii mówi o kupowaniu złota wypróbowanego w ogniu, białej szaty i maści na oczy. W przypowieściach Jezus powiada, że powinniśmy wszystko sprzedać, by nabyć drogocezną perłę, a także skarb ukryty na polu. O czym więc tak naprawdę On mówi?

Jedno wiemy z pewnością — nie o prawdziwym złocie czy srebrze. Złoto bowiem nie posiada żadnej wartości w niebie. Przecież pokryte są nim ulice! Środkiem płatniczym w niebie jesteśmy my sami i to, za kogo siebie uważamy; wszystko, co posiadamy lub myślimy, że posiadamy. To właśnie musimy sprzedać. Jednak koniecznie powinniśmy zdać sobie sprawę z własnej nicości, a także zrezygnować z własnej niezależności. Dzieje się tak tylko wtedy, gdy przychodzimy do Jezusa i przyjmujemy Jego dary. Tylko ten środek płatniczy jest ważny dla Boga.

Kiedy Jezus mówi nam, byśmy wszystko sprzedali i zakupili pole, oznacza to zaniechanie myśli o tym, iż kiedykolwiek można „zapracować” na ten dar. Jeżeli ktoś jest człowiekiem wpływowym, nie powinien pokładać ufności w swojej władzy. Jeżeli ktoś jest bogaty, niech nie ufa swym bogactwom,

a ten, kto ma spryt, talenty, a może i urodę, niechaj nie polega na tych atutach. Gdy przyznamy się do tego, że nie jesteśmy w stanie uczynić się sprawiedliwymi i gdy oddajemy się Mu bez reszty, dopiero wtedy płacimy walutą nieba.

Słowo „ufność” lepiej określa nasz stosunek do Boga niż nadużywany wyraz „poddanie się”. Zaufanie bowiem zakłada całkowite poleganie na kimś innym, a nie na sobie samym. „Poddanie się” zaś nie zawsze jest łatwe. Czasem tak bardzo staramy się poddać komuś i zrezygnować z siebie, iż w rezultacie coraz bardziej uzależniamy się od siebie samych. Zapominamy, że tylko Jezus może tego dokonać. Jest to dar.

Wiara jest darem. Miłość jest darem. Biała szata jest darem. Żal za grzechy jest darem. Posłuszeństwo jest darem. Zwycięstwo jest darem. Duch Święty jest darem, który przynosi nam wiele innych błogosławieństw. Baranek Boży jest darem, który gładzi grzechy świata. Poddanie się też jest darem.

Powinniśmy również zwrócić uwagę na coś innego. Kiedy mówimy o Duchu Świętym i Jego działaniu w naszych sercach, musimy pamiętać o ważnej prawdzie płynącej z historii o oczyszczeniu świątyni. Tam właśnie Jezus ogłosił swą mesjanistyczną misję i rozpoczął pracę, której celem nie było jedynie zbawienie ludzi, ale uświadomienie im, że powinni na nowo stać się świątynią zamieszkałą przez Boga.

Z powodu grzechu ludzkość przestała być świątynią. Pograżone w ciemnościach i skalane złem serce człowieka nie objawiało już chwały Jedyne go Boga. Dziedzińce świątyni w Jerozolimie napeł-

niły się zamieszaniami, które nie miało nic wspólnego ze świętością. Ten obraz dobrze oddaje stan ludzkiego serca skalanego zmysłowymi namiętnościami i grzesznymi myślami. Dokonując oczyszczenia świątyni przez usunięcie z niej kupców i sprzedawców, Jezus podkreślił, że Jego misją jest uwolnienie serca człowieka od skalania grzechem, od ziemskich pożądliwości i egoistycznych żądz, od złych nawyków i zepsucia duszy.

Czy odkryłeś już, że nie jesteś w stanie sam, o własnych siłach, uwolnić się od licznych grzechów, które panują w twoim sercu? Czy odkryłeś też, że tylko Chrystus może oczyścić świątynię duszy ludzkiej? Ale On nie dokona tego wbrew twojej woli, używając siły. Nie wejdzie do naszego serca tak, jak to uczynił w przypadku świątyni w Jerozolimie. On czeka u wejścia do twego serca i mówi: „Oto stoję u drzwi i kołaczę” (Ap 3,20).

Zaprasza cię, abyś przyjął Go nie tylko jako Baranka Bożego, ale również jako Najwyższego Arcykapłana w niebie, który współczuje naszym słabościom i został doświadczony we wszystkim tak jak my (zob. Hbr 4,15-16). Wszelka moc na niebie i ziemi skupia się w osobie Jezusa Chrystusa. Bez Niego nie ma nadziei na zwycięstwo, a z Nim nie można ponieść porażki.

*Wszyscy wielbią moc, która ukryta jest
w imieniu Jezusa!*

*Niech aniołowie oddadzą Mu cześć w wielkim
uniżeniu!*

Edward Perronet

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ LUDZI UPADŁYCH

W małym miasteczku, Betanii, położonym około pięciu kilometrów od Jerozolimy, żyły dwie siostry, Maria i Marta oraz ich brat Łazarz. Prawdopodobnie Łazarz utrzymywał rodzinę, gdyż rodzice całej trójki już nie żyli. Tak więc Maria, Marta i Łazarz żyli razem w tym niewielkim miasteczku.

Możemy sobie wyobrazić, jak Łazarz udaje się codziennie do pracy zaopatrzony w prowiant i jak zmęczony wraca wieczorem do domu. Być może wysłuchiwał najpierw nowin, a potem udawał się na spoczynek; tak mijał dzień za dniem.

Marta natomiast była typową Martą. Potrafiła np. zorganizować w kościele poczęstunek dla wszystkich, przygotować weselny obiad czy kościelny piknik. Najszczęśliwsza czuła się wtedy, gdy krzątała się po kuchni i wypróbowywała nowe przepisy kulinarne. Marta była dobrą kobietą. Nie zrobiła nigdy nic złego. Za najgorszą rzecz, jakiej się kiedykolwiek dopuściła, uznać można obgryzanie paznokci, gdy przestał działać robot kuchenny. Była osobą religijną,

co nie wydawało się szczególnie trudne, zwłaszcza w czasach, w jakich przyszło jej żyć. Każdego sobotniego poranka udawała się wydeptaną ścieżką z domu do synagogi.

Maria — przeciwnie — była bardziej zainteresowana życiem towarzyskim. Ona kochała ludzi. Zawsze, gdy w kościele odbywały się zgromadzenia lub pikniki, witała wchodzących gości i starała się stworzyć im rodzinną atmosferę. Była atrakcyjną, a nawet niezwykle piękną dziewczyną.

Ale nosiła w sercu sekretny ciężar winy i cierpienia, o jaki nikt by jej nie podejrzewał. Miało to związek z wujem Marii — Szymonem, który był faryzeuszem.

W tamtych czasach faryzeusze cieszyli się powszechnym uznaniem. Dzisiaj myślimy o nich inaczej, ale wtedy tak właśnie było. Gdy zapytano wówczas kogoś, kim jest jego syn, ów poczytywał sobie za najwyższy zaszczyt, kiedy mógł odpowiedzieć: „Mój syn jest faryzeuszem”.

Tak więc Szymon cieszył się w Betanii powszechnym uznaniem. Był przywódcą kościelnym oraz szanowanym członkiem społeczności. Ludzie poważali go nawet za jego bliski związek z rodziną Marii, Marty i Łazarza. Wszyscy uważali za rzecz naturalną, że jako najbliższy krewny troszczy się o nich. Aż pewnego dnia Szymon zaczął zbyt długo przypatrywać się Marii, a ponieważ zajmował tak wysoką pozycję, dziewczyna wkrótce musiała mu ulec.

Najwidoczniej nikt nie dowiedział się o tym, bo Szymon, jak zwykle, odprawiał nabożeństwa w synagodze, Maria zaś uśmiechała się, kiedy gawędziła z ludźmi i urzekała swym wdziękiem. Jednak ciężar winy, który ją przygniatał, był nie do zniesienia.

Wiele razy próbowała poważnie porozmawiać ze swym wujem i uwolnić się spod jego władzy. Ale w tamtych czasach kobiety nie miały zbyt wiele do powiedzenia, toteż na nic zdały się jej wysiłki. Szymon zagroził, że publicznie wyjawia tę tajemnicę lub nawet zabije dziewczynę. O wszystko obwiniął przede wszystkim Marię. W końcu straciła już nadzieję, że kiedyś będzie wolna. Zaczęła siebie karać, jak to często się zdarza, gdy osoba religijna skrycie zgrzeszy. Baranki i krew składane rano i wieczorem w ofierze nieustannie przypominały jej, że ktoś musi zapłacić za ten grzech. Jeżeli starasz się okupić swe winy i wymierzyć sobie karę, wówczas jesteś na najlepszej drodze, by ten grzech znowu popełnić. To sprawia, że czujesz się jeszcze gorzej. Dręczące poczucie winy stanowi wygodną formę samoumartwiania.

Jeżeli karanie siebie przedłuża się, osoba popełnia bez końca ten sam grzech, aż w rezultacie nie pozostaje jej nic innego, jak tylko skok z mostu, który jest ostateczną formą wymierzania sobie kary.

Maria zaczęła więc wymierzać sobie karę i w końcu zyskała w mieście opinię kobiety rozwiązłej. Matki rozmawiały o niej przez płot:

— Czy słyszałaś już o Marii?

— Tak.

— Uważaj na nią. I trzymaj z dala od niej swych synów.

Takie właśnie pogłoski zaczęły krążyć po całym mieście, aż pewnego dnia sprawy zaszły tak daleko, iż Maria zdecydowała się opuścić Betanię. Spakowała cały swój dobytek i udała się przed siebie drogą wiodącą z góry i dalej siedmioma wzniesie-

niami, aż dotarła do niewielkiej miejsciny położonej nad morzem, zwanej Magdala. Stąd wywodzi się jej późniejszy przydomek — znana jest jako Maria z Magdali lub Maria Magdalena.

Widzę ją, jak przybywa do miasteczka, zdecydowana rozpocząć nowe życie. Szuka pracy. Próbuje ją znaleźć w miejscowym sklepie z tkaninami. Ale tam nikogo nie potrzebują. Idzie więc do sklepu z napisem „1001 drobiazgów”, lecz i tam nie znajduje pracy. Postanawia nawet otworzyć bar szybkiej obsługi w nadziei, że uda jej się zarobić na życie dzięki umiejętnościom kulinarnym nabytym od Marty. Lecz nie znajduje zapotrzebowania na tego rodzaju usługi.

Wędrując ulicami Magdali w poszukiwaniu pracy, Maria odczuwała coraz większy głód, aż pewnego dnia uległa pokusie zarobienia łatwych pieniędzy. „Czemu nie?” — pomyślała — „i tak nie mam innego wyjścia. Znajdzie się jeszcze wiele baranków składanych w ofierze za moje grzechy”.

Maria spotkała chętnych, którzy zapłacili jej żadaną sumę. I chociaż może wydawać się to dziwne, w pewnym sensie znalazła akceptację w oczach ludzi. Jednak przytłaczał ją coraz większy ciężar winy. Nie mogła zapomnieć szczęśliwych dni spędzonych w Betanii, gdy żyli rodzice i gdy nie uległa jeszcze Szymonowi. Były to dni pełne spokoju.

Pewnego razu do Magdali przybył wędrowny kaznodzieja. Nie poszedł do synagogi, by tam przemawiać, gdyż nie znalazło się w niej dosyć miejsca dla gromadzących się tłumów. Przemawiał więc do ludzi na wolnym powietrzu tymi słowami: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja dam wam ukojenie” (Mt 11,28).

„A tego, który do mnie przychodzi, nie wyrzucę precz” (J 6,37). „Nie przyszedłem bowiem wzywać sprawiedliwych, lecz grzeszników” (Mt 9,13).

Stojąc nieco z boku, Maria przysłuchiwała się Jego słowom. Nigdy wcześniej nie słyszała czegoś podobnego. Kiedy tak stała, zrobiło jej się dziwnie ciepło na sercu. Poczekala, aż tłum się rozproszył, wtedy podeszła do Mistrza i wyznała, jak bardzo potrzebuje Jego pomocy. Wędrowny kaznodzieja padł na kolana i modlił się za nią do swego Ojca, by mogła otrzymać tak potrzebną jej pomoc. Maria przyjęła Jezusa jako swego Mistrza. Diabeł został skarcony. Tam właśnie kobieta nawróciła się do Boga.

Cóż za przepiękna historia.

W tym miejscu chciałbym powiedzieć, że tak oto zakończyła się opowieść o Marii, która odtąd już żyła szczęśliwie. Chciałbym, ale niestety tak się nie stało. Kaznodzieja opuścił miasteczko, a ona w nim pozostała. Być może powinna była stamtąd odejść. Wszak w Magdali mieszkali wciąż ci sami ludzie, ci sami przyjaciele. Na targowisku wciąż słyszała te same głosy, wołające ją po imieniu. Gdy tak mijały dni, Maria odkryła, że chociaż przyjęła pokój ofiarowany jej przez Kaznodzieję, coś silnie ciągnęło ją do grzechu. I znów upadła.

Kiedy Kaznodzieja ponownie przybył do miasteczka, znów zgromadził się wokół Niego tłum ludzi słuchających Jego słów. Jak kiedyś Maria stanęła z boku, zastanawiając się, czy to prawda, co kiedyś mówił. Tak. Usłyszała: „A tego, który do mnie przychodzi, nie wyrzucę precz”. Nadal brzmiało to zachęcająco.

Maria podeszła do Niego i odkryła, że wciąż jest akceptowana. I znów wylała przed Nim swe łzy, prosząc o pomoc. Tak jak poprzednio Kазnodzieja padł na kolana i wołał do swego Ojca w jej imieniu. I znowu opuścił miasteczko, a Maria w nim pozostała.

Chciałbym powiedzieć, że taki był finał opowieści. Niestety, Maria znowu upadła, i znowu, i jeszcze raz. Ale zawsze, gdy Jezus przybywał do miasteczka, stała w tłumie. Czuła, że coś stale przyciąga ją do Człowieka, który powiedział: „A tego, który do mnie przychodzi, nie wyrzucę precz”.

Pewnego dnia Maria otrzymała propozycję wyjazdu do Jerozolimy. Być może posłańcy zaoferovali jej znaczną sumę za jej usługi, być może przekazali jej ofertę małżeńską. Możliwe też, iż powiedzieli jej, że jest pilnie potrzebna w domu, w Betanii — że wuj Szymon ją wzywa. Cokolwiek byśmy przypuszczali, dziewczyna znalazła się w potrzasku. Nastąpiło to, czego tak długo się obawiała — o jej grzechu mówili wszyscy.

Drzwi apartamentu, gdzie zastawiono na nią pułapkę, zostały wyważone. Zgromadzeni ludzie głośno krzyczeli, że jest zasługującą na śmierć grzesznicą. Mocne ręce pochwyciły ją i wywlokły na ulicę. Maria zamknęła oczy. Pragnęła już tylko śmierci.

Siłą przepchnięto ją przez tłum i rzucono przed oblicze Jezusa. Wokoło rozlegały się oskarżycielskie okrzyki, podczas gdy ona cała drżąca leżała na ziemi, czekając na śmiertelny cios. Z pewnością przepełnił się już kielich jej winy i nawet Jezus nie będzie w stanie jej teraz pomóc.

Gdy czekała tak, wystraszona i zhańbiona, okrzyki tłumy zaczęły słabnąć. Maria w napięciu oczekiwała

pierwszego rzutu kamieniem. Ale zamiast tego usłyszała łagodny głos: „Kobieto! Gdzież są ci, co cię oskarżali? Nikt cię nie potępił?”.

Maria uniosła głowę. Wszyscy jej oskarżyciele gdzieś zniknęli. Nie wierzyła własnym uszom, gdy usłyszała słowa Jezusa: „I Ja cię nie potępiam: Idź i odtąd już nie grzesz”. Kolejny raz Maria uklękła u stóp Jezusa; płakała pełna wdzięczności za Jego przebaczenie i moc (zob. J r. 8). Tego dnia Maria nauczyła się czegoś, o czym wcześniej nie wiedziała, a o czym i my dzisiaj dowiadujemy się zbyt późno.

Otóż poznała, że można znaleźć Jezusa w Jego Słowie — modlić się do Niego w każdym miejscu i czasie. Dowiedziała się też, że można siedzieć u Jego stóp nawet wtedy, gdy nie ma go w miasteczku. Czy już to odkryliście? Trudno grzeszyć u stóp Zbawiciela. Tam jest moc.

Chociaż Jezus wyruszył w dalszą drogę, Maria była już gotowa na to, by pozostać u Jego stóp, szukać jego obecności.

I wtedy przyszła jej do głowy wspaniała myśl. Dlaczego nie miałyby wrócić do domu do Betanii, do Marty i Łazarza? Gdy tylko pojawiła się ta myśl, w jej żyłach zaczęła żywiej krążyć krew. „Z całą pewnością moc Jezusa jest wystarczająca, bym dała sobie radę z wujem Szymonem”. Toteż spakowała swoje rzeczy i udała się do Betanii.

Gdy była już tak blisko miasteczka, że mogła objąć je wzrokiem, usłyszała nagle wołanie człowieka, co nie należało do rzadkości w tamtych czasach. Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniejszy stawał się krzyk. To wołał trędowaty, mieszkający poza murami Betanii.

Wtedy takie wołanie było dość powszechne. Trąd nazywano ciosem zadany przez Boga. Uważano go za karę Bożą — nic w tym dziwnego, w owych czasach wszelką chorobę traktowano jako karę za grzech. Ale trąd był najgorszą z nich wszystkich. Nie miało większego znaczenia to, czy ktoś piastował najwyższy urząd w mieście, czy też był przywódcą w synagodze lub faryzeuszem. Kiedy dotknął go trąd, stawał się osobą nieczystą i usuwano go z miasta. Siadał wtedy na skraju drogi i publicznie wyznawał swą hańbę. „Nieczysty, nieczysty” — krzyczał i błagał, by ktoś rzucił mu kawałek chleba.

Toteż, gdy Maria zbliżyła się do trędowatego, nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego krzyk, aż nagle rozpoznała głos wołającego: „Nieczysty”. Należał on do Szymona, tego samego, który skłonił ją niegdyś do grzechu.

Gdy usłyszała ten głos, powiedziała do siebie: „Dobrze mu tak! Szymon ma to, na co zasłużył! Niech zgnije na skraju drogi!”. Czy te słowa nie mówią nam czegoś na temat naszego sposobu myślenia?

Maria przysłoniła twarz szalem i ruszyła w stronę miasteczka, starając się oswoić z myślą, że nie musi się już obawiać Szymona faryzeusza. Śpieszyła się, by znów zobaczyć Martę i Łazarza. Szybko wbiegła po schodach i otworzyła drzwi. Nastąpiło radosne powitanie, łzy napłynęły wszystkim do oczu. I znów cała rodzina była razem.

Ale wokoło, jak kiedyś, zaczęły krążyć plotki.

— Maria wróciła. Uważajcie na nią.

— Czy słyszeliście, co wydarzyło się w Jerozolimie?

— Mówią, że teraz jest inna.

— No cóż, to tylko chwilowa odmiana. Słyszałem, że nawracała się już przedtem, ale nigdy nie na długo.

— Obserwujcie ją.

O tym ludzie wtedy rozmawiali.

Maria z wielkim trudem zносиła te szept i plotki, ale została w miasteczku; postanowiła dzielić się z innymi nowiną o Przyjacielu, którego znalazła; o Przyjacielu, który zawsze ją kochał i akceptował, i który jej nie potępił, ale dał moc, by więcej nie grzeszyła. Pragnęła więc, by inne osoby również znalazły w Jezusie Przyjaciela. Tak bardzo lubiła przebywać u Jego stóp. Z utęsknieniem oczekiwała chwili, gdy Jezus odwiedzi Betanię.

I tak też się stało. Pewnego dnia, wędrując wzgórzami, Nauczyciel zjawił się w Betanii w towarzystwie dwunastu uczniów. Gdy był już niedaleko miasteczka, On również, podobnie jak Maria, usłyszał krzyk: „Nieczysty, nieczysty!”.

Chociaż wydaje się to trudne do zrozumienia, Jezus nie potrafił przechodzić obojętnie obok trędowatych. Po prostu nie mógł ich nie zauważać, nawet wtedy, gdy na dziesięciu uzdrowionych przez niego, dziewięciu nie raczyło powiedzieć „dziękuję”.

Tak więc Jezus zatrzymał się, słysząc wołanie Szymona trędowatego. Dotknął nietykalnego i uzdrowił go — ot, tak po prostu. I wcale nie naciskał na Szymona, by ten wpierw zaakceptował Go jako Zbawiciela. Oczyszczył go bezinteresownie.

Wydawało mi się kiedyś, że jedynymi ludźmi, których Jezus kiedykolwiek uzdrowił, były osoby gotowe do duchowej przemiany. Ale przecież Jezus uzdrowił Szymona — grzesznika, nieczystego i nie-

pokutującego. Zrobił to wtedy, gdy trędowaty nie myślał nawet o przyjęciu Jezusa jako Zbawiciela. I przywrócił zdrowie Szymonowi ze względu na to, kim był On sam, a nie ze względu na to, kim był Szymon. Czy zastanawialiście się kiedyś, jak mogła czuć się Maria, gdy usłyszała tę nowinę? Być może Jezus zapewnił dziewczynę, że Szymon nie będzie miał już nad nią władzy.

Ale dla faryzeusza uzdrowienie jest faktem, z którym trudno mu się pogodzić. Faryzeusz przyzwyczajony jest do myślenia, że na taką nagrodę można tylko zapracować. Dla Szymona dar, jaki otrzymał od Jezusa, był niezasłużony, nie mógł więc go przyjąć. Toteż po powrocie do Betanii, gdy ponownie objął najwyższy urząd w mieście, odczuwał wyrzuty sumienia. Można wyobrazić sobie, jak nocą przewraca się i kręci niespokojnie w łóżku, zaś w ciągu dnia chodzi tam i z powrotem po mieszkaniu, nie wiedząc, co ma czynić. Nie był przecież w stanie zapracować lub w jakikolwiek sposób zasłużyć sobie na uzdrowienie. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Nie mógł nic uczynić, zanim został uleczony, ale mógł zapłacić za ten dar teraz. Szymon powiedział do siebie: „Wynagrodzę tego Człowieka za to, co mi uczynił. Wydam ucztę na Jego cześć” (zob. Mt r. 26; J r. 12).

Teraz jego myśli biegły szybko. Marta była najodpowiedniejszą osobą do tego, by przygotować posiłek. Ale Marii nie zaproszono. Szymon nie czuł się w porządku wobec niej. Kto wie? A może zachorował na trąd, gdyż zaangażował się w ów grzeszny związek — wołał nie ryzykować.

Nadszedł wieczór, w którym miała odbyć się uczta. Maria została sama w domu. A przecież cieszyłaby się tymi tłumami ludzi, choć niektórzy byliby z pewnością niezadowoleni, gdyby zjawiła się na uroczystości. Najbardziej smuciła się tym, iż nie zobaczy Jezusa.

Wszak słyszała niedawno, jak mówił, że udaje się do Jerozolimy, gdzie zostanie zdradzony i wydany w ręce grzeszników, którzy go zabiją. Dlatego już wcześniej zakupiła alabastrowy słoik bardzo drogiego olejku, by namaścić nim Jezusa po Jego śmierci. Jednak Marii nie podobano się to, że kwiaty przynoszono ukochanej osobie dopiero w czasie pogrzebu. Pragnęła ofiarować dar swej miłości już teraz.

Pod wpływem impulsu bierze słoik z olejkiem i w pośpiechu wybiega. Przemierzając spokojne uliczki Betanii, układa sobie w myślach plan działania. Szybko wchodzi tylnymi drzwiami do kuchni. Marta próbuje ją zatrzymać, ale nic nie może powstrzymać Marii.

Spokojnie idzie przez ciemny pokój, który rozjaśniają jedynie małe oliwne lampki i kieruje się w stronę Jezusa. Chce otworzyć słoiczek z olejkiem, namaścić stopy swego Pana i niepostrzeżenie wyjść, by nikt nawet jej nie zauważył.

Ale o czymś zapomina. Przecież gdy otwiera się alabastrowy słoik z bardzo drogim olejkiem, z wnętrza wydobywa się cudowna, silna woń.

Teraz wszyscy patrzą w jej stronę. Szymon, siedzący w centralnej części stołu, sztyletuje Marię wzrokiem. Patrzy na nią też Judasz i wielu innych. Maria niezdarnie próbuje zebrać olejek, który się rozlewa. Nie ma ze sobą ręcznika do wytarcia nad-

miaru olejku. Tak więc Maria robi rzecz niewybaczalną w tamtych czasach — rozpuszcza włosy, na co mogła sobie pozwolić tylko ulicznica. Ale ona o tym teraz nie myśli. Rozpuszczonymi włosami zaczyna wycierać stopy Mistrza.

Szymon siedzący przy drugim końcu stołu myśli wtedy: „Gdyby ten Człowiek był prorokiem, wiedziałby, kim jest ta kobieta”.

W tym samym czasie Maria słyszy życzliwe słowa Jezusa: „Zostawcie ją. Wszak dobry uczynek spełniła względem mnie. Gdziekolwiek na całym świecie będzie zwiastowana Ewangelia, będą opowiadać na jej pamiątkę o tym, co ona uczyniła”.

Następnie Jezus zwrócił się do gospodarza: „Szymonie”. Zapewne wtedy Szymonowi zaczęły pocić się ręce. „Szymonie, mam ci coś do powiedzenia”. Faryzeusz, cały spięty, spodziewał się ujawnienia swej tajemnicy. Słyszał bowiem, iż Jezus potrafi czytać w ludzkich myślach, przygotował się więc na najgorsze.

Ale Jezus opowiedział mu historię o dwóch dłużnikach. Jeden z nich zadłużył się na wielką sumę, natomiast drugi miał niewielki dług. Obydwóm darowano ich zadłużenie (zob. Łk r. 7). Nikt poza Szymonem, Marią i Jezusem nie zrozumiał tej historii. Szymon pojął jej przesłanie. Ale czy na pewno?

Szymona głęboko poruszyła miłość i współczucie tego Człowieka. Przecież Jezus mógł wystawić go na pośmiewisko, odsłaniając jego prawdziwe oblicze. A jednak nie uczynił tego, lecz przekazał Szymonowi swe myśli w formie przypowieści i ochronił go w ten sposób przed jego własnymi przyjaciółmi.

Serce Szymona zostało odmienione. Zdał sobie sprawę, jak wiele Jezus dla niego uczynił i zrozumiał,

że nigdy nie będzie w stanie się za to odwdzińczyć. I właśnie tam, w czasie uczyty, przyjął Jezusa jako swego Mistrza, Zbawiciela i Pana. Tak więc Jezus zdobył też serce Szymona! Cóż za wspaniała historia!

Skoro Chrystus zaakceptował Marię i Szymona, z całą pewnością może dziś zaakceptować ciebie i mnie, przebaczyć nam i kochać nas aż do końca.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ BOJAŹLIWYCH

Czy odczuwałeś kiedyś strach? Może gdy byłeś mały, lęk budził w tobie błysk piorunów lub grzmot błyskawic? A może bałeś się zostać sam w nocy? Czy kiedykolwiek przerażała cię starość, operacja chirurgiczna lub utrata pracy? Możliwe, że bałeś się zmian, lękiem napełniało cię zawieranie nowych przyjaźni i utrata starych. A czy kiedykolwiek obawiałeś się, że nigdy nie zasłużysz sobie na niebo, lub że utracisz życie wieczne?

Strach jest tak stary, jak stary jest grzech. W Księdze Rodzaju czytamy, że pierwszą reakcją Adama i Ewy po zjedzeniu zakazanego owocu było ukrycie się. Bóg szukał ich, wołając: „Gdzie jesteście?”. „Czemu ukryliście się przede mną?”.

Adam wtedy odrzekł: „Baliśmy się”.

Dlaczego Adam odczuwał strach? Ponieważ zgrzeszył. Ostatnia księga Biblii — Objawienie św. Jana — wystawia bojaźni złe świadectwo. „Zwycięzca odziedziczy to wszystko i będę mu Bogiem, a on będzie mi synem. Udziałem zaś *bojaźliwych i niewierzących, i skalanych, i zabójców, i wszeteczników, i czarowni-*

ków, i bałwochwalców, i wszystkich kłamców będzie jezioro płonące ogniem i siarką” (Ap 21,7-8; podkr. autora). W jakże doborowym towarzystwie znalazła się tu bojaźń! Pismo Święte nie pochwała jej, ponieważ dla swego ludu Bóg pragnie czegoś znacznie lepszego.

W życiu Jezusa znajdujemy ciekawy epizod, który bezpośrednio wprowadza nas w powyższy temat. Zapisany jest w czwartym rozdziale Ewangelii Marka. To historia o burzy na Morzu Galilejskim. „I rzekł do nich [tj. do uczniów] owego dnia, gdy nastał wieczór: Przepławmy się na drugą stronę” (Mk 4,35).

Zauważmy, że to właśnie Jezus zaproponował uczniom tę wyprawę. To nie oni wpadli na taki pomysł. Tak więc nie z powodu swej głupoty i nie z własnej winy znaleźli się w krytycznej sytuacji. To na polecenie i za aprobatą samego Mistrza wyprawili się na drugi brzeg wody.

Skoro rzekł takie słowa sam Jezus: „Opuścili więc lud i wzięli Go ze sobą tak jak był, w łodzi, a inne łodzie towarzyszyły mu. I zerwała się gwałtowna burza, a fale wdzierały się do łodzi, tak iż łódź już się wypełniała. A On był w tylnej części łodzi i spał na wezgłowie. Budzą Go więc i mówią do niego: Nauczycielu! Nic cię to nie obchodzi, że giniemy? I obudziwszy się, zgromił wicher i rzekł do morza: Umilknij! Uciszyć się! I ustał wicher, i nastąpiła wielka cisza. I rzekł do nich: Czemu jesteście tacy bojaźliwi? Jakże to, jeszcze wiary nie macie? I zdjął ich strach wielki, iż mówili jeden do drugiego: Kim jest więc Ten, że i wiatr, i morze są mu posłuszne?” (Mk 4,36-41).

Czy wy nie bylibyście przerażeni takim przeżyciem? Ale wróćmy do naszej historii. Spróbujmy wyobrazić sobie, co się wtedy wydarzyło.

To był bardzo pracowity dzień. Jezus opowiedział wiele przypowieści, uzdrowił wielu chorych. Pocięszał też strapionych na duchu. Teraz poczuł się zmęczony. Doskwierało mu uczucie głodu i wyczerpania. Doskwierało Bogu? Tak. Był głodny i zmęczony, może nawet bardziej niż Jego uczniowie.

Wyprawili się więc na drugą stronę wody, by znaleźć spokojne miejsce na odpoczynek.

Nagle, jak to się często zdarza na morzu, od strony zbroczy Gadary zerwał się gwałtowny wiatr, który sprawił, że utworzyła się szalejąca, pienista kipiela. Wzburzone wzmagającym się wiatrem fale zaczęły gwałtownie rzucać łodzią, grożąc porwaniem jej w odmęty. Uczniowie, bezradni wobec rozszalałej burzy, stracili nadzieję, widząc jak łódź napęlnia się wodą.

Zebrali wszystkie siły, by uratować siebie. Zapomnieli, że jest z nimi Jezus.

Gdy spostrzegli, że cały ich trud okazał się daremny, a oni stanęli w obliczu śmierci, przypomnieli sobie, kto zaproponował im tę przeprawę. Jedyna nadzieja była więc w Jezusie. W rozpacz i w poczuciu bezradności zawołali: „Nauczycielu! Nauczycielu!”.

Relacjonując te wydarzenie, ewangelista Mateusz użył słów: „Panie, ratuj nas” (Mt 8,25). Zauważmy, że uczniowie nie krzyknęli: „Panie, pomóż nam”. Między tymi dwoma sformułowaniami istnieje zasadnicza różnica. Odnosi się ona do kwestii mocy Bożej i ludzkich wysiłków. Ale czy jedno może z drugim współdziałać? Uczniowie doszli do kresu swych możliwości i zdali sobie sprawę, że jedyne, co mogą uczynić, to zawołać: „Panie, ratuj nas”. Wszystko zależało teraz od Jezusa.

Ze swej strony zrobili, co tylko mogli. Byli przecież zahartowanymi rybakami, którzy całe swoje życie spędzali nad brzegiem jeziora. Dobrze znali Galileę z jej wzgórzami, wiatrami i nawałnicami. Niejeden raz zmagali się z wielkimi, wzburzonymi falami. Wiedzieli, jak w takich sytuacjach należy panować nad łodzią, gdzie rozłożyć ciężar i jak wiosłować. Doprawdy, nie było to pole do działania dla Jezusa. On pracował jako cieśla, a nie rybak. Obecnie był kaznodzieją, przemawiał do tłumów i uzdrawiał chorych. Cały dzień ciężko pracował, a teraz zasnął. Do nich więc należało uporanie się z problemami, byli wszak specjalistami w tej dziedzinie.

Lecz w końcu uświadomili sobie, że nie są w stanie pokonać burzy. Zawiodło wszystko, czego próbowali. Łódź tonęła. W ostatniej chwili zwrócili się do Jezusa, krzycząc: „Panie, ratuj, giniemy!”.

Nigdy takie wołanie nie może być daremne. Jezus wstał i unióśł ręce, którymi tak często dokonywał cudów miłosierdzia. Rzekł do wzburzonego morza: „Umilknij! Uciszyć się!” (Mar 4,39). Burza nagle ustała. Spienione fale uspokoiły się. Chmury się rozstały. Na niebie rozbłysły gwiazdy. Łódź spoczęła na spokojnych wodach morza. Wtedy zasmucony Jezus zwrócił się do swych uczniów z pytaniem: „Czemu jesteście tacy bojaźliwi? Jakże to, jeszcze wiary nie macie?” (Mk 4,40).

A jak wy postąpilibyście w podobnych okolicznościach, nawet gdybyście mieli *wielką* wiarę? Kiedy jedziemy samochodem trasą szybkiego ruchu, a z naprzeciwka w naszą stronę pędzi samochód, grożąc czołowym zderzeniem, co wtedy robimy? Czy jesteśmy rozluźnieni, uśmiechnięci? Puszczamy

może kierownicę albo spoglądamy przez boczną szybę na mijany właśnie krajobraz?

Można wspomnieć przy tej okazji morawskich misjonarzy, którzy płynęli statkiem wraz z Johnem Wesleyem. Udał się on do Ameryki, aby nawracać Indian. W końcu jednak sfrustrowany podsumował: „Przybyłem do Ameryki, by nawracać Indian, ale kto nawróci Johna Wesleya?”.

Gdy na Atlantyku rozpętała się burza i wszystko wskazywało na to, iż pójdą na dno, bracia morawscy nie okazali żadnego lęku.

John Wesley był tym wstrząśnięty. Zapytał, skąd bierze się ich spokój. Odpowiedzieli, że nie boją się śmierci.

To, iż mamy wiarę, nie oznacza wcale, że nie pójdziemy na dno oceanu. Silna wiara nie ocali przed spalaniem na stosie, tak jak nie ocaliła Husa czy Hieronima. Nie uleczy też z raka. Jednak ci, którzy mają wiarę, nie boją się śmierci.

Jest jeszcze coś. Ludzie pełni wiary nie patrzą na Boga jak na ostatnią deskę ratunku. Zwracają się do Niego nie tylko w nieoczekiwanej próbie życia. Pragną go w sposób naturalny, niczym kwiat pragnie słońca.

Dwóch ludzi rozmawiało o swym ciężko chorym przyjacielu. Jeden opowiadał, że lekarze stosowali wobec ich znajomego różne metody leczenia i różne lekarstwa, niestety bezskutecznie. Na koniec rzekł: „Sądzę, że jedyne, co pozostało do zrobienia, to modlitwa”.

Jego rozmówca odpowiedział: „Jaka szkoda! To aż tak z nim źle?”.

Osoba, która ma wiarę, nigdy nie zapomina, że Jezus jest na pokładzie i zwraca się do Niego w każdej trudnej sytuacji.

No cóż, uczniom brakowało wiary. Jezus wytknął im to, ale mimo wszystko ich ocalił. To jest właśnie dobra nowina. Uratował ich, mimo że brakowało im wiary.

W dzisiejszych czasach żywimy liczne obawy. Boimy się o nasze zdrowie, o dzieci, domy, ziemię. Boimy się, co inni o nas pomyślą. Biedni martwią się, jak zaspokoić podstawowe potrzeby, bogaci obawiają się, że coś stracą. Lękamy się, co będzie z Kościołem, naszą przyszłością, z naszym własnym zbawieniem.

Choć Jezus jest z nami na pokładzie, wcale nie oznacza to, że nie będziemy się lękać. Tak było w przypadku uczniów. Mimo że Jezus przebywał z nimi, zapomnieli o tym, gdy nadciągnęła burza i powstały wielkie fale. To samo może się nam zdarzyć i dzisiaj. Utrzymujemy więc z Jezusem, a wciąż okazuje się, że nie polegamy na Nim całkowicie. Uczniowie również z Nim przebywali. Chodzili z Jezusem, rozmawiali, wspólnie się modlili i pracowali. Byli bardzo blisko Mistrza. Jednak wciąż okazywało się, że nie ufają Mu bezgranicznie.

Mimo to Jezus pozostał z nimi. Był wobec uczniów cierpliwy i zachęcał, by Mu ufali. I nadszedł wreszcie taki czas, że bojaźliwi niegdyś uczniowie potrafili bez lęku przyjąć śmierć w kotłach z wrzącym olejem, umrzeć od miecza, płomieni czy stawić czoło ukrzyżowaniu do góry nogami. Nauczyli się od Jezusa lekcji wiary i zaufania.

Miłość Chrystusa usuwa strach i dokonuje zmiany. Biblia mówi, że doskonała miłość oddala strach (zob. I Jana 4,18). Zaraz jednak nasuwa się pytanie, kto ma tę doskonałą miłość. Jeżeli nie jesteśmy jej szczęśliwymi posiadaczami, to jak możemy unik-

nać strachu? Doskonała miłość nie pochodzi od nas. Tylko Chrystus, On jeden, ją posiada i tylko ona usuwa strach.

Myślę, że większość rodziców bawiła się ze swymi dwu- lub trzyletnimi dziećmi, podrzucając je wysoko. Ja uwielbiałem tak się bawić z moimi maluchami. Obserwowałem wtedy ich radość, śmiech i całkowite zaufanie. Wiedziały, że tatuś je kocha i złapie, kiedy trzeba.

Pewnego wieczora zaczęliśmy zabawę na stołku od pianina. Mój syn wspinał się na niego i zeskakiwał prosto w moje ramiona. Trwało to dosyć długo, aż poczułem się wyczerpany. Wreszcie powiedziałem: „Wystarczy już. Kończmy tę zabawę”.

„Tylko jeszcze jeden raz, tatusiu. Tylko ten raz”. Usiłując ostatecznie zakończyć zabawę, odszedłem, sądząc, że syn zrozumiał, co do niego powiedziałem.

Ale on nawet nie spojrzał w moją stronę. Tym razem, gdy wspinał się na stołek i skoczył w powietrze, ja znajdowałem się po drugiej stronie pokoju, dlatego dotkliwie się potłukł. Czułem się wtedy okropnie! Nic nie może równać się z miłością i ufnością małego dziecka.

Jezus jest tym, który powiedział: „Jeśli nie odwróćcie się od waszych grzechów i nie staniecie się jak dzieci, nie wejdzicie do Królestwa Niebios” (Mt 18,3). Zaprasza nas do tego, byśmy wszystkie troski powierzali Jemu, ponieważ On się o nas troszczy (zob. I P 5,7). W odróżnieniu od rodziców, Jezus nigdy się nie męczy, jest zawsze obecny. Obiecał bowiem: „Nie porzucę cię ani cię nie opuszczę” (zob. Hbr 13,5). Nikt jednak tak naprawdę Mu nie zaufa, dopóki nie uświadomi sobie tej miłości i nie

zda sobie sprawy z tego, że wyczerpał już wszystkie możliwości.

Zauważmy, gdzie znajdował się Jezus w czasie burzy. Spał w łodzi. Niczego się nie bał. No cóż, trudno oprzeć się pokusie stwierdzenia, iż działo się tak, bo był Bogiem. Autor pewnej pieśni — M.A. Baker — napisał: „Żadne wody nie pochłoną statku, na którym znajduje się Mistrz oceanu, ziemi i nieba”.

Ale jest tutaj coś, czego nie powinniśmy przeoczyć, a co mówi nam, jakie Jezus prowadził życie. Kiedy przebudził się, by uciszyć burzę, płynął od Niego doskonały spokój. W Jego słowach czy spojrzeniu nie było nawet odrobiny lęku, gdyż nie miał lęku w sercu. Jednak Jezus nie polegał na swej mocy Wszechmogącego. I nie dlatego jako „Mistrz oceanu, ziemi i nieba” odpoczywał w spokoju. Zrezygnował ze swej mocy. Powiedział: „Niczego nie czynię bez zgody Ojca” (J 5,30). Jezus ufał mocy swego Ojca. To dzięki wierze w Bożą miłość i opiekę, Chrystus odpoczywał. Potęgą słowa, które uciszyło burzę, była potęgą Boga znajdującego się nad Nim, a nie w Nim.

Gdyby uczniowie ufali Jezusowi, nie baliby się. Strach w chwilach grozy ujawnił ich brak wiary. W swym usiłowaniu ocalenia samych siebie zapomnieli o Jezusie i dopiero gdy zawiodło ich poleganie na sobie, zwrócili się do Tego, który mógł ich uratować.

Zauważmy, jaka duchowa nauka kryje się w historii o uciszeniu burzy. Często martwimy się, czy będziemy, czy też nie będziemy zbawieni. To wszystko odwraca nas od Jezusa — jedyne źródło naszej siły. A przecież On zaprasza, byśmy powierzyli nasze dusze Bogu i Mu zaufali (zob. I P 4,19). On nigdy nas nie

opuści, jeśli zaakceptujemy Go, jako naszą Nadzieję i nasze Zbawienie. My możemy od Niego odejść, ale On nigdy nas nie zostawi.

Co natomiast można powiedzieć o prowadzeniu chrześcijańskiego życia? Niektórzy ludzie akceptują ofiarę Jezusa na krzyżu, ale kiedy czytają fragment z Apokalipsy Jana 3,5: „Zwycięzcę przystroję w biel i nie wymażę jego imienia z księgi życia”, są gotowi pograżyć się w rozpacz. Mówią: „Nigdy na to nie zasłuży, nigdy nie będę zwycięzcą. Upadam i zbyt łatwo przegrywam”.

Jakże często doświadczenie uczniów jest naszym własnym doświadczeniem. Gdy wokół setki pokus, wszędzie błyskają ogniste pioruny i zalewają nas fale, walczymy samotnie z burzą, zapominając, że tylko Jedna Osoba może nam pomóc. Ufamy własnej sile, dopóki nie stracimy nadziei i zaczynamy przygotowywać się na śmierć. Wtedy przypominamy sobie o Jezusie i jeśli wezwiemy Go na ratunek, nasze wołanie nie będzie daremne. Chociaż ze smutkiem gani On naszą niewiarę i ufanie sobie, zawsze udzieli nam pomocy, której potrzebujemy.

Chrześcijanie powinni bać się jednego i jest to uzasadniony strach. Powinni bać się pokładania ufności we własnych siłach i tego, by nie puścić ręki Jezusa Chrystusa. Powinni też wystrzegać się kroczenia chrześcijańską drogą w samotności.

Jak długo jednak zależymy od Chrystusa, który polegał na swym Ojcu, gdy żył tutaj na ziemi, tak długo jesteśmy bezpieczni. Gdy ufamy Jego doskonałej miłości, nie musimy się niczego obawiać.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ WYRZUTKÓW

Historia ta opowiada o sparaliżowanym człowieku. Dzięki pomocy przyjaciół, którzy zrobili otwór w dachu, został spuszczonej na linie przed oblicze Jezusa. To zdarzenie opisane jest w Ewangelii Marka, poczynając od pierwszego wiersza drugiego rozdziału:

„I znowu, po kilku dniach, (Jezus) przyszedł do Kafarnaum i usłyszano, że jest w domu. I zeszło się wielu, tak iż się przed drzwiami pomieścić już nie mogli, a głosił im słowo. I przyszli do niego, niosąc paralityka, a dźwigało go czterech. A gdy z powodu tłumu nie mogli się do niego zbliżyć, zdjęli dach nad miejscem, gdzie był i przez otwór spuścili łoże, na którym leżał paralityk. A Jezus, ujrawszy wiarę ich, rzekł paralitykowi: Synu, odpuszczone są grzechy twoje. A byli tam niektórzy z uczonych w Piśmie; ci siedzieli i rozważali w sercach swoich: Czemuż ten tak mówi? On bluźni. Któż może grzechy odpuszczać oprócz jednego Boga? A Jezus zaraz poznał w duchu swoim, że tak myślą w sobie, i rzekł im: Czemu tak myślicie w sercach swoich? Cóż jest łatwiej, rzec

paralitykowi: Odpuszczone są ci grzechy, czy rzec: Wstań, weź łoże swoje i chodź? Lecz abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy ma moc odpuszczać grzechy na ziemi, rzekł paralitykowi: Tobie mówię: Wstań, weź łoże swoje i idź do domu swego. I wstał, i wziął łoże, i wyszedł wobec wszystkich, tak iż się wszyscy zdumiewali i chwalili Boga, i mówili: Nigdyśmy nic podobnego nie widzieli” (Mk 2,1-12).

Kim był ów człowiek — główny bohater opowieści? Chciałbym zasugerować, że nic nie znaczył w mieście. Jako inwalida nie wychodził wcale z domu. Z pewnością nie wyróżniał się niczym szczególnym. Na domiar wszystkiego był wyrzutkiem. Każdego cierpiącego nieszczęśnika czy dotkniętego chorobą uważano za wielkiego grzesznika! W tym wypadku oskarżenie to było słuszne.

Niekiedy Jezus podkreślał, że choroby i nieszczęścia nie mają nic wspólnego z grzechami popełnianymi przez daną osobę. Powiedział tak w przypadku niewidomego, o którym czytamy w dziewiątym rozdziale Ewangelii Jana. Uczniowie zadali wtedy Mistrzowi pytanie, czy owa ślepotą jest skutkiem grzechu rodziców kaleki, czy też jego własnych? Jezus zaprzeczył, że ani jedno, ani drugie. Nie zmienia to faktu, że w oczach ludzi ten człowiek był zatwardziałym grzesznikiem, ponieważ był niewidomy.

Paralityk z Ewangelii Marka nie tylko został uznany za wielkiego grzesznika, ale był nim w istocie. Wszystko wskazuje na to, że jego dolegliwości były wynikiem grzesznego życia. Wielu komentatorów biblijnych twierdzi, że cierpiał on na jakąś chorobę weneryczną. Dlatego był wyrzutkiem.

Przyjaciele, jeden po drugim, odsuwali się od chorego, zostali przy nim tylko podobni do niego grzesznicy.

Ten człowiek wiedział, co znaczy nieczyste sumienie, które grzesznik na próżno chce zagłuszyć. Nie z opowieści, lecz z własnego doświadczenia znał ohydę grzechu. Wiedział, co to znaczy być wyrzutkiem. Dobrze znał ciężar winy, którą szatan przyniata człowieka. Uświadamiał sobie, jak plugawy jest grzech, ale mimo wszystko kochał go. Odczuwał niepokój, niezaspokojone pragnienia, był w niewoli, z której na próżno usiłował się wyrwać.

Zdawał sobie sprawę z tego, że nawet motywy, którymi się kierował w spotkaniu z Jezusem, nie były dobre. Dlaczego więc szukał pomocy? Czy zauważyliście, że kiedy jesteśmy przytłoczeni nieszczęściem, chorobą czy troskami i zwracamy się wtedy do Boga, szatan wzbudza w nas wyrzuty sumienia, iż kierujemy się jedynie egoistycznymi pobudkami, aby rozmawiać ze Stwórcą? Takie działanie człowieka zostało nazwane teologią rozpaczcy, a polega ono na interesowaniu się Bogiem tylko wtedy, gdy przychodzą problemy.

Oto więc widzimy grzesznika, który przyszedł do Jezusa. To jedyna dobra rzecz, którą ów nieszczęśnik uczynił. Próbował różnych sposobów, ale za każdym razem doznawał zawodu. Właściwie był już u kresu życia, gdyż choroba poczyniła znaczne postępy. Odwiedzał lekarzy, lecz rozwiali jego nadzieję, twierdząc, iż nie da się go uleczyć. Spotkał się też z faryzeuszami i przywódcami kościelnymi, ale i oni powiedzieli mu, że jest wielkim, pozbawionym nadziei grzesznikiem, wzgardzonym przez Boga i ludzi. Jego przyjaciele również zawie-

dli. Jednakże ta ostatnia próba, kiedy opuścili go przez otwór w dachu, okazała się najszcześniejszym momentem w całym jego życiu.

Jezusa otaczał wielki tłum ludzi. Kafarnaum w owych czasach nie było małym miasteczkiem. Gdyby ktoś udał się tam dzisiaj, mógłby przekonać się, że jest to miejsce raczej ciche, odwiedzane od czasu do czasu przez turystów robiących zdjęcia. Zachowały się jeszcze ruiny nad brzegiem Jeziora Galilejskiego, a także rzekome pozostałości domu Piotra, gdzie zdarzyła się opisana wyżej historia.

Po oczyszczeniu świątyni Jezus opuścił Judeę i udał się do Galilei, aby tam rozpocząć swoją służbę. W synagodze uzdrowił opętanego. Wieść o tym rozeszła się szybko po całym mieście. Dotarła nawet do tych, którzy nie chodzili do kościoła. Paralityk również o tym usłyszał.

Jezus uzdrowił tego dnia teściową Piotra, a później po zachodzie słońca wielką rzeszę ludzi, po czym oddalił się w stronę wzgórz, by tam się modlić.

Zdarzyło się jeszcze coś, o czym nie słyszano od czasów proroka Eliasza. Jezus uzdrowił trędowatego. Gdy rozeszła się o tym wieść, tłumy wokół Mistrza zrobiły się tak wielkie, że musiał oddalić się na pustkowie, by znaleźć tam wytchnienie.

Teraz Jezus znów przebywał w Kafarnaum, w domu Piotra. Tłoczyło się tu tak wielu ludzi, że nie można było dostać się do środka. Na prośbę chorego przyjaciele wnieśli go na dach, zdjęli pokrycie i opuścili sparaliżowanego między belkami podtrzymującymi całą konstrukcję.

Coś takiego byłoby bardzo krępujące dla każdego człowieka, który ma poczucie wstydu. Czy potrafi-

cie sobie wyobrazić, że znajdujecie się w podobnej sytuacji i tym samym zdajecie się na łaskę i niełaskę tłumu? Wszyscy wpatrywali się w chorego, gdy leżąc na noszach, opadał coraz niżej.

Ale on był już u kresu sił. Gdy człowiek znajduje się o krok od śmierci, wszystko przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wewnątrz zgromadzili się zarówno entuzjaści, szanowani obywatele miasta, jak i niewierzący czy po prostu ciekawscy. Nie zabrakło też szpiegów towarzyszących Jezusowi od Jerozolimy — faryzeuszy i saduceuszy, którzy czyhali na Jego życie. Oczywiście wyobraźni możemy zobaczyć te tłumy ludzi kłębiących się zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz domu, gdy stoją w drzwiach i przysłuchują się słowom Mistrza dobiegającym przez okno. Możemy nawet usłyszeć ciszę, jaka zapadła nagle w pomieszczeniu, gdy usłyszano łomotanie w dach. Wyczuwamy też napięcie które zawisło w powietrzu, gdy samotny człowiek został opuszczony tuż przed oblicze Jezusa.

Z opowieści dowiadujemy się, że Zbawiciel zobaczył ich wiarę. Nie zapominajmy o wierze czterech mężczyzn, którzy nieśli chorego. Nie znamy ich imion. Nie śpiewamy o nich ani nie opowiadamy o ich życiu. A przecież przynieśli tego nieszczęśnika przed oblicze Jezusa na ramionach wiary.

Teraz nastąpił najważniejszy moment w życiu sparaliżowanego. Jezus zwrócił się do niego: „Mój synu”. Mój synu? Czy mamy przez to rozumieć, że Bóg wszechświata nazywa kogoś takiego swoim synem? Jak to się ma do Boga sprawiedliwości, o którym słyszeliśmy? Do Boga, który ma listę i sprawdza ją dwukrotnie, aby upewnić się, ilu ludzi może zabrać

ze sobą do nieba. Ten Bóg nazwał synem człowieka z tak haniebną przeszłością.

To właśnie mówi Bóg: „Mój synu”.

Ewangelia Mateusza dodaje krótkie zdanie, którego nie ma w Ewangelii Marka: „Bądź dobrej myśli” (zob. Mt 9,2). Podobają mi się te słowa. Czy i dzisiaj takie pocieszenie nie przydałoby się komuś, kto jest obciążony winą, wyrzutami sumienia i grzechem? Czy istnieje choć jedna osoba, która czytając tę opowieść, nie odnajdzie w niej siebie, a nie tylko jeszcze jedną lekcję wpływającą z historii?

Czy w dzisiejszych czasach są tacy, którzy reprezentują tłum ludzi zarówno tych zaciekawionych, zwolenników, szanowanych obywateli, jak i tych niewierzących? A może znajdują się i tacy, którzy mogliby symbolizować sparaliżowanego? Jeśli tak, to słowa Jezusa są nadal aktualne — „Ufaj, twoje grzechy zostały przebaczone”.

Chrystus wiedział, że pierwszym i najważniejszym pragnieniem nieszczęśnika było pragnienie pokoju z Bogiem. To zaś miało przynieść jeszcze inne błogosławieństwa. Dlatego Jezus powiedział: „Mój synu, przebaczone są twoje grzechy”.

Ten człowiek tak bardzo dążył do uzyskania pokoju z Bogiem, że nie miało już dla niego znaczenia, czy będzie żył, czy też umrze. Liczyło się tylko przebaczenie grzechów. Resztę oddał w Boże ręce. Był szczęśliwy.

W czasie studiów miałem przyjaciela, bardzo spokojnego człowieka, który był nieco starszy od nas. Wrócił z Korei, gdzie służył w piechocie morskiej i dowodził plutonem żołnierzy. Pewnej nocy, pod osłoną ciemności rozjaśnianej tylko gwiaz-

dami, zaczęli wspinać się na szczyt góry, żeby zająć ją dla wojsk sprzymierzonych. Byli przekonani, że wzgórze za ich plecami jest już wolne od wrogów. Jednak ktoś nie wykonał dobrze zadania, gdyż okazało się, że pozostał tam jeden komunistyczny żołnierz z bronią maszynową. Gdy pluton wspinał się na szczyt, przeciwnik nagle otworzył do nich ogień. Najpierw serią z karabinu skosił żołnierzy znajdujących się niżej, potem wycelował wyżej i znów oddał serię. I tak ostrzeliwał ich z dołu do góry. Wykazał się przy tym wielkim sprytem.

Mój przyjaciel, wówczas dowódca plutonu, wiedział, że ma bardzo mało czasu. Słyszał jęki i lament umierających żołnierzy.

Pochodził z chrześcijańskiej rodziny, wiedział o Jezusie i Jego powtórny przyjściu, o niebie i wieczności, porzucił jednak te prawdy. Ale teraz, mimo iż kierował się niewłaściwymi pobudkami, spojrzał w stronę nieba i powiedział: „Boże, nie mam wiele czasu i nie proszę Cię, abyś ocalił moje życie. Nie zasługuję na to. Ale proszę, pomóż mi, abym mógł uczestniczyć w pierwszym zmartwychwstaniu”.

To było wszystko, czym interesował się w tej chwili — osiągnięcie pokoju z Bogiem. Reszta nie miała znaczenia.

Dziwnym trafem nie został nawet draśnięty i bezpiecznie powrócił ze wzgórza. Po skończonej wojnie rozpoczął studia teologiczne, gdyż chciał zostać pastorem. Później powrócił do armii jako kapelan, by pomagać żołnierzom, takim, jakim on był niegdyś.

Dlaczego tak postąpił? Ponieważ Bóg dał mu więcej niż oczekiwał — nie tylko przebaczenie, pokój

i nadzieję życia wiecznego, ale ofiarował mu też życie tu i teraz. I jeżeli coś takiego nam się przydarzy, musimy komuś o tym powiedzieć!

Wróćmy teraz do naszej biblijnej historii. Spalizowany człowiek leżał na łożku lub noszach, ciesząc się dobrą nowiną: „Mój synu, odpuszczam ci grzechy”. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce. Oczy nabrały blasku, a ciału wróciły dawne funkcje. Trudno poznać, w którym momencie przebaczenie i uzdrowienie łączą się w jedno, ale pewne jest, że stał się nowym człowiekiem. Leżał tak z uczuciem błogości i szczęścia.

Jednakże w tłumie zawsze znajdzie się ktoś, kto potrafi zepsuć dobry nastrój. Przywódcy kościoła mieli ponure myśli. Jezus znał je, rozumiał język ich ciała. Powiedział do nich: „Cóż jest łatwiej, rzec paralitykowi: Odpuszczone są ci grzechy, czy rzec: Wstań, weź łoże swoje i idź do domu swego” (Mk 2,9-11).

Czy łatwo było paralitykowi spełnić polecenie Jezusa? Na początku stworzenia, kiedy Wszechmocny przemówił, słuchał Go nawet najdrobniejszy pyłek. Na Jego polecenie powstały światy. Ale może człowiek ten lepiej by zrobił, gdyby nie podniósł się z łożka?

Czasem brniemy w ślepy zaułek, kiedy rozważamy, co mogłoby się wydarzyć, gdyby paralityk nie uwierzył słowom Jezusa. A jeśli się zawaha, co powinien uczynić najpierw: uwierzyć, czy też poruszyć mięśniami? Nie było czasu na takie spekulacje! Chciałbym zasugerować, że gdy znajdujemy się w obecności Dawcy życia, który mówi: „Powstań, weź swoje łoże i chodź”, to po prostu postępujemy według Jego słów. Nie ma sensu tracić czasu na rozmowę

lub dyskusję. Słyszac potężne słowo Boga, natychmiast powstajemy.

Chory stanął na nogi. Wziął swoje łóżko. I proszę zauważyć, teraz stał się kimś innym! Nie musiał już wracać tą samą drogą, którą się tu dostał — przez dach. Choć nie było już tam wolnego miejsca, to jednak tłum musiał rozstać się, aby ozdrowieniec mógł przejść.

Skierował się do drzwi i wyszedł, niosąc swe łóżko. Poszedł w stronę domu, a na jego twarzy malowało się zdziwienie z powodu cudu, jakiego doświadczył. Nie ma żadnych dowodów na to, że w drodze do Jezusa towarzyszyła mu żona z dziećmi. Zapewne rodzina często była świadkiem, jak opuszczał dom, by odwiedzić kolejnych lekarzy, uzdrowicieli lub znachorów. Obserwowała, jak przygnębiony wracał do domu w poczuciu porażki. Tym razem też wszyscy zostali w domu.

Teraz widzimy, jak wyglądają przez okno, rozchylając żaluzje lub jak siedzą na ganku, spoglądając nad ogrodzeniem. Nie dowierzają własnym oczom. Czy to rzeczywiście idzie ich ojciec? Biegnie, podskakując, niemal tańczy z emocji. Otrzymał nowe życie! Spotkał Zbawiciela!

Rodzina gromadzi się wokół cudownie uzdrowionego, a on opowiada im całą historię. Takie świadectwo wystarczyło, by żona i dzieci mogły z radością oddać swoje życie Jezusowi Chrystusowi.

Dlaczego Zbawiciel tak czynił? Dlaczego uzdrowiał ludzi? Chciał bowiem, by wszyscy wiedzieli, że ma moc przebaczenia grzechów. Jezus sprawiał, że grzesznicy stawali się Jego najlepszymi przyjaciółmi tu na ziemi. On nadal akceptuje grzeszników, przebacza im grzechy i daje moc.

Wielu ludzi odczuwa dzisiaj brak poczucia bezpieczeństwa, pewności i pokoju ducha. Chciałbym jednak zaprosić was, abyście przyłączyli się do sparaliżowanego, który jest przykładem tego, iż niezależnie kim jesteście, gdzie byliście, co uczyniliście, gdy przychodzicie do Jezusa, spotykacie się z akceptacją. Wciąż mamy szansę, by Chrystus przebaczył nam nasze grzechy.

To może sprawić, że będziemy poruszać się sprężystym krokiem, z sercem pełnym nowego życia, ponieważ Bóg ma nie tylko moc przebaczenia grzechów, ale również uzdrawiania. Może nas odmienić i przygotować do nowego życia. To wszystko dzieje się w obecności Jezusa Chrystusa.

Jakże powinniśmy być wdzięczni Bogu za to, że i dziś możemy przyjść do Jezusa, gdyż dał nam obietnicę przebaczenia i oczyszczenia z grzechów.

Psalmista wyraził to w następujących słowach:

*Błogosław, duszo moja, Panu
I wszystko, co we mnie, imieniu jego świętemu!
Błogosław, duszo moja, Panu
I nie zapominaj wszystkich dobrodziejstw jego!
On odpuszcza wszystkie winy twoje,
Leczy wszystkie choroby twoje;
On wieńczy cię łaską i litością!
(Ps 103,1-4).*

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ LUDZI POGRAŻONYCH W ŻAŁOBIE

Czy braliście kiedyś udział w udanym pogrzebie? A czy waszym zdaniem w ogóle możliwe jest określenie pogrzebu mianem „udany”? Spróbujmy zastanowić się nad tym, śledząc trzy fragmenty Pisma Świętego, w których Jezus staje w obliczu śmierci. Dzięki temu dowiemy się, jak Zbawca traktował ludzi zrozpaczonych.

Pierwszy opis znajduje się w siódmym rozdziale Ewangelii Łukasza, rozpoczynając od wiersza 11: „A zaraz potem [Jezus — p. tłum.] udał się do miasta, zwanego Nain, i szli z nim uczniowie jego i mnóstwo ludu. A gdy się zbliżył do bramy miasta, oto wynoszono zmarłego, jedyne go syna matki, która była wdową, a wiele ludzi z tego miasta było z nią. A gdy ją Pan zobaczył, użalił się nad nią i rzekł do niej: Nie płacz. I podszedłszy, dotknął się noszy, a ci, którzy je nieśli, stanęli. I rzekł: Młodzińcze, tobie mówię: Wstań. I podniósł się zmarły, i zaczął mówić. I oddał go jego matce. Wtedy lęk ogarnął wszystkich i wiel-

bili Boga, mówiąc: Prorok wielki powstał wśród nas i Bóg nawiedził lud swój" (Łk 7,11-16).

Czyż nie był to udany pogrzeb? To właśnie mi się podoba! Nie zaczął się może najlepiej, ale zakończył się triumfalnym powrotem konduktu do miasta Nain.

Spróbujmy uporządkować tę historię. Miasteczko Nain znajdowało się około trzydziestu pięciu kilometrów od Kafarnaum, nad brzegiem Jeziora Galilejskiego. Położone było zaledwie osiem kilometrów od Nazaretu. W tamtych czasach trumny nie miały zamknięcia. Zmarłych zawijano w płócienne prześcieradła i układano na wyplatanych z wikliny marach.

Jeżeli rodzina była biedna, w pogrzebie brało udział przynajmniej dwóch grających na flecie i wynajęta płaczka. Jeśli zaś rodzina była zamożna, mogła pozwolić sobie na wielu flecistów i kilka płaczek. Najwidoczniej wdowa cieszyła się sympatią mieszkańców Nain i dlatego w pogrzebie jej syna uczestniczyło niemal całe miasteczko. Gdy tylko kondukt opuścił miasto, napotkał tłum podążający za Jezusem. Tak więc dwie grupy ludzi spotkały się na wąskiej drodze niedaleko Nain.

Pierwsze, co zauważa się, śledząc jak Jezus traktował pograżonych w żałobie, to słowa skierowane do wdowy: „Nie płacz!”. Dziwnie one brzmią. Przecież płacz w tak smutnych okolicznościach jest najzupełniej uzasadniony. Czy coś złego kryje się w płaczu na pogrzebie? Nie. Jezus też płakał nad grobem Łazarza. Cóż więc oznaczają jego słowa? Zbawiciel powiedział tak, gdyż uzalił się nad wdową. Jego serce zostało poruszone jej smutkiem. Ulitował się nad nią. „Nie płacz!”. Jezus wiedział, że wdowa nie musi już płakać, gdyż zaraz stanie się coś niezwykłego.

I uczynił to. Podeszedł i dotknął pogrzebowych noszy. Żaden Żyd nie zrobiłby czegoś takiego. Ci, którzy nieśli mary, zatrzymali się, nagle ustał lament płaczących. Czy wyczuwacie tę napiętą atmosferę? Wokół noszy zgromadziła się grupa ludzi, mająca nadzieję wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Nad zmarłym stanął Ten, który wypędzał choroby i zwyciężał demony. Czy i śmierć poddawała się jego władzy?

Jezus wyraźnie i z mocą wypowiedział słowa: „Młodzieńcze, tobie mówię: Wstań!” (w. 14). Głos Zbawiciela zadźwięczał w uszach zmarłego. Chłopiec otworzył oczy. Jezus ujął go za rękę i podniósł. Wzrok młodzieńca padł na matkę i oboje połączyli się w długim radosnym uścisku.

Tłum patrzył na to wszystko długo, jak zahipnotyzowany. W ciszy wypełnionej nabożną czcią ludzie stali tak przez krótki czas, jakby w obecności samego Boga, co rzeczywiście miało miejsce. Później zaczęli wychwalać Pana. Czy chcielibyście się tam znaleźć? To był z pewnością udany pogrzeb!

Drugie wydarzenie tego rodzaju znajdujemy w piątym rozdziale Ewangelii Marka. W tym przypadku chodziło o małą dziewczynkę. Kiedy umiera dwunastoletnie dziecko, odbiera się to inaczej niż śmierć siedemdziesięcioletniego człowieka.

Historia ta zaczyna się w dwudziestym drugim wierszu piątego rozdziału Ewangelii Marka. „I przyszedł jeden z przełożonych synagogi, imieniem Jair, a ujrzawszy go, przypadł mu do nóg. I błagał go usilnie, mówiąc: Córeczka moja kona, przyjdź, włóż na nią ręce, żeby odzyskała zdrowie i żyła. I poszedł z nim; i szedł za nim wielki tłum, i napierali na niego”.

Gdy Jezus szedł z Jairem w stronę jego domu, zatrzymał się na chwilę, uzdrawiając kobietę, która dotknęła jego szaty. Zbawiciel zwrócił wtedy uwagę na wielką wiarę owej niewiasty.

Ciąg dalszy historii zaczyna się w trzydziestym piątym wierszu: „A gdy jeszcze mówił, nadeszli domownicy przełożonego synagogi i donieśli: Córka twoja umarła, czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?”.

Zwróćmy uwagę, jak wstrząsające były to słowa. Ale czy sądzicie, że wskrzeszenie z martwych stanowiło dla Jezusa jakiś problem? Czy myślicie, że było to kłopotem dla Tego, który jest Dawcą życia, dla Tego, który stworzył nas na początku i sprawia, że nasze serca biją w tej właśnie chwili? Czy był to problem dla Jezusa, który zmierzał właśnie do domu Jaira?

Ale posłańcy powiedzieli: „Czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?”.

Puśćmy wodze fantazji i postawmy się na miejscu Jezusa, który właśnie wrócił z audiencji u Najwyższego. Mamy zapewnienie Ojca, że będzie działał przez nas i że cała moc na niebie i ziemi jest do naszej dyspozycji. Wystarczy wypowiedzieć jedno słowo, by mała dziewczynka powróciła do życia. Czy byłby to dla nas problem, aby pójść i zbudzić ją ze snu śmierci? Ależ nie! Można by się pokusić o stwierdzenie, że kłopotliwe byłoby raczej trzymanie się od tego z daleka!

Pamiętam pogrzeb małego chłopca — ucznia szkoły podstawowej. Wszyscy jego koledzy i koleżanki z klasy zdawali sobie sprawę, że wkrótce umrze. Nie wiedzieli tylko, kiedy. Gdy pewnego dnia Hank zmarł i w kościele odbywała się ceremonia pogrze-

bową, przyszedli na nią wszyscy chłopcy i dziewczęta ze szkoły. Kolejno podchodzili do trumny, by pożegnać Hankę.

Pamiętam, że gdy stałem i przyglądałem się temu, wyobrażałem sobie, jak to wszystko mogłoby wyglądać w czasach Jezusa. Tak bardzo pragnąłem wtedy, by Chrystus przeszedł między kościelnymi ławkami, ujął Hankę za rękę i obudził go ze śmiertelnego snu.

Swymi cudami Jezus zwracał na siebie uwagę ludzi. Przede wszystkim jednak Jego pragnieniem było wywyższenie Ojca w niebie, dlatego potrafił wejść tam, gdzie leżał zmarły, przywrócić go do życia i oddalić się bez rozgłosu. I w rzeczy samej, po wskrzeszeniu córki Jaira, Jezus „przykazał im usilnie, aby się o tym nikt nie dowiedział” (Mk 5,43).

Gdybyśmy dysponowali taką mocą czynienia cudów, jaką miał Jezus, z pewnością chcielibyśmy, aby pisały o tym czołówki gazet. I właśnie dlatego jej nie mamy. Większości z nas nie można powierzyć mocy Bożej, ponieważ mogłoby to nas zniszczyć. Posłańcy powiedzieli, że nie ma już po co trudzić Zbawiciela. Gdy Jezus to usłyszał, rzekł do Jaira: „Nie bój się, tylko uwierz!” (w. 36). Taka jest właśnie odpowiedź na pytanie, jak Jezus traktował ludzi pogrążonych w żałobie. Pocieszał ich i dodawał odwagi.

„I nie pozwolił nikomu iść z sobą, z wyjątkiem Piotra i Jakuba, i Jana, brata Jakuba. I przyszedli do domu przełożonego synagogi, gdzie ujrzał zamieszanie i płaczących, i wielce zawodzących. A wszedłszy, rzekł im: Czemu czynicie zgiełk i płaczecie? Dziecię nie umarło, ale śpi” (w. 37-39).

Nigdy nie powinniśmy zapominać o tym, że to, co my nazywamy śmiercią, Jezus nazywał snem.

„I wyśmiali Go” (w. 40). Fleciści i wynajęci żałobnicy, sąsiedzi oraz przyjaciele rodziny śmiali się z Jezusa. Widzieli przecież dziewczynkę, leżącą nieruchomo i bez życia na łóżku. Dlatego powiedzieli: „Nie próbuj nam wmówić, że ona żyje”.

„(...) On, usunąwszy wszystkich, wziął z sobą ojca i matkę dziecięcia i tych, którzy z nim byli, i wszedł tam, gdzie leżało dziecko. I ująwszy dziewczynkę za rękę, rzekł jej: (...) Dziewczynko, mówię ci, wstań” (w. 40-41).

W tej chwili bezwładne ciało dziecka przeszył dreszcz. Serce znów zaczęło bić, a usta rozchyliły się w uśmiechu. Jej oczy rozwarły się szeroko, jakby obudziła się ze snu, i dziewczynka ze zdziwieniem spojrzała na stojących wokół niej ludzi.

Wstała, a rodzice wzięli ją w ramiona, płacząc z radości. Czy potraficie wyobrazić sobie tę scenę?

Jezus, który w ten sposób podchodził do ludzi zrozpaczonych, obiecał, że przyjdzie ponownie na ziemię. On wciąż ma tę samą władzę nad wrogiem i jego więzieniem. Nadal posiada moc, która może obudzić śpiących w prochu ziemi i pocieszyć pogrążonych w żałobie.

Trzecia historia, w której Jezus spotyka się ze śmiercią, została opisana w jedenastym rozdziale Ewangelii Jana. To opowieść o Marii, Marcie i Łazarzu. Jezus bardzo lubił odwiedzać dom swych przyjaciół. Kiedy tylko przybywał do Betanii, zawsze znajdował czas, by pójść do nich z wizytą.

Jednak gdy Łazarz zachorował, Jezusa nie było w mieście. Choroba okazała się niezwykle poważna. Od samego początku lekarz nie dawał mu żadnych szans. Sprawy nie wyglądały więc dobrze. Dlatego

Maria i Marta wysłały posłańców, aby odszukali Jezusa. Nie było to łatwe, ale udało się. Natychmiast powiadomili Go o ciężkiej chorobie Łazarza, a On rzekł, że choroba ta nie będzie powodem jego śmierci (zob. w. 4).

Posłańcy powrócili do Betanii i przekazali dobre wieści. Siostry szybko udały się do pokoju brata i powiedziały mu:

— Łazarzu nie musisz się martwić. Mamy wiadomość od Jezusa. Nie umrzesz.

— Naprawdę?

— Tak. To właśnie powiedział Jezus posłańcom. Nie umrzesz.

— Bardzo mnie to cieszy.

I w Łazarzu odżyła nadzieja, że wyzdrowieje, choć jego stan wciąż się pogarszał. Aż w końcu zapadł w śpiączkę, a potem umarł. Marii i Marcie trudno było się z tym pogodzić. Jak trudny okazał się dla nich sprawdzian wiary w Jezusa!

Wróćmy teraz do miejsca, gdzie przebywał Chrystus. Powiedział do swych uczniów: „Łazarz nasz przyjaciel zasnął, ale idę zbudzić go ze snu” (w. 11). A oni odpowiedzieli: „Panie! Jeśli zasnął, zdrów będzie” (w. 12).

Uczniowie zmartwili się słowami Nauczyciela, gdyż usłyszeli, że ludzie z okolic Jerozolimy nastają na jego życie. Powstał nawet plan zabicia Jezusa, dlatego obawiali się, że gdy wrócą wraz z nim do miasta, ich życie również zostanie zagrożone. W trosce o własną skórę odpowiedzieli: „Nie wracajmy tam. Jeżeli Łazarz zasnął po tym, jak ciężko zachorował, to dobrze. Niech śpi. Potrzebuje teraz snu. My zostaniemy tutaj” (por. w. 8-12).

Jezus nie zamierzał jednak zostawać i chciał obudzić Łazarza. Uczniowie gorąco protestowali.

W tym momencie Chrystus niechętnie użył słów, których my zwykle używamy w chwili czyjejś śmierci. Nie przeoczcie tego, proszę! Jezus nie lubił słowa śmierć. Tego stanu nie nazywał śmiercią. W końcu jednak powiedział wyraźnie: „Nasz przyjaciel Łazarz umarł”. Chrystus wołał jednak słowo sen i muszę przyznać, że mnie także bardziej ono odpowiada. Kiedy śpimy, nie jest z nami wcale tak źle. Kiedy śpimy, przyjdzie też czas na pobudkę (zob. w. 14).

Gdy droga nam osoba, która wierzy w Chrystusa, umiera, możemy powiedzieć za Jezusem: „Ta choroba nie będzie powodem jej śmierci”. Dla wierzącego śmierć nie ma znaczenia. Kiedy nasi bliscy umierają w Chrystusie, czas żałoby można zastąpić radością. My nie smucimy się tak jak ci, którzy nie mają nadziei, gdyż wiemy, że kto zasypia w Chrystusie, wkrótce zbudzi się ze snu śmierci.

Gdy spoglądamy w przyszłość, czas żałoby traci swe żądło. Z utęsknieniem czekamy na chwilę, kiedy Jezus powróci i obudzi tych, którzy zasnęli. Tutaj właśnie, w połowie historii o Łazarzu, znajdują się słynne słowa: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot, kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. A kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki. Czy wierzysz w to?” (w. 25-26).

Podobne pytanie mógłbym zadać też i dzisiaj. Jezus powiedział, że ktokolwiek w Niego wierzy, choćby nawet i umarł, żyć będzie. Czy wierzysz w to? Ci, którzy wierzą, mogą uczestniczyć w „udanych” pogrzebach, nawet jeśli będą na nich płakać.

Często przecież płaczemy, kiedy mówimy „do widzenia” przyjacielom wyjeżdżającym w daleką podróż. W płaczu nie ma nic złego. Ale my nie smucimy się jak ci, co nie mają nadziei (zob. 1 Tes 4,13).

Tak więc Jezus udał się na cmentarz wraz z Marią i Martą, a tłum podążył za nimi. Stał u wejścia do wydrążonej w skale pieczary i rzekł: „Usuńcie kamień”.

Nawet Marta cofnęła się, mówiąc: „Tym razem posuwasz się za daleko”.

Jezus przekonywał uczniów, że Łazarz zasnął. Ale w chwili, gdy odsuwano kamień, spał tak już czwarty dzień. Nikt nie mógł tym razem wątpić, że był naprawdę martwy.

Odsunięto jednak kamień i wszyscy z zapartym tchem obserwowali, jak Jezus pomodlił się prostymi słowami. Następnie zawołał: „Łazarzu, wyjdź!” (w 43).

Niektórzy twierdzili, że gdyby Chrystus nie nazwał Łazarza po imieniu, to z pewnością cały cmentarz zaroiłby się od wskrzeszonych ludzi. Być może jest to prawda. Jednak tylko Łazarz powstał z martwych i wrócił do rodziny i przyjaciół. Cóż za niezwykła historia!

Dzisiaj możemy cieszyć się dobrą nowiną, która mówi, że to, co nazywamy śmiercią, jest tylko snem, i że Chrystus wciąż posiada moc zdolną obudzić nas ze snu śmierci do życia wiecznego. Możemy cieszyć się, że Jezus jest nadal potężniejszy od śmierci i grobu. Gdy pociesza nas w chwilach żałoby, jednocześnie zachęca do tego, byśmy z utęsknieniem czekali na dzień Jego przyjścia, w którym śmierć zostanie z triumfem pochłonięta.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ NOTORYCZNYCH GRZESZNIKÓW

Gdy niedużym chłopcem byłem
od płaczu się zanosilem,
kiedy mój braciszek mały
dostawał kawał ciasta okazały.

Mój ojciec miał zwyczaj cytować ten wierszyk mnie i mojemu bratu. Od czasu do czasu istniała konieczność usłyszenia go po raz kolejny!

Pewnego roku kilku sympatycznych członków Kościoła podarowało mojemu bratu i mnie po torebce cukierków tak twardych, że można je było ssać godzinami. Rodzice natychmiast zareagowali. Nie chcieli, byśmy psuli sobie zęby i żołądki. Toteż ustanowili pewne zasady: tylko jeden cukierek i to w trakcie posiłku. Żadnych słodczy między posiłkami.

No cóż, to było ponad siły małego chłopca. Toteż sięgałem do swej torebki z cukierkami znacznie częściej. Kiedy mój ojciec dowiedział się o tym, natych-

miast zniszczył jej zawartość. Wtedy zrodził się we mnie niepokój o zdrowie mojego brata, więc czym prędzej wyrzuciłem jego cukierki do muszli klozetowej!

Czemu postępujemy w ten sposób? Dlaczego tak bardzo staramy się być zawsze górą, co w skrajnej formie ujawnia się czasie wojny lub podczas niewinnych gier towarzyskich? Co sprawia, że futbol, a także inne dziedziny sportu, stają się narodową pasją? Dlaczego wszyscy koncentrujemy się na tym, kto wygra, kto osiągnie szczyt, kto będzie pierwszy?

A wszystko zaczęło się od grzechu, prawda? Stało się to wtedy, gdy Lucyfer zapragnął być największym. Takie pragnienie jest mocno zakorzenione w ludzkiej naturze. Nawet uczniowie Jezusa ulegali wciąż na nowo owej grzesznej skłonności bycia największym. W doświadczeniach apostołów możemy dostrzec piękny przykład tego, jak Jezus obchodził się z notorycznymi grzesznikami.

Czy to możliwe, aby święci grzeszyli? Jak Jezus traktuje świętych, którzy grzeszą? Czy jest możliwa taka sytuacja, że grzeszymy zupełnie świadomie, co więcej, wciąż popełniamy ten sam grzech, ale nadal jesteśmy chrześcijanami? Chciałbym zasugerować, że jest to bardzo praktyczne pytanie. Mam na nie tak ekscytującą odpowiedź, że aż nie mogę się doczekać, by się nią podzielić! Najpierw jednak przeczytajmy odpowiedni fragment z Pisma Świętego, by dowiedzieć się jak Jezus traktował tego rodzaju ludzi.

„I przybyli do Kafarnaum. A będąc w domu, zapytał ich: O czym to rozprawialiście w drodze? A oni milczeli, bo rozmawiali między sobą w drodze o tym, kto z nich jest największy” (Mk 9,33-34).

Nastał czas, kiedy Jezus udał się w stronę Jerozolimy. Uczniowie byli pewni, że nadeszła już chwila, gdy Nauczyciel założy swoje królestwo, swoje ziemskie królestwo. Ale oni nie wyjaśnili jeszcze między sobą pewnych kwestii. Otóż, musieli zdecydować, kto będzie prezydentem, a kto premierem, czyli kto będzie piastował najwyższe stanowiska w nowym królestwie.

Uczniowie kontynuowali rozmowę podczas drogi do Jerozolimy, zajmując się rozwiązywaniem niezłatwionych jeszcze spraw. Wiedzieli jednak, iż źle czynią, toteż pozostawali daleko w tyle za Jezusem. W tym czasie On przekroczył już granice Kafarnaum, zaś apostołowie tak bardzo się wlekli, że nawet nie słyszał, o czym rozmawiali.

To jest wręcz zabawne. Wszak ci ludzie przebywali z Jezusem od trzech lat. Stale wyznawali, że wierzą w Niego jako Syna Bożego. A teraz widzimy, jak próbują mówić szeptem, aby Bóg (przypadkiem) ich nie usłyszał!

Stąd płynie dla nas szczególnie interesująca nauka na temat grzechu. Trudno jest grzeszyć w obecności Jezusa. Czy już to odkryliście? Nawet ludzie najbardziej skłonni do zła, nie potrafią grzeszyć w obecności tego, którego kochają i szanują. Tak więc, by nadal grzeszyć, musimy odczuwać nieobecność Boga, oddalenie od Jezusa.

Gdy uczniowie przybyli do Kafarnaum, udali się wraz ze swoim Mistrzem do domu, w którym mieli się zatrzymać. Znalazłszy chwilę spokoju, Jezus zapytał ich: „O czym tak rozprawialiście w drodze?”.

Uczniowie zaczęli się nerwowo wiercić i nic nie odparli. Biblia mówi, że „wstydzili się odpowiedzieć

na to pytanie". Tak, wtedy należało milczeć! Kiedy moi rodzice zapytali, co zrobiłem z podarowanymi cukierkami mojego brata, ja też wstydzilem się odpowiedzieć!

Ale Jezus nalegał, więc po dłuższym milczeniu jeden z apostołów rzekł: „No cóż, hm, hm, zastanawialiśmy się nad tym, kto w Twoim królestwie będzie największy”.

Ziemskie życie Jezusa było pełne pokory. Zbawiciel poniżył się i wyrzekł wszelkiej chwały, o czym czytamy w drugim rozdziale Listu do Filipian. Ten, któremu wszystkie zastępy niebiańskich istot składały hołd i oddawały cześć, przyszedł na świat w stajni. Ten, który był bogaty, stał się biedny, abyśmy jego ubóstwem zostali ubogaceni. Wciąż na nowo starał się pokazywać uczniom, że prawdziwa wielkość polega na pokorze. Niestety, oni nie zrozumieli Jego misji.

W tej sytuacji Jezus mógłby powiedzieć do swych dwunastu uczniów: „Zejdźcie z moich oczu, wy godni pożałowania. Dajcie mi innych dwunastu, abym zaczął wszystko od nowa”.

Lecz zamiast tego przysiadł się do nich i rzekł: „Jeśli ktoś chce być pierwszy, niechaj stanie się ze wszystkich ostatnim i sługą wszystkich. Potem wziął małe dziecko, postawił je przed nimi i wziawszy je w ramiona, rzekł do nich: Kto by przyjął jedno z takich dziełek w imieniu moim, mnie przyjmuje, a ktokolwiek by mnie przyjął, nie mnie przyjmuje, lecz tego, który mnie posłał” (Mk 9,35). Jezus zawsze posługiwał się przykładem małych dzieci, aby pokazać, jak w rzeczywistości wygląda Królestwo Niebieskie.

Nauczyciel odnosił się życzliwie do swoich uczniów. Nie potępiał ich. W dalszym ciągu cierpliwie próbował nauczyć ich tego, co było im tak potrzebne. Przede wszystkim dalej z nimi przestawał, chodził, pracował, podróżował, a nawet powierzył im swoje dzieło i misję.

Cytowana wyżej lekcja biblijna pokazuje nam, że apostołowie byli winni grzechu. Jakiego? Grzechu pychy. Ale — powiemy — wszyscy mamy jej choć odrobinę. Na tym przecież opiera się nasz świat. Zdażyliśmy się do niej przyzwyczaić. Natomiast uświęcenie, to praca całego życia. Być może, zanim umrzemy, uporamy się już z tym drobnym problemem.

Jeśli jednak dogłębnie przestudiujecie tę kwestię, odkryjecie, że pycha to w oczach Bożych jeden z najgorszych grzechów. To najbardziej obraźliwy względem Boga występpek, gdyż zupełnie przeczy Jego naturze. Pycha zapoczątkowała całe zło we wszechświecie. Tak więc grzech popełniony przez uczniów nie należał do zwyczajnych; stanowił poważne przewinienie. Oni dobrze wiedzieli, że postępują niewłaściwie, zdawali sobie z tego sprawę, ale mimo to czynili tak nadal i to przez cały czas przebywania z Jezusem. Pozostaje faktem, że nawet podczas Ostatniej Wieczerzy, na krótko przed ukrzyżowaniem, apostołowie dopuścili się tego grzechu. Można więc powiedzieć, że był to grzech świadomy, ciągle popełniany, nałóg pielęgnowany i uporczywy.

Pismo Święte uczy nas, jak Jezus traktował zatwardziałych grzeszników, przestępujących Boże prawo świadomie i z upodobaniem.

Ktoś powiedział, że problem uczniów krył się w nienawróceniu. Ale oni wypędzali demony, uzdrawiali trędowatych, wzbudzali z martwych. Czy nienawróceni ludzie czynią takie rzeczy?

To przecież do nich powiedział Jezus, gdy powrócili ze swej misji wraz z siedemdziesięcioma innymi uczniami: „Radujcie się, ponieważ wasze imiona zapisane są w niebie” (zob. Łk 10,20). A przecież Jan w trzecim rozdziale i w trzecim wierszu Ewangelii mówi, że jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie ujrzy Królestwa Niebieskiego. Trudno się więc zgodzić z założeniem, że uczniowie byli nienawróceni. I co teraz?

Jak Jezus traktuje uczniów winnych uporczywego grzechu? Obrazuje to klasyczne stwierdzenie zapisane w Ewangelii Mateusza 12,21: „Každy grzech i bluźnierstwo będzie ludziom odpuszczone (...)”. Czyż to nie jest dobra nowina? Jeżeli każdy grzech może być wybaczony, dotyczy to również uporczywego, notorycznego grzechu. Przebaczenie obejmuje także najgorsze występki: pychę, morderstwo, cudzołóstwo czy inne.

Jezus przebaczał wszystkie grzechy. Nadal chodził z uczniami i starał się przekazywać im swe nauki.

Można by z tego wyciągnąć pochopny wniosek, że grzeszenie nie jest niczym złym, że nie stanowi wielkiego problemu. Być może posłuszeństwo i przezwyciężanie pokus nie jest ani konieczne, ani możliwe. Jednak musimy pamiętać o tym, co Jezus powiedział Marii Magdalenie, gdy została do niego przyprowadzona: „Ja ciebie nie potępiam”. To jest dobra nowina.

Nie, na tym się nie skończyło. Co jeszcze powiedział Jezus? Rzekł: „Idź i nie grzesz więcej”. To także dobra nowina.

Prawdą jest, że Bóg miłuje grzeszników, chociaż nienawidzi grzechu. Dlatego użycza nam swej mocy posłuszeństwa, abyśmy zwyciężyli grzech. Udziela też przebaczenia ludziom słabym, niedojrzałym i wzrastającym chrześcijanom. Stale przy nich trwa.

Mamy swobodny dostęp do mocy, dzięki której możemy nie grzeszyć. Jednak dopiero świadomość akceptacji i miłości ze strony Jezusa oraz ciągła łączność z Nim dają nam siłę, by iść i więcej nie popełniać błędów. Dlatego konieczne jest, by każdy notoryczny grzesznik wiedział, jak korzystać z tej dostępnej dla każdego mocy.

Od swych błędów uwalniają się tylko te osoby, które wiedzą, że są kochane i akceptowane, mimo iż nadal mają grzeszne skłonności. Czy to prowadzi do pobłażania sobie? Ależ nie! Jednak tylko ścisła łączność z Jezusem pozwala odnieść zwycięstwo.

Z tej biblijnej historii można by wyciągnąć wnioski, że możliwe jest, aby pozostawać w relacji z Bogiem i jednocześnie uporczywie grzeszyć. Uczniowie tak właśnie żyli. Zgadzacie się z tym?

Ale chociaż z początku można pogodzić te dwie postawy: być blisko Boga i równocześnie grzeszyć, wcześniej czy później jedna z nich musi zwyciężyć.

Judasz rozumiał tę zasadę, gdyż był bardzo sprytny. Toteż świadomie wybrał grzech, rezygnując tym samym ze ścisłego związku z Jezusem.

Tutaj dochodzimy do istoty rzeczy, która kryje się w uporczywym i pewnym siebie pielęgnowaniu grzechu. Judasz wiedział, jak go pokonać, ale celowo nie zrobił tego. Kiedy ktoś odrzuca związek z Jezusem i wybiera nieprawość, wkracza na bardzo niebezpieczny grunt. Być może spotkaliście ludzi,

którzy wzbraniali się przed nadmierną pobożnością, ponieważ obawiali się zmiany swego stylu życia. Tak właśnie stało się z Judaszem.

Ale pozostali uczniowie pragnęli być z Jezusem bez względu na koszty. Na przykład Jan stał zawsze blisko swego Mistrza. Nic nie mogło odłączyć go od Zbawiciela. Jednak aż trzy lata zajęło mu zaakceptowanie zwycięstwa, jakie oferował Jezus. I chociaż Jan był nie mniej grzeszny niż Judasz, nie zważał na to i wciąż chodził z Jezusem.

Minęło wiele lat. Z dwunastu apostołów tylko Jan pozostał przy życiu. Reszta zginęła męczeńską śmiercią. Starego Jana prawdopodobnie odwiedzali przyjaciele. Słuchali jego słów: „Umiłowani, miłujmy się nawzajem, gdyż miłość jest z Boga!” (1 J 4,7).

A oni mówili:

— Janie, jakże się zmieniłeś.

Jan zdziwiony patrzył na nich i pytał:

— Kto, ja?

Działo się tak dlatego, ponieważ ludzie, którzy się zmienili, nie zdają sobie z tego sprawy i byłiby ostatnimi, którzy by to rozgłaszali. Ale w sercu Jana działała łaska Boża. Nazywany niegdyś jednym z „synów gromu”, powiada obecnie: „Umiłowani, teraz dziećmi Bożymi jesteśmy, ale jeszcze się nie objawiło, czym będziemy. Lecz wiemy, że gdy się objawi, będziemy do niego podobni, gdyż ujrzymy Go takim, jakim jest” (1 J 3,2).

Moi przyjaciele, pragnę, byście pamiętali o ciągłym poznawaniu Jezusa, jako waszego osobistego Przyjaciela, przez modlitwę, studiowanie Jego Słowa — jeżeli nic nie zdoła nas od Niego odłączyć, to podobnie jak umiłowany apostoł Jan, doświadczymy

przemiany charakteru. Nie jest ważne, z jak wielkim grzechem się zmagacie, w końcu zniknie on z waszego życia.

Czasami stajemy się niecierpliwi i próbujemy opracować wykres naszego wzrostu duchowego. Nie róbmy tak. Zostawmy to lepiej Bogu i dziełu Ducha Świętego. Zasadą chrześcijańskiego wzrostu jest najpierw zakiełkować, wypuścić kłos, a następnie wydać plon. Przyniesienie owocu wymaga czasu.

Ale miłość posiada własne zabezpieczenie, które chroni przed niewolą grzechu. Im bardziej kochamy, tym bardziej cenimy Bożą łaskę. Kiedy wzrastamy i uczymy się wraz z apostołami, jak kochać Boga i całkowicie Mu ufać, jakże wdzięczni możemy być za to przesłanie, mówiące, jak Jezus traktował nałogowych grzeszników.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ OPĘTANYCH

Chór właśnie odśpiewał poranny hymn. Chórzysci powracali na swoje miejsca i siadali w ławkach, szeleszcząc cicho szatami. Wśród zgromadzonych na nabożeństwie nastąpiło chwilowe zamieszanie, gdyż każdy poprawiał się na krześle, starając się wygodnie usadowić przed rozpoczęciem kazania.

Tego poranka kościół był wypełniony do ostatniego miejsca. Wśród zebranych odczuwało się z trudem skrywane podniecenie, ponieważ mówcę znano z Jego kontrowersyjnych poglądów. Nieczęsto zapraszano Go do wygłaszania swoich opinii w miejscu publicznym, a nawet krążyły pogłoski, że jedno z nabożeństw, w którym brał udział, zakończyło się nieomal rozruchami. Stojący na podwyższeniu starszy zboru był, co zrozumiałe, trochę podenerwowany, kiedy spojrzał na mówcę i skinął nieznacznie głową. Dał tym samym znak, że czas rozpocząć kazanie.

Kaznodzieja stanął na podwyższeniu i już miał otworzyć usta, gdy nagle tylne drzwi do świątyni otworzyły się z hukiem. Do środka, wrzeszcząc, wpadł opętany

i zataczając się między dwoma rzędami ławek, zatrzymał się przed Jezusem. Możemy przeczytać o tym w Ewangelii Łukasza 4,36: „A w synagodze był człowiek opętany przez ducha nieczystego, który zawołał głośno”.

Określenie „opętany przed ducha nieczystego” brzmi trochę zabawnie. Bo czy można być opętanym przez ducha czystego? Był to jednak człowiek szczególnie niebezpieczny.

Opętany zawołał głośno: „Ach cóż mamy z tobą, Jezusie Nazareński? Przyszedłeś nas zgubić? Wiem, kim Ty jesteś. Święty Boży”. Zwróćmy uwagę na użyte tu formy gramatyczne. Jest to bardzo interesujące. „Ach, cóż mamy z tobą?”, „Przyszedłeś nas zgubić”. Zapewne demon zaczął mówić zarówno w swym własnym imieniu, jak i w imieniu człowieka, którego opętał. Ale zakończył w liczbie pojedynczej: „Wiem, kim Ty jesteś”. Prawdopodobnie nawiedzony człowiek nie zdawał sobie sprawy, w czyjej obecności tak nieoczekiwanie się znalazł. Demon jednak doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

To musiał być zapewne nieco nerwowy demon. Być może miał tamtego dnia tak bardzo awanturnicze usposobienie, że zdecydował się przerwać nabożeństwo, na którym znalazł się Jezus — Stwórca wszechświata. Oprócz tego, że był nerwowy, nie grzeszył też wielkim sprytem. Powinien przecież wiedzieć, jak kończy się konfrontacja demonów z Jezusem. „A Jezus zgromił go, mówiąc: Zamilknij i wyjdź z niego! A demon rzucił go na środek i wyszedł z niego, nie wyrządziwszy mu żadnej szkody. I zdumienie ogarnęło wszystkich i mówili między sobą: Cóż to za mowa, że mając władzę i moc, nakazuje duchom nieczystym, a wychodzą?”.

W Biblii znajduje się siedem opisów konfrontacji Jezusa z demonami. Zanim przejdziemy do omówienia ich, zwróćmy uwagę na trzy charakterystyczne cechy przytoczonego wyżej spotkania z duchem nieczystym:

1. Kontakt i rozmowa Jezusa z demonem trwały krótko.

2. Demon musiał natychmiast opuścić swą ofiarę.

3. Przynajmniej w tym szczególnym przypadku nie było nikogo, kto wstawiłby się za opętanym u Jezusa.

Nikt nie przyprowadził tego cierpiącego człowieka do Zbawiciela, ani też nie szukał u Niego pomocy w imieniu opętanego. On przyszedł sam. W rzeczywistości nie był jednak w stanie prosić o jakąkolwiek pomoc, bo gdy próbował coś powiedzieć, przemówił przez niego demon. Ale Jezusowi nie przeszkodziło to wcale w wybawieniu i ocaleniu go.

Drugie zdarzenie zostało zapisane w Ewangelii Mateusza 9,32-34 i jest bardzo krótkie: „A gdy oni wychodzili, przyprowadzono do Niego niemowę, opętanego przez demona. A gdy demon został wypędzony, niemy przemówił. I zdumiał się lud i mówił: Nigdy coś podobnego nie pokazało się w Izraelu”.

Zauważmy, że w tej historii pojawiają się pośrednicy, gdyż czytamy, że „przyprowadzono do Niego niemowę, opętanego przez demona”. Spotkanie trwało krótko. Wyraźnie widać, że demony zostały zmuszone do opuszczenia opętanego na rozkaz Jezusa.

Ludzie, którzy przywiedli niemowę do Mistrza, sami nie mogli mu w żaden sposób pomóc. Ale wiedzieli, że należy przyprowadzić go do Jezusa. Czy

nie było to mądre posunięcie z ich strony? I dzisiaj każdy kto zna człowieka w podobnej sytuacji — dręczonego i uciskanego — może wziąć przykład z tych ludzi i przyprowadzić go do Jezusa. Tylko On ma moc uzdrawiania i odnowy.

O trzecim wydarzeniu czytamy w Ewangelii Mateusza 12,22: „Wtedy przyniesiono do niego opętanego, który był ślepy i niemy, i uzdrowił go, tak że odzyskał mowę i wzrok”.

Dalszą część historii stanowi dialog między Jezusem i faryzeuszami. Także i w tym epizodzie spotkanie Jezusa z nieczystymi duchami było krótkie i zakończyło się ich całkowitą klęską. Przywódcy religijni oskarżyli Jezusa o posługiwanie się diabelską mocą przy wypędzaniu demonów. On zaś odparł ich zarzuty trudnymi do zbiccia argumentami. Opowiedział im przypowieść o pustym, wysprzątanym i przyozdobionym domu, gdzie w miejsce jednego, powróciło wiele złych duchów. Wrócimy jeszcze do tej przypowieści, teraz jednak zajmijmy się kolejną historią.

To jedna z dobrze znanych nam opowieści o opętanych uwolnionych od sił nieczystych i demonach, które weszły w świnie i spadły z urwiska do morza. Ta historia znajduje się w ósmym rozdziale Ewangelii Mateusza i Łukasza. W tym przypadku Jezus wdał się w krótką rozmowę z demonami. Według Ewangelii Łukasza zapytał ducha: „Jak ci na imię?”. Ten odpowiedział: „Legion” (zob. w. 30).

W czasach Chrystusa armia rzymska była podzielona na legiony. Każdy legion liczył od trzech do pięciu tysięcy żołnierzy. Najwidoczniej szatan posiadał w zapasie wiele bezczynnych demonów, skoro

w swej rozrzutności pozwolił, aby od trzech do pięciu tysięcy złych, nieczystych duchów zajmowało się jedną lub dwiema osobami!

Popularne twierdzenia na temat egzorcyzmów głoszą, że egzorcysta musi rozmawiać indywidualnie z każdym demonem i wypędzać pojedynczo, jednego po drugim. Gdyby Jezus zastosował tę zasadę w praktyce, to z pewnością długo nie uporałby się ze wszystkimi.

Tak więc chociaż istnieją biblijne dowody, że człowiek może być opętany przez wiele demonów, nie znaczy to wcale, iż każdego złego ducha trzeba wypędzać indywidualnie. Kiedy Jezus im rozkazał, wszystkie wyszły. Była to, jeśli wolno tak powiedzieć, transakcja wymienna, na mocy której demony weszły w świny, te zaś wpadły do morza. Wtedy okoliczni mieszkańcy zwrócili się do Jezusa z błaganiem, by opuścił ich strony, gdyż bali się utracić resztę dobytku.

W tym przypadku nie było pośrednika. Raz jeszcze złe duchy okazały brak zdrowego rozsądku, czy raczej brak zimnej krwi, gdyż spotkały się z Jezusem dobrowolnie. Były jednak na tyle przytomne, by powiedzieć, jak czytamy w Ewangelii Mateusza 8,31: „Jeśli nas wypędzasz, to poślij nas w tę trzodę świń”.

Piąte wydarzenie znajdujemy w Ewangelii Mateusza 15,21-28. To historia fenickiej kobiety, która miała wielką wiarę. Nie dając za wygraną, usilnie prosiła, by Jezus pozwolił jej skorzystać choć z okruszków ze swego stołu. Jej problemem była córka boleśnie dręczona przez demona. Kończąc rozmowę z niewiastą, Jezus rzekł: „Wielka jest wiara twoja, niechaj ci się stanie, jak chcesz”. Mateusz wieńczy

opis tego cudu następującymi słowami: „I uleczona została jej córka od tej godziny”.

W owej opowieści pojawia się pośrednik — matka opętanej dziewczyny, zaś córka jest tu nieobecna. Została więc uwolniona, jeśli można tak rzec, będąc nieobecna. Choć nie znalazła się bezpośrednio przed Jezusem, Jego słowa uleczyły ją.

O szóstym wydarzeniu czytamy w Ewangelii Marka 9,14-29. To długa opowieść. Jezus właśnie zstąpił z Góry Przemienienia. Na tę szczególną wyprawę wziął ze sobą trzech uczniów. Pozostałych dziewięciu z zazdrością spierało się o to, kto spośród nich jest największy. W tym stanie ducha stanęli do walki z demonami i zostali przez nie pokonani. Przegrali, choć ich Mistrz zawsze wychodził zwycięsko z takich konfrontacji.

Gdy na scenę wkroczył Jezus, ojciec chorego chłopca wyjaśnił, co się stało i poprosił Go: „Jeśli możesz, zrób coś”. Jezus odparł: „Wszystko jest możliwe dla wierzącego”. „Człowiek zawołał wtedy: Wierzę, ale pomóż niedowiarstwu memu”.

Był to wspaniały dzień wybawienia dla chłopca, którego Jezus uzdrowił.

Kiedy tłum rozproszył się, uczniowie spytali Mistrza, dlaczego sami nie umieli wypędzić demona. On zaś odpowiedział: „Ten rodzaj w żaden inny sposób wyjść nie może, jak tylko przez modlitwę i post”.

Ale Jezus, o ile wiemy, gdy wygnał złego ducha, nie pościł. Łatwo jest potraktować dosłownie ten fragment, myśląc, że na Bogu robi wrażenie to, że odmawiamy sobie jedzenia. W żaden sposób nie pasuje to do słów Jezusa, który mówił, iż Bóg pragnie obdarowywać swoje dzieci prezentami. Bożych

darów nie zdobywamy przez pracę — otrzymujemy je za darmo. W takim razie, co Jezus miał na myśli? Zbawiciel mówił o potrzebie nieustannej łączności ze swym Ojcem. Nie starał się wznosić na wyżyny ducha tylko wtedy, gdy wymagała tego sytuacja. Wręcz przeciwnie. Każdego dnia utrzymywał więź z Bogiem i spędzał z Nim czas. To było dla Niego ważniejsze niż posiłek. Dzięki temu pozostawał pod wpływem swego Ojca i w każdej chwili mógł stawić czoło diabelskim zakusom.

Z drugiej strony, Jego uczniowie nie spędzali nocy czy wczesnego ranka na łączności z Niebem, jak On to czynił. Poszli spać po kłótniach i zgrzytach o to, kto z nich jest największy. Oddzieleni od mocy Niebios na skutek własnego wyboru stanęli naprzeciw wroga, uzbrojeni jedynie we własną kruchą siłę.

Zawsze, gdy samotnie zmagamy się z potęgami ciemności, stoimy na straconej pozycji. Jeżeli nie mamy mocy Chrystusa, to każdą próbę konfrontacji z diabłem można nazwać zwykłą głupotą. On jest silniejszy od nas i zawsze ma nad nami przewagę. Tylko potężna moc Jezusa wystarcza do pokonania wroga, a może ją otrzymać każdy, kto codziennie trwa w kontakcie z Bogiem.

Sami nie jesteśmy w stanie uporać się nie tylko ze skrajnymi przypadkami opętania diabelskiego, ale również z pokusami i sztuczkami diabelskimi w naszym życiu. Nie przezwyciężymy grzechu o własnych siłach, ale tylko dzięki wsparciu z nieba, gdy przyjdziemy do Jezusa i pozwolimy, by walczył za nas.

Na koniec zapoznajmy się z siódmą historią zapisaną w Ewangelii Marka 16,9. Właściwie nie jest to

opis wydarzenia jak w innych miejscach. Natrafiamy tutaj na wzmiankę o tym, co stało się w przeszłości.

„I powstawszy z martwych wczesnym rankiem, w pierwszy dzień tygodnia, ukazał się najpierw Marii Magdalenie, z której wypędził siedem demonów”.

Moglibyśmy spekulować, czy Jezus wyrzucił z Marii Magdaleny wszystkie siedem demonów jednorazowo, czy też zdarzyło się to siedmiokrotnie w różnym miejscu i czasie. Osobiście skłaniam się ku drugiemu przypuszczeniu, mając na uwadze przypowieść Jezusa z dwunastego rozdziału Ewangelii Mateusza. Przeczytajmy ją od wiersza czterdziestego trzeciego do czterdziestego piątego.

„Gdy zaś duch nieczysty wyjdzie z człowieka, wędruje po miejscach bezwodnych, szukając ukojenia, ale go nie znajduje. Wtedy mówi: Wrócę do domu swego, skąd wyszedłem, i przyszedłszy, zastaje go opróżnionym, wymiecionym i przyozdobionym. Wówczas idzie i zabiera z sobą siedem duchów innych, gorszych niż on, i wszedłszy mieszkają tam; i bywa końcowy stan człowieka tego gorszy niż pierwotny”.

O czym mówi Jezus? Jest coś znacznie ważniejszego niż pozbycie się nieczystego ducha. Trzeba koniecznie trzymać się od niego z daleka. Czyż nie jest to prawdą? Maria musiała się tego w bolesny sposób nauczyć.

Człowiek może uwolnić się od grzechu — a nawet wyzwolić z mocy szatana, ale to nie wystarczy, dopóki nie uświadomi sobie, jak ważny jest codzienny kontakt z Bogiem, utrzymywanie z Nim więzi poprzez regularne studiowanie Biblii i modlitwę.

Sami nigdy nie zniszczymy grzechu. Dopiero, gdy Jezus wejdzie do naszego życia, grzech zniknie.

Na podstawie omówionych tu historii możemy wyciągnąć kilka wniosków. Po pierwsze, kiedy Jezus wypędzał demony, czynił to natychmiast. Po drugie, wyrzucał nieczyste duchy za jednym razem, a nie każdego z osobna. Po trzecie, czasem ktoś wstawiał się u Jezusa za opętanym, innym razem nie było pośredników. Najwidoczniej nie ma to większego znaczenia. I po czwarte, wypędzanie demonów to nic wielkiego.

W dziesiątym rozdziale Ewangelii Łukasza czytamy, że kiedy siedemdziesięciu uczniów powróciło i powiedziało: „Panie, nawet demony są nam posłuszne, gdy wyrzucamy je w Twoim imieniu” — Jezus odrzekł: „No i cóż z tego? Już dawno szatan został wyrzucony z nieba. Teraz jest pokonanym wrogiem” (zob. w. 17-20).

To, jak Jezus traktował ludzi opętanych, jest dla nas dobrą nowiną. Stanowiło to dobrą nowinę w Palestynie, jest nią także dzisiaj. Jezus nigdy nie przegrał w konfrontacji z demonami. Duchy nieczyste błagały Go o zmiłowanie. Nie musimy się ich obawiać, gdyż w potężnym imieniu Jezusa kryje się największa na ziemi moc. Dzięki niej możemy wyzwolić się spod władzy ciemności.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ UBOGICH

Wiele lat temu mój przyjaciel wraz z synem jechał samochodem rozgrzaną kalifornijską szosą. Właśnie mijali budkę z lodami, więc postanowił zafundować jednego swemu dziesięcioletniemu chłopcu. Zatrzymał samochód i dał synowi dziesięć centów, aby pobiegł i kupił sobie loda.

Za chwilę chłopiec wrócił bliski płaczu. Wciąż trzymał w ręce dziesięć centów. Poskarżył się ojcu, że sprzedawca nie chciał mu sprzedać loda. Ojciec wyszedł więc z samochodu, podszedł do lodziarza i spytał go:

— Co się stało? Dlaczego nie chce pan sprzedać chłopcu loda?

Ten wyjaśnił:

— Lody nie kosztują dziewięć centów, a tyle chce zapłacić pański dzieciak.

Wtedy mój przyjaciel — pastor zrozumiał, że jego dziesięcioletni syn podczas drogi z samochodu do budki z lodami ofiarował dziesiątą część Bogu. Uspokojony tym, wyjaśnił sprzedawcy, co się stało, przepraszając jednocześnie za nieporozumienie.

Lodziarz zapytał z niedowierzaniem:

— To wy ofiarujecie Bogu dziesiątą część z każdego centa?

Tu zwrócił się do chłopca:

— No dobrze, w takim razie powiem ci, co teraz zrobisz mały. Oddasz całe dziesięć centów Bogu, a ja dam ci loda za darmo. I włożył do wafła jedną kulkę, potem drugą i trzecią — aż cały wafel został wypełniony po brzegi. Wtedy wręczył go chłopcu. W ten oto sposób raz jeszcze wypełniła się obietnica, że Bóg stworzy okna niebios i wyleje swe błogosławieństwa.

Pan z przyjemnością wywyższa tych, którzy oddają mu cześć.

W dwunastym rozdziale Ewangelii Marka natrafiamy na historię o tym, jak Jezus traktował biednych, czyli tych, którzy posiadali niewiele, ale mimo to w pierwszej kolejności oddawali część swych skromnych zasobów Bogu. Opowieść rozpoczyna się od wiersza czterdziestego pierwszego: „A usiadłszy naprzeciwko skarbnicy, przypatrywał się, jak lud wrzucał pieniądze do skarbnicy i jak wielu bogaczy dużo wrzucało”.

Należy przypomnieć, że w czasach Chrystusa najwidoczniej istniał zwyczaj składania ofiar pieniężnych do skarbonki umieszczonej w przedsionku. Kiedy ludzie wychodzili z kościoła, wrzucali tam datki. Osobiście życzyłbym sobie, byśmy mogli znów wskrzesić ten sposób zbierania ofiar! Tak właśnie wyglądało to za czasów Jezusa.

Jezus mógł siedzieć w przedsionku i obserwować. Chociaż przychodzili tam bogaci i wrzucali duże sumy, On zwrócił uwagę na pewną wdowę. Była biedna, więc dała tylko dwa grosze (w. 41-42).

Ówczesny grosz był wart mniej niż dzisiejszy amerykański cent, którego złożył na ofiarę Bogu syn mojego przyjaciela. Ale to właśnie wdowa zwróciła uwagę Jezusa, gdy składała swój dar.

„I przywoławszy uczniów swoich, rzekł im: Zaprawdę powiadam wam, ta uboga wdowa wrzuciła więcej do skarbnicy niż wszyscy, którzy wrzucali. Bo wszyscy wrzucali z tego, co im zbywało, ale ta ze swego ubóstwa wrzuciła wszystko, co miała, całe swoje utrzymanie” (w. 43-44).

To była biedna wdowa, lecz ja nazwałbym ją raczej bogatą. Biblia mówi nam o ludziach bogatych w wiarę. Gdybyście mieli wybrać pomiędzy bogactwem wiary a posiadaniem wszelkich dóbr tego świata, na co byście się zdecydowali? Być może łatwo jest odpowiedzieć bez wahania na to pytanie. Ale czego tak naprawdę byście pragnęli?

To była bogata, choć biedna wdowa. Zyskała uznanie w oczach samego Jezusa; zapewne usłyszała Jego słowa. Widocznie znajdował się tak blisko niej, że mogła zrozumieć, co mówił do swych uczniów.

Opisywane tu wydarzenie miało miejsce w połowie ostatniego tygodnia życia Jezusa, na kilka dni przed ukrzyżowaniem. Zapewne wiara tej kobiety pokrzepiła Chrystusa. Niewykluczone też, że i ona nabrała otuchy, słysząc słowa Mistrza.

Jezus często wypowiadał słowa uznania. I to już od dzieciństwa. Znany był z zachęcania i dawania nadziei. Wdowa wyszła więc ze świątyni żwawszym krokiem, z otuchą w sercu, gotowa mężnie stawić czoło kolejnym dniom, ponieważ spotkała Jezusa.

Z tej historii płynie kilka lekcji, dotyczących ofiarności jako takiej i biblijnych zasad ofiarności. Przede

wszystkim nasza zdolność dawania zależy od trzech czynników: od posiadanych przez nas pieniędzy, od naszych dóbr materialnych i od naszych zarobków. W dziewiętnastym rozdziale Ewangelii Mateusza czytamy, co Jezus powiedział bogatemu młodzieńcowi:

„Sprzedaj wszystko, co masz, a pieniądze rozdaj ubogim” (zob. w. 21). Pozbądź się części swoich lokat kapitałowych.

Księga Malachiasza pokazuje nam biblijny ideał składania darów; opisana jest tu Boża metoda działania. Bóg prosi, byśmy dawali Mu pewien procent z naszych zasobów. I jest to rzeczywiście prosty sposób. Czasem bowiem moglibyśmy oszukiwać samych siebie, myśląc, że ofiarowaliśmy zbyt dużo, tylko dlatego, że daliśmy kilka dolarów więcej niż ktoś inny. Ale w historii o wdowim groszu odnajdujemy jedną zasadę: Bóg nie ocenia naszych darów wedle ich wielkości, ale patrzy na to, co nam zostanie po ich ofiarowaniu. Zgodnie z taką oceną, kobieta dała więcej od innych, ponieważ oddała wszystko, co miała.

Spróbujmy zilustrować to współczesnym przykładem. Przypuśćmy, że student college'u starający się zarobić pieniądze na szkołę, może w ciągu miesiąca dodatkowo dorobić sto dolarów. Zgodnie z biblijną zasadą oddawania dziesięciny, czyli dziesięciu procent, powinien zwrócić Bogu dziesięć dolarów, które tak naprawdę nie są darem. To tylko kwestia uczciwości, a nie żaden akt wspaniałomyślności. Biblia uczy, że dziesięć procent naszych dochodów należy do Boga.

Gdyby więc ten sam student wrzucił na tacę oprócz zwykłej dziesięciny jeszcze piętnaście centów, nie powinien myśleć, że dał bardzo wiele.

Inna osoba ze stałym zatrudnieniem i regularną pensją, zarabia, powiedzmy, dwa tysiące dolarów miesięcznie i z tego oddaje dwieście dolarów dziesięciny. Dodatkowo zaś składa na tacę pięć dolarów. Porównywalnie, człowiek ten daje tyle samo, co student college'u.

Jest jeszcze ktoś trzeci z dziesięcioma tysiącami dolarów miesięcznej pensji. Ten oddaje Bogu w postaci dziesięciny tysiąc dolarów, na tacę zaś kładzie dwadzieścia pięć dolarów. Procentowo, jest to tyle samo, co pięć centów studenta college'u. Czyż przykład ten nie pokazuje, jak sprawiedliwie obchodzi się z nami Bóg?

Można też mylnie zinterpretować historię o wdowie i powiedzieć: „Powinniśmy wszystko, co mamy, oddać na rzecz Kościoła”.

Ależ nie tego uczy nas Jezus, nie tego od nas oczekuje. Oczywiście, trzeba mieć coś na własne potrzeby. Abraham miał majątek. Był bogaty. Biblia wystawia mu dobre świadectwo. W Biblii znajdujemy wiele postaci posiadających ogromne bogactwa: Job, Dawid, Salomon — to zaledwie kilka imion z tak liczного grona. Dobrze jest mieć kapitał, dzięki któremu pomnażamy nasze pieniądze, o ile ten wzrost dochodów nie prowadzi do uniezależnienia się od Boga i nie staje się ważniejszy od skarbu, który jest w niebie. Trafnie określił to król Dawid w Psalmie 62,11: „Gdy bogactwo się mnoży, nie lgnijcie do niego sercem”.

Przyjrzyjmy się innej historii, mówiącej o bogatym głupcu. Znajdujemy ją w dwunastym rozdziale Ewangelii Łukasza, rozpoczynając od wiersza szesnastego: „I powiedział im podobieństwo: Pewnemu bogaczowi pole obfity plon przyniosło. I rozważał w sobie: Co mam uczynić, skoro nie mam już gdzie gromadzić plonów moich?”. Tutaj się mylił, czyje bowiem były to plony?

„I rzekł: Uczynię tak: Zburzę moje stodoły, a większe zbuduję i zgromadzę tam wszystko zboże swoje i dobra swoje. I powiem do duszy swojej: Duszo, masz wiele dóbr złożonych na wiele lat; odpocznij, jedz, pij, wesel się. Ale rzekł mu Bóg: Głupcze...”

Jesteś głupcem, człowieku. Czy zapomniałeś już, kto tak naprawdę jest właścicielem plonów, tróć owiec pasących się na tysiącach wzgórz, czy też złota i srebra oraz wszystkich kopalń? „Tej nocy zażądają duszy twojej; a to, co przygotowałeś, czyje będzie? Tak będzie z każdym, który gromadzi dla siebie, a nie jest w Bogu bogaty” (w. 16-21).

Kontrastuje to z historią o biednej wdowie. Ona oddała wszystko, co miała, bogacz zatrzymał wszystko dla siebie. Cóż za różnica w postawach!

Taka jest ludzka natura: im więcej mamy pieniędzy, tym więcej ich wydajemy. Budujemy wtedy większe stodoły. Stodoły? No, może niezupełnie stodoły. Ale łatwo przychodzi nam przeznaczyć nasz dochód na zakup większych domów, lepszych samochodów, chcemy jeździć na droższe wakacje. Tak łatwo zaś zapominamy o potrzebach biednych, zaniedbujemy Boże sprawy, nie pamiętamy o Tym, który daje siły do zdobywania pieniędzy.

Sposób, w jaki Jezus potraktował biedną wdowę, świadczy o tym, że najbiedniejsi, najpokorniejsi i nic nie znaczący — według światowych standardów — ludzie, mają ogromną wartość w Jego oczach. Zgodnie z ówczesnymi zwyczajami i przekonaniami, kobiety zaliczano do obywateli drugiej kategorii. Niewiasty, które utraciły swych mężów, traciły znacznie więcej — swój dotychczasowy status w społeczeństwie. Toteż kobieta, w dodatku biedna i owdowiała, należała do najbardziej upośledzonej grupy społecznej.

W czasach Jezusa ludzie mierzyli swe bogactwo duchowe posiadanym majątkiem i osiągnięciami. Nawet uczniowie Chrystusa zareagowali zdziwieniem, gdy Nauczyciel powiedział im, że trudno jest bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego. Zapytali Go: „Któż więc może zostać zbawiony?” (zob. Mt 19,23.25).

Uważano powszechnie, że im bogatszy był człowiek, tym większe miał znaczenie w oczach Nieba i ludzi.

Ale ta historia pokazuje nam, iż najważniejsze jest przebywanie u stóp krzyża. Wdowa, przy całym swym ubóstwie i upokorzeniu, dała więcej niż wszyscy bogacze, dostojnicy i ci, na których zwracano uwagę.

Była to prawda nie tylko z uwagi na procent, jaki ofiarowała, ale również z uwagi na efekty jej czynu. Dzięki uznaniu, jakie Jezus wyraził dla jej skromnego daru, inni zostali zachęcani do złożenia w ofierze nawet niewielkiej sumy, która w podobnych okolicznościach wydawałaby się im niegodna Bożej akceptacji. Choć ofiary faryzeuszy już dawno

zostały zapomniane, te dwa grosze wdowy stały się początkiem strumienia niewielkich darów płynących obficie aż do dzisiejszego dnia.

Wdowa złożyła swój dar z miłości, w tym tkwi tajemnica. Miłość do Jezusa sprawia, że to, co ofiarujemy w dużej lub małej ilości, stanowi wartość w oczach Nieba.

Nasze dary powinny być odpowiedzią na dar Jezusa i odbiciem tego daru. „Albowiem znacie łaskę Pana naszego Jezusa Chrystusa, że będąc bogatym, stał się dla was ubogim, abyście ubóstwem Jego ubogaceni zostali” (2 Kor 8,9).

Jak bardzo możemy być wdzięczni za bogactwa, które stały się naszym udziałem w Jezusie Chrystusie. Jak bardzo możemy Bogu dziękować za sposób, w jaki potraktował ubogą wdowę, gdy obdarował ją swymi wiecznymi bogactwami.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ CELNIKÓW I POBORCÓW PODATKÓW

Wdziewiętnastym rozdziale Ewangelii Łukasza znajduje się historia o Zacheuszu, który był człowiekiem niezwykle niskiego wzrostu. Opowieść o nim jest naprawdę intrygująca. Odzwierciedla dramatyzm i komizm realnego życia. Jej przesłanie staje się zaproszeniem do szczerego poszukiwania Boga.

Jezus „(...) wszedłszy do Jerycha, przechodził przez nie. A oto mąż imieniem Zacheusz, przełożony nad celnikami, człowiek bogaty, pragnął widzieć Jezusa, kto to jest, lecz nie mógł z powodu tłumu, gdyż był małego wzrostu. Pobiegł więc naprzód i wszedł na drzewo sykomory, aby go ujrzyć, bo tam-tędy miał przechodzić. A gdy Jezus przybył na to miejsce, spojrzał w górę i rzekł do niego: Zacheuszu, zjedź śpiesznie, gdyż dziś muszę się zatrzymać w twoim domu. I zszedł śpiesznie. I przyjął go z rado-

ścią. A widząc to wszyscy szemrali mówiąc: Do człowieka grzesznego przybył w gościnę. Zacheusz zaś stanął i rzekł do Pana: Panie, oto połowę majątku mojego daję ubogim. A jeśli na kim co wymusiłem, jestem gotów oddać w czwórnasób. A Jezus rzekł do niego: Dziś zbawienie stało się udziałem domu tego, ponieważ i on jest synem Abrahamowym. Przyszedł bowiem Syn Człowieczy, aby szukać i zbawić to, co zginęło” (Łk 19,1-10).

Jerycho miało interesującą przeszłość. Budziło ciekawość wielu chłopców i dziewcząt, jako miejsce bitwy stoczonej za czasów Jozuego, kiedy to runęły mury jerychońskie. Na skutek przekleństwa rzuconego na miasto, zniszczone budowle starego Jerycha nigdy nie zostały odbudowane. Później wzniesiono nowe miasto, które w czasach Jezusa stało się domem Zacheusza.

Jerycho było pięknym miastem, niestety, znanym również z celników i poborców podatkowych. Tutaj Żyd mógł zdradzić swój własny naród, odrzucić swą tożsamość, by przejść na stronę Rzymian i w ten sposób wieść dostatnie życie. Tutaj człowiek mógł się wzbogacić, gdy jako poborca podatków otrzymywał pewien procent z tego, co zebrał. I jeśli zebrane przez niego kwoty były większe, zwiększały się tym samym jego zyski.

Zacheusz był nie tylko celnikiem, ale zwierzchnikiem celników, czyli dyrektorem urzędu skarbowego w Jerychu.

Miał niewielki wzrost, ale mimo swej niewielkiej postury osiągnął znaczącą pozycję i gdy przechadzał się ulicami Jerycha, budził w ludziach respekt swą władzą, urzędem i autorytetem. Nie wydawał

się więc dobrym kandydatem do Królestwa Niebieskiego, oczywiście z naszego punktu widzenia. Ale on słyszał o Jezusie! Duch Święty zaczął już działać w jego sercu i dlatego Zacheusz za wszelką cenę pragnął zobaczyć Mistrza.

Chciał dowiedzieć się, kim jest Jezus — kim naprawdę On jest. Ewangelia nie pisze, że Zacheusz pragnął poznać, czego dokonał Nauczyciel lub co głosił. Zacheusz chciał wiedzieć, kim jest Jezus, chciał zgłębić istotę rzeczy.

Wiedzieć coś o Jezusie i o tym, czego nauczał, to jedno. Co innego natomiast — poznać, kim On jest. Prawdę mówiąc, wiele wypowiedzi Jezusa było powtórzeniem myśli sformułowanych już w literaturze rabinackiej. Cuda zaś zdarzały się również za dni proroka Eliasza i Elizeusza, a także w czasach innych proroków. Dwaj uczniowie Jezusa, Natanael i Filip, uważali Go za kogoś większego niż tylko syna Józefa z Nazaretu. On był Synem Boga, który zstąpił z nieba. I to wyróżnia Go spośród innych.

I dzisiaj ma to zasadnicze znaczenie, prawda? Abraham Lincoln uczynił dużo dobrego w swym życiu. Wiele możemy się nauczyć z wypowiedzi Konfucjusza czy innych mądrych ludzi. Przywódcy religijni wszystkich czasów wypowiadali się na temat Boga, ale słowom i czynom Jezusa przydawało szczególnej mocy to, kim był. Zacheusz, chociaż niewielki wzrostem, zdawał sobie z tego sprawę i pragnął osobiście poznać, kim jest Jezus.

Jednak z powodu tłoku nie mógł dostrzec Mistrza. Często tak było za dni Chrystusa. W drugim rozdziale Ewangelii Marka znajduje się historia paralityka, który pragnął uzdrowienia i przebaczenia grzechów.

Nie mógł jednak przedostać się do Jezusa z powodu tłumów, jakie Go otaczały. Tak więc, by nieszczęśnik znalazł się blisko Zbawiciela, jego przyjaciele musieli zrobić otwór w dachu i opuścić go na linie.

W piątym rozdziale Ewangelii Marka znaleźć można opowieść o złożonej niemocą kobiecie, której jedynym pragnieniem było dotknięcie skraju szaty Jezusa. Udało jej się to z wielką trudnością, z powodu wielkiego tłumu.

W Ewangelii Łukasza czytamy, że nawet matka Jezusa i Jego bracia, choć bardzo chcieli się z Nim zobaczyć, nie mogli przedostać się przez otaczający Go tłum.

Czyż dzisiaj nie bywa podobnie? Może jesteśmy tak zabiegani lub przytłoczeni troskami innych ludzi, że gdy pracujemy dla Boga, zapominamy o Tym, dla którego pracujemy. Nawet w kościele z powodu tłumów możemy stracić Boga z oczu.

Tak więc widzimy człowieka imieniem Zacheusz, który zazwyczaj bardzo dostojnie przechadzał się ulicami Jerycha, a teraz nagle wdrapał się na pobliskie drzewo wraz z miejskimi ulicznikami. Oczywiście zrobił tak, szukając Jezusa, którego stracił z oczu. Ta potrzeba była tak silna, że Zacheusz pozbył się charakterystycznego dla niego opanowania.

To się często zdarza. Słyszałem kiedyś o tym, co stało się wiele lat temu podczas trzęsienia ziemi w Kalifornii. Pewien mężczyzna starał się uspokoić swych rozhisteryzowanych sąsiadów. Wyszedł więc na podwórko, stanął przy ogrodzeniu i tłumaczył sąsiadkom oraz ich dzieciom, że nie powinny tak krzyczeć i że nic strasznego się nie stanie. Wydawałoby się, iż nic w tym niezwykłego.

Nagle mężczyzna odkrył, że cały jego ubiór, jaki ma na sobie, to para butów. Pobiegł szybko do domu, ale frontowe drzwi były zamknięte od wewnątrz. W ścianie zaś znajdowała się dziura, przez którą wcześniej się wydostał. Gdy zostało zagrożone życie, zapomniał o wszelkich konwenansach.

Zacheusz miał jedno wielkie pragnienie. Do miasta przybył Jezus, którego musiał zobaczyć. Musiał też dowiedzieć się, kim On jest. Jeśli istniała jakakolwiek najmniejsza szansa, by znaleźć lekarstwo na bezsenne noce, poczucie winy, i wyrzuty sumienia, nie mógł z niej nie skorzystać. Wdrapał się więc na gałąź i obserwował miejsce, którędy miał przechodzić Jezus.

Kiedy Zbawiciel zatrzymał się pod drzewem i spojrzał do góry, sprawił Zacheuszowi największą niespodziankę w życiu. Dostrzegł siedzącego wśród liści człowieka i zawołał do niego po imieniu: „Zacheuszu, zejdź spiesznie” (Łk 19,5).

To mogła być kłopotliwa sytuacja. Wiem coś na ten temat z własnego doświadczenia. Wiele lat temu, gdy mieszkaliśmy w Grand Junction w Colorado, do miasta przyjechało rodeo. Nasz syn, który miał wtedy dziesięć czy dwanaście lat, bardzo się tym ekscytował i chciał je zobaczyć. W małym miasteczku taka impreza urasta do największego wydarzenia roku. Trudno je do czegokolwiek porównać. Każdy więc wybierał się na rodeo, w tym wielu wiernych mojego Kościoła. Nie jestem jednak pewien, czy wszyscy wyznawcy chcieliby, aby ich pastor dołączył do nich. Mój syn jednak bardzo pragnął zobaczyć rodeo. Ostatecznie zdecydowałem się, że udamy się w poblize miejsca, gdzie miały odbywać się występy.

Wdrapaliśmy się na jedno z drzew rosnących tuż przy płocie i stamtąd wszystko obserwowaliśmy.

Wcale nie spodziewałem się, że spotkam tam innych członków mojego Kościoła! Lecz ku mojemu zdumieniu, gdy tylko wspięliśmy się na drzewo, skąd mogliśmy oglądać całe widowisko, niektórzy chłopcy, siedzący na sąsiednim drzewie, rozpoznali nas i zawołali:

— Zobaczcie, pastor Venden!

Troszcząc się o to, by mój syn mógł obejrzeć rodeo, zapomniałem o dobrych manierach. Ale zaraz uświadomiłem to sobie i bardzo się zawstydziłem.

Zacheusz tak mocno pragnął zobaczyć Jezusa i dowiedzieć się, kim On jest, że najwyraźniej nie zawstydział się, gdy został zauważony na drzewie razem z miejskimi ulicznikami. Chociaż wpatrywało się w niego wielu ludzi, Biblia mówi, że z radością odpowiedział na wezwanie Jezusa i pośpiesznie zszedł z drzewa. Otrzymał przecież wielką, życiową szansę, więc czym prędzej znalazł się na ziemi. Prorok Izajasz w pięćdziesiątym rozdziale i piętnastym wierszu pisze, że Bóg jest „z tym, który jest skruszony i pokorny duchem”. Jezus zaś powiedział: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebios” (Mt 5,3).

Zacheusz siedział na drzewie nie tylko z jednego powodu. Był tam zarówno fizycznie, jak i duchowo. Jezus zaprosił go do zejścia, by uniżył się u stóp krzyża i uznał swą nędzę.

Zacheusz zszedł z sykomory. Nie było to miejsce dla niego. Należało ono do kogoś innego, kto niedługo potem został przybity do krzyża.

Zacheusz przyjął Jezusa z wielką radością. Kiedy to się stało, tłum zaczął narzekać i szemrać. Ludzie

mówili, że Jezus wybrał gościnę u człowieka, który jest grzesznikiem. Dlaczego poszedł na obiad do takiego nikczemnika? Czyżby w Jerychu nie było szanowanych i wpływowych obywateli, których domy mógłby odwiedzić?

Kiedy indziej ludzie również szemrali, mówiąc: „Ten grzeszników przyjmuje i jada z nimi” (Łk 15,2). Ale to jest dla nas dobra nowina. W tym krótkim zdaniu została streszczona cała Ewangelia. Gdyby Jezus nie przyjmował grzeszników i nie jadł z nimi, to dla mnie i dla ciebie nie byłoby żadnej nadziei. Czyż nie napawa radością fakt, że On pragnie być gościem ludzi, którzy są grzesznikami?

I właśnie tutaj następuje w opowiadaniu pewna sprzeczność, która może wielu z nas niepokoić. Zacheusz najwyraźniej zaczął zjednywać sobie Bożą łaskę szlachetnymi obietnicami. On „stał i rzekł do Pana: Panie, oto połowę majątku mojego daję ubogim, a jeśli na kim co wymusiłem, jestem gotów oddać w czwórnasób” (Łk 19,8). Co uczynił Zacheusz? No cóż, niektórzy mogliby powiedzieć, że starał się zapracować na swe zbawienie. Ale zwróćmy uwagę na to, co odpowiedział Jezus. Rzekł: „Dziś zbawienie stało się udziałem domu tego” (w. 9).

Tak więc Zacheusz nie musiał czekać, aż znikną wszelkie ślady jego niegodziwych czynów, odda połowę swego majątku biednym, zaś pokrzywdzonym przez siebie zwróci czterysta procent. Nie w tym kryło się zbawienie. Ono przyszło do niego wtedy, gdy zaprosił Jezusa do swego domu i do swego serca. Kiedy przyjmujemy Chrystusa jako naszego osobistego Zbawiciela, nasza dusza dostępuje zbawienia.

Pragnienie Zacheusza, by wynagrodzić wszelkie krzywdy i oddać część swego majątku tym, którzy znajdowali się w biedzie, wskazuje, iż zaakceptował zbawienie Jezusa. Nie był to krok w kierunku zaskarżenia sobie zbawienia. Czy zauważacie tę różnicę? Takie zachowanie było rezultatem zbawienia, a nie jego przyczyną. W dniu, w którym Zacheusz przyjął Jezusa, zbawienie stało się udziałem jego domu.

A co wydarzyło się później? W tej opowieści mamy inne, kluczowe zdanie. Jezus powiedział: „Dziś muszę zatrzymać się w twoim domu” (zob. w. 5). Kiedy zaakceptowałeś zbawienie, gdy zszedłeś z wysokiej gałęzi, by wywyższyć w swym życiu Jezusa, musisz wciąż na nowo, każdego dnia wsłuchiwać się w te dobrze znane ci słowa. Pośpiesz się dzisiaj, pośpiesz się jutro, każdego dnia schodź w pośpiechu i pozwalaj, by Jezus zatrzymywał się w twoim domu.

Nie wystarczy zaakceptować Go tylko raz, bez względu na to, jak wielka jest twoja nędza. Jezus pragnie się u nas rozgościć i przebywać z nami. W Apokalipsie Jana 3,20 mówi: „Oto stoję u drzwi i kołaczę, jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną”. Jezus wypowiada te słowa również teraz: „Dzisiaj chcę zatrzymać się w twoim domu, w twoim sercu, w twoim życiu”.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ OBCYCH

Pewien żydowski lekarz, zatrudniony w protestanckim szpitalu w Los Angeles, opowiedział mi historię o tym, jak poczuł nagle swą przynależność do grupy i przestał się czuć obcy.

Robił właśnie specjalizację, której uwieńczeniem miała być wizyta u zupełnie nieznanego mu pacjenta i postawienie diagnozy. W takich przypadkach chorego uprzedzano wcześniej, by nie mówił, co mu dolega.

Tak więc żydowski lekarz wszedł do wyznaczonej przez egzaminatorów sali, w której leżała chora kobieta. Pomyślał, że właściwie mógłby nie owijając w bawełnę, zapytać wprost, na co jest chora. Tak też zrobił.

— Pan jest lekarzem — odparła. — Niech pan mnie zbada.

Zaczął więc badanie. Po kilku chwilach poprosił pacjentkę, by odwróciła się na drugi bok. Ona jednak poruszyła się zaledwie o kilka centymetrów. Wobec tego powtórzył z naciskiem:

— Bardzo proszę, aby zechciała się pani obrócić.

Kobieta niechętnie poruszyła się o kolejne dwa centymetry. W tym momencie lekarz użył kilku niecenzuralnych słów w swym ojczystym języku, nie zdając sobie sprawy, że jego pacjentka jest Żydówką. Spojrzała na niego i spytała:

— Czy pan jest Żydem?

— Tak.

Wtedy powiedziała:

— Mam cukrzycę.

Ów lekarz nigdy wcześniej nie odczuwał tak silnego związku ze swym narodem, jak wtedy.

Czy mówimy o praktyce lekarskiej, o Kościele, czy też o całym świecie, istniejemy zawsze w jakiejś wspólnocie lub jesteśmy poza nią. I rzeczywiście, gdybyśmy trochę nad tym pomyśleli, prawdopodobnie zauważylibyśmy, że można pozornie utożsamiać się z jakąś grupą, podczas gdy tak naprawdę nie przynależy się do niej i na odwrót. Można być na zewnątrz grupy, a w rzeczywistości znajdować się w niej.

Mając to na uwadze, warto zająć się zagadnieniem, jak Jezus traktował „obcych”. W ten sposób dowiemy się, kim byli tzw. ludzie znajdujący się na zewnątrz.

„A sługa pewnego setnika, bardzo przez niego ceniony, zachorował i bliski był śmierci. A usłyszawszy o Jezusie, posłał do niego starszych żydowskich, prosząc go, aby przyszedł i uzdrowił jego sługę. A oni przyszedłszy do Jezusa, prosili go usilnie, mówiąc: Godzien jest, abyś mu to uczynił. Miłuje bowiem lud nasz i sam zbudował nam synagogę. I Jezus poszedł z nimi. A gdy był już niedaleko domu, setnik posłał przyjaciół i kazał mu powiedzieć: Panie, nie trudź się, nie jestem bowiem godzien, abyś wszedł

pod dach mój. Dlatego i samego siebie nie uważałem za godnego, by przyjść do ciebie; lecz powiedz słowo, a będzie uzdrowiony sługa mój. Bo i ja jestem człowiekiem podległym władzy, mającym pod sobą żołnierzy; i mówię temu: Idź, a idzie, a innemu: Przyjdź, a przychodzi, a słudze memu: Czyń to, a czyni. [Zauważcie, że setnik powiedział żydowskiemu przywódcy, żeby poszli, a oni go usłuchali!].

A gdy to Jezus usłyszał, zdziwił się i zwróciwszy się do towarzyszącego mu ludu, rzekł: Powiadam wam, nawet w Izraelu tak wielkiej wiary nie znalazłem. A ci, którzy byli posłani, po powrocie do domu zastali sługę zdrowym" (Łk 7,2-10).

Jezusa zdumiała wiara setnika. W Nowym Testamencie dwukrotnie pojawia się wzmianka o tym, że Chrystus okazał zdziwienie lub zdumienie w zupełnie różnych sytuacjach. Tutaj zaskoczyła Go wiara osoby spoza wspólnoty żydowskiej. W drugim przypadku zdumiał Go brak wiary Jego współziomków, ludzi uważanych w Jego czasach za niezwykle religijnych.

Przypuszczam, że słyszeliście o siedmiu cudach świata. Ostatnio zajmowałem się tą sprawą i naliczyłem ich w sumie dwieście osiemdziesiąt! Ale skoncentrujemy się na siedmiu cudach zawartych w historii o setniku, które budzą nasz zachwyt i zdumienie.

Pierwszy z nich dotyczy samego setnika, który posłał po Jezusa, kiedy zachorował jego sługa. Czyż nie jest wspaniałe to, że poganin nazywany psem przez ówczesnych praktykujących Żydów, miał odwagę tak postąpić? Poganie byli obcymi. Żydzi powszechnie uważali, że niewierzący nie są warci

Bożej troski i nie zasługują na zbawienie ani na Boże błogosławieństwa. Setnik musiał więc posiadać ogromną wiarę, gdyż próbował przełamać uprzedzenia narodu wybranego.

Był on nie tylko poganinem, lecz na dodatek Rzymianinem. W czasach Chrystusa Rzymianie mogli zatrzymać na ulicy każdego przechodnia i zażądać od niego okrycia, gdy było zimno. Kiedy Rzymianin miał zbyt ciężki ładunek, siłą zmuszał napotkanego Żyda, by dźwigał ciężar pod wskazany adres. Zachowanie żołnierzy rzymskich było zaprzeczeniem uprzejmości, kurtuazji i wszelkich cnót. Człowiek, o którym mowa w naszej historii, był nie tylko żołnierzem, ale do tego centurionem odpowiedzialnym za stu żołnierzy w armii rzymskiej. I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, ten setnik miał naprawdę wielką wiarę.

Drugą zdumiewającą rzeczą okazało się to, że centurion był chrześcijaninem. Najwyraźniej jego wiara wypływała z osobistego doświadczenia z Bogiem, którego poznał, zanim spotkał Jezusa. W rzeczywistości wiedział o Bogu na tyle dużo, że rozpoznał Go w osobie Chrystusa. Nawet naród żydowski nie uczynił tego w owych czasach. Żydzi byli raczej zajęci czynieniem dobra na pokaz, toteż nie uświadamiali sobie, kim był ów Mąż z Galilei. A setnik wiedział, kim jest Jezus.

Powiedział: „Mam władzę”. Ale znał ograniczenia, jakim podlegała jego władza. Setnik uważał, że jego potęga to tylko cień władzy Tego, który rządzi i niebem, i ziemią. Rozpoznał w osobie Jezusa Tego, który ma władzę, przez wiarę przyjął, że został On posłany przez Boga. Najwidoczniej nie miał co do tego żąd-

nych wątpliwości. Wszyscy religijni ludzie żyjący w tamtych czasach mogliby postąpić podobnie jak setnik, gdyby tylko zechcieli.

Trzeci cud, który budzi nasz podziw, dotyczy tego, że nie prosił on Jezusa o znak. W owych dniach ludzie nieustannie domagali się znaków. Mówili: „Pokaż nam znak, a wtedy uwierzimy”. Jezus powiedział im pewnego razu: „Nie uwierzylibyście nawet wtedy, gdyby zmarły powstał z grobu”.

Słowa te okazały się prorocze, gdy wzbudził z martwych Łazarza. Nie tylko nie uwierzyli, ale uknuli spisek, by zabić Jezusa i Łazarza — tego samego, którego On wskrzesił. Znaki więc nie miały dla Żydów żadnego znaczenia.

Kiedy Jezus przyszedł do pewnego dworzanina, powiedział: Jeśli nie ujrzycie znaków i cudów, nie uwierzycie” (J 4,48). Jak łatwo przychodzi nam opierać nasze zaufanie do Boga na tym, czy otrzymujemy odpowiedzi na nasze modlitwy, czy też nie. Jezus zauważył, że wiara dworzanina miała charakter warunkowy — nie uwierzę, dopóki nie zobaczę znaków i cudów. Ale z setnikiem było zupełnie inaczej. Uznał Jezusa za tego, kim w rzeczywistości był, jeszcze zanim ujrzał znaki i cuda.

Czwartym powodem, dla którego powinniśmy zachwycić się tą historią, jest położenie sługi setnika. Był to człowiek bliski śmierci. Prośba setnika dotyczyła więc czegoś więcej niż tylko uleczenia zwykłego przeziębienia. Sługa ciężko zachorował. Leżał na łożu śmierci. Mimo to setnik gotów był prosić o rzecz niemożliwą do spełnienia. Gorąco wierzył, że Stwórca Wszechświata może wypowiedzieć tylko jedno słowo, a jego sługa będzie uzdrowiony.

Czy jesteście gotowi modlić się do Boga w wielkich sprawach? A może obawiacie się, że jeżeli poprosicie Go o coś takiego, Stwórcę nie odpowie na waszą modlitwę? Jeśli macie małą wiarę, pozwala ona przychodzić do Boga jedynie z mniej ważnymi problemami. A może jak ów setnik, prosicie Boga o coś, co wydaje się nierealne?

Piąty szczegół w tej historii, wprowadzający nas w zdumienie, dotyczy wielkiej wiary setnika, który rzekł: „Tylko powiedz jedno słowo”. Wyobraźcie sobie, że dzisiaj idziecie do lekarza w imieniu bliskiej wam osoby, która jest bardzo chora. Czy wolelibyście, aby lekarz osobiście zbadał chorego, czy też bylibyście gotowi powiedzieć: „Powiedz tylko słowo. Wystarczy, gdy dowiem się, jakie lekarstwo jest skuteczne na tę chorobę”.

Setnik uznał, że Wielki Lekarz nie musi składać wizyty w jego domu. Kiedy nadarzyła się taka okazja, powiedział: „To nie będzie konieczne. Powiedz tylko słowo”. Czyż nie wymaga to wielkiej wiary?

Stąd właśnie płynie duchowa lekcja. Gdy spoglądamy na fizyczne uzdrowienie, nie powinniśmy stracić z oczu pewnej nauki. Wszyscy mamy świadomość tego, że nie każdy, kto prosi o uzdrowienie ciała, zostaje wysłuchany. Czasami nawet najbardziej pobożni ludzie cierpią i umierają w tym świecie grzechu.

Uniwersalna i ponadczasowa zasada mówi jednak, że Bóg nieustannie przebacza nam nasze grzechy. Nie stawia nam przy tym żadnych warunków, wystarczy tylko do Niego przyjść i poprosić. W swej mądrości Stwórcę postanowił, że nie każdy zostanie uzdrowiony ze swych cielesnych dolegliwości. Doprowadziłoby to bowiem do tego, że świat zapeł-

niłby się pozornymi chrześcijanami, czyli ludźmi, którzy służyliby Bogu w zamian za to, co mogliby jeszcze od Niego uzyskać. Bóg zaś pragnie mieć takie osoby, które są Mu wierne nawet w obliczu śmierci i w ten oto sposób składają świadectwo przed całym wszechświatem, że bez względu na wszystko będą Mu ufać i Go miłować.

Jeśli zaś chodzi o przebaczenie grzechów, Bóg nie tylko odpuszcza nam nasze winy, ale czyni coś znacznie więcej. Uzdrawia nas także z duchowych chorób. Udajemy się do Wielkiego Lekarza nie tylko po przebaczenie, ale i po to, by uleczyć się na duchu. Bóg pragnie, byśmy powstałi i cieszyli się nowym życiem. Zwycięstwo, posłuszeństwo i pokonywanie starych przyzwyczajęń, a nie tylko przebaczenie, są dostępne dla każdego, kto przychodzi do Boga.

Stwórca pragnie, by wszyscy znaleźli przebaczenie i zostali oczyszczeni z wszelkiej nieprawości. To jest Boża obietnica, a kiedy z wiarą przyjmujemy Jego słowo, w tej samej chwili urzeczywistni się ona w naszym życiu.

Szósty cud budzący nasz podziw to pełna pokory postawa setnika. Przywódcy religijni, którzy przyszli do Jezusa, powiedzieli, że jest to człowiek godzien tego, aby Jezus zajął się jego sprawą. Gdyby ktoś szukał człowieka, który zasługuje na to, by otrzymać wspaniałe dary, znalazłby go w osobie setnika. Wybudował on synagogę i choćby dlatego powinien być obdarzony dodatkowymi błogosławieństwami.

Ale setnik kazał przekazać przez posłańców, że nie czuje się godny. Powiedział, że nie jest godzien nawet tego, by Jezus wszedł pod jego dach. Pragnął jedynie słowa, które sprawiłoby cud uzdrowienia.

Istnieje duża różnica pomiędzy tym, czy jesteśmy czegoś warci, czy po prostu godni. Często czujemy się bezwartościowi. To jeden z wielkich problemów współczesnego świata. Wielu ludzi uważa, że nie posiadają żadnej wartości. Jednak Chrystus udowodnił na krzyżu, że jesteśmy bezcenni. Nie oznacza to jednak, że jesteśmy godni.

Kiedy setnik rzekł, że nie jest godzien, dał w ten sposób wyraz swej prawdziwej wiary. Zakłada ona, że komuś ufamy, a ponieważ ufamy, przyznajemy tym samym, iż go potrzebujemy. Świadectwem naszej pokory jest wyznanie, że codziennie potrzebujemy Jezusa. Ale jedynie człowiek, który uniża się u stóp krzyża, może doświadczyć błogosławieństw Golgoty.

Chciałbym przyłączyć się do setnika, mówiąc: „Panie, nie jestem godzien, aby otrzymać z Twej ręki choćby najmniejszą łaskę”, lecz Jezus zszedł z Nieba, aby mnie uratować. W ten sposób udowodnił, że jesteśmy w Jego oczach godni całego wszechświata.

Siódmym cudem, który powinien wzbudzić nasz zachwyt nad postawą setnika, jest to, że chociaż był dla żydowskich przywódców poganinem — obcym, Bóg zmienił jego serce tak, że odczuwał troskę z powodu choroby swego sługi. Uprzejmie zapytał Jezusa: „Czy nie zechciałbyś przyjść i uzdrowić mego sługę, ponieważ wiele dla mnie znaczy?”. Czy słyszycie te słowa wypowiedziane przez oficera rzymskiej armii?

Czy macie kogoś, kto jest wam drogi? Możecie przyjść do Jezusa i poprosić Go: „Czy zechciałbyś coś zrobić dla tej osoby? Ona jest droga memu sercu”. Kiedy okazujemy współczucie, posiadamy

ducha Chrystusowego, a gdy troszczymy się o bliźnich więcej niż o cokolwiek innego, jest to widoczna oznaka naszej przynależności do grupy.

Czy możecie wyobrazić sobie zakończenie tej historii? Kiedy Jezus dowiedział się o słudze setnika, powiedział bez wahania: „Przyjdę i uzdrowię go”.

Od tamtego czasu minęły całe stulecia i obecnie żyjemy nieomal na progu wieczności. Widzę dzisiaj Jezusa, który siedzi po prawicy Ojca, Jezusa posiadającego pełnię władzy nad niebem i ziemią. Spogląda z wysokości na świat pełen problemów, przepełniony bólem, śmiercią i łzami. Słyszę Go ponownie, jak mówi: „Przyjdę, na pewno przyjdę i ulecę wszystkich chorych”.

Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy Chrystus powróci i uzdrowi tych, którzy są Mu drodzy. Zakończy się wtedy walka. Na wieki rozstrzygnięta zostanie kwestia Bożej miłości i sprawiedliwości. I Jezus uczyni to, czego tak bardzo pragnął dla wszystkich. Uzdrowi każdego, kto przyjął Jego miłość. Sam Bóg zamieszka z nami i otrze wszystkie łzy. Cóż za wspaniały obraz! Jakże cudowna nadzieja. Czyż Boża miłość nie jest wspaniała?

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ KOBIECY

Nie widzieliśmy jeszcze kobiet z młotami pneumatycznymi, ale są już kobiety kierowcy samochodów ciężarowych, kobiety pracujące na stacjach benzynowych czy też policjantki.

Po długich dyskusjach niektórzy ludzie na nowo przemyśleli rolę kobiet w Kościele. Jeżeli przysługują im równe prawa w różnych sferach życia, to dlaczego panie nie mogą być pastorami lub starszymi zboru?

Być może nie tylko osoby zadające podobne pytania zainteresują się tym, jak Jezus traktował kobiety. Powinno to zaciekawic przynajmniej połowę czytelników mojej książki, choć nie jestem pewien, którą połowę?!

W ostatnich latach niejeden pisarz określił Jezusa orędownikiem spraw kobiet. Czy jest to zgodne z tym, co podają cztery Ewangelie? Jeżeli rzeczywiście był obrońcą kobiet, to w jakim znaczeniu tego słowa i jakimi metodami walczył o ich prawa?

Pozostaje faktem, że modlitwa, która pochodzi z literatury rabinackiej, a być może nawet zma-
wiano ją w czasach Jezusa, brzmiała następująco:

„Błogosławiony jesteś, o Panie, nasz Boże, że nie uczyniłeś mnie niewolnikiem.

Błogosławiony jesteś, o Panie, nasz Boże, że nie uczyniłeś mnie kobietą”.

W ostatnich latach została ona trochę zmieniona — złagodzone jej wydźwięk, ale nadal dużo mówi nam o tym, jaka mentalność panowała w czasach Jezusa. Inny cytat zaczerpnięty z literatury talmudycznej powiada:

„Szczęśliwy ów człowiek, który ma dzieci płci męskiej, biada zaś temu, kto ma dzieci płci żeńskiej”. Wybaczcie, ale to nie są moje słowa! Staram się tylko przybliżyć wam tło kulturowe czasów Jezusa. Z pewnością nie należało wtedy do dobrego tonu ujmowanie się za kobietami.

Przed wszystkim przyjrzyjmy się bliżej naukom Chrystusa. W swych przypowieściach często mówił o kobietach. Znamy z pewnością przypowieść o niewieście, która dodała zakwasu do ciasta chlebowego — słowa te wyjaśniają istotę Królestwa Bożego. Słyszeliśmy opowieść o zagubionej owcy, o synu marnotrawnym, o monecie, która zapodziała się gdzieś pewnej kobiecie, a stanowiła prawdopodobnie część jej posagu. Znamy przypowieść o dziesięciu pannach; ma ona szczególne znaczenie, zwłaszcza w odniesieniu do czasów ostatecznych.

Jezus opowiedział też historię o natarczywej wdowie. Podkreślał w niej znaczenie wytrwałej modlitwy. Wspominał też w formie ilustracji żonę Lota i królową Sabę. Mówiliśmy już wcześniej szczegółowo o tym, jak Jezus pochwalił wdowę, która złożyła dwa grosze na ofiarę w świątyni.

W dwudziestym pierwszym rozdziale Ewangelii Mateusza, po historii o dwóch synach, z których tylko jeden tak naprawdę był posłuszny swemu ojcu, Jezus powiedział, że nawet wszetecznicę prędzej wejdą do Królestwa Bożego niż ówcześni przywódcy religijni. W swym pierwszym wystąpieniu w Nazarecie Jezus wspominał wdowę z Sarepty, która żyła w czasach Elizeusza. Kiedy rozmawiał z uczniami o swym drugim przyjsciu, napomknął o niewiastach, które meły w młynie. Jezus często mówił o kobietach i nawiązywał do nich, ilustrując swoje nauki.

Teraz, w oparciu o wydarzenia z Jego życia, zastanowimy się, jak Zbawiciel odnosił się do kobiet. Pewien pisarz podsumował to w następujący sposób: „Jezus w swych kontaktach z kobietami zachowywał się w sposób bardzo szczególny, wręcz zdumiewający. Traktował je z pełnym szacunkiem, uważał, że są pod każdym względem równe mężczyznom. Jezus nigdy nie wypowiedział upokarzających słów pod adresem kobiet. Jako Zbawiciel zawsze utożsamiał się z ludźmi uciskanymi i wydziedziczonymi, z całkowitą otwartością i bezstronnością rozmawiał z kobietami o dotyczących ich sprawach”.

Nasze rozważania na temat tego, jak Chrystus traktował kobiety, zacznijmy od przypatrzenia się bliżej, jak traktował swoją matkę.

Mając dwanaście lat, Jezus udał się w swą pierwszą podróż do Jerozolimy na Święto Paschy. Odłączył się od swych rodziców, którzy, nieświadomi tego, co się stało, wyruszyli w drogę powrotną. Kiedy wreszcie po trzech dniach odnaleźli Go, został skarcony za ten występki. Mimo tak młodego wieku Jezus powiedział wtedy: „Czemuście mnie szukali? Czyż

nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę?” (Łk 2,49).

Z pozoru można odnieść wrażenie, że chłopiec zachował się zbyt zuchwale. Jednak tak nie było. Czytamy w Ewangelii, że Jezus wrócił wraz z rodzicami do domu i był im uległy przez następne osiemnaście lat. To wydarzenie pokazuje, że Zbawca, prawdopodobnie po raz pierwszy, zdał sobie sprawę z istniejącego napięcia w zachowaniu równowagi pomiędzy lojalnością w stosunku do rodziców i posłuszeństwem Ojcu w niebie.

Druga wzmianka o stosunku Jezusa do matki pojawia się przy okazji wesela w Kanie. Jak sobie przypominacie, zabrakło tam wina. Matka Jezusa przyszła do Niego i powiedziała, czego potrzebują gospodarze wesela. On odrzekł: „Czego chcesz ode mnie, niewiasto?” (J 2,4).

Wielu ludzi sądzi, że Jezus odpowiedział matce zbyt szorstko. Jednak badania dotyczące form wypowiedzi używanych w tych czasach wykazują, że nie była to grubiańska odpowiedź, lecz reakcja pełna należnego matce szacunku. Nie można też zapominać, że Jezus musiał uważać, by zachować równowagę między poszanowaniem matki, a wykonaniem woli swego niebiańskiego Ojca.

Trzecie interesujące nas wydarzenie miało miejsce w Kafarnaum, kiedy matka i bracia Jezusa próbowali się z Nim zobaczyć, ale z powodu wielkiego tłumu nie mogli się do Niego dostać. Zamiast przerwać nauczanie, Zbawca rzekł: „Ktokolwiek czyni wolę Ojca mego, który jest w niebie, ten jest moim bratem i siostrą, i matką”. Jeszcze raz Jezus z naciskiem podkreślił, że służba Bogu nie może zejść

na drugi plan, choćby miało to zaszkodzić stosunkom rodzinnym. Nawet Jego matka, chociaż błogosławiona między niewiastami, nie mogła wejść do Królestwa Niebieskiego, dlatego że była matką Zbawiciela. Potrzebowała osobistej więzi z Bogiem.

Czwarta informacja na temat stosunku Jezusa do matki zawarta jest w relacji o ukrzyżowaniu, kiedy Zbawiciel spojrział z krzyża na Marię stojącą razem z Janem, tym samym Janem, który był zawsze blisko swego Mistrza. I wtedy powiedział: „Niewiasto, oto syn twój!”, a do Jana rzekł: „Oto matka twoja” (J 19,26-27). Słowa te świadczą o serdecznej trosce, jaką Jezus okazał matce nawet w chwili śmierci.

Kolejne sfery relacji Jezusa z kobietami dotyczą Jego stosunku do swych naśladowczyń.

„I stało się (...), że chodził po miastach i wioskach, zwiastując dobrą nowinę o Królestwie Niebieskim, a dwunastu z nim i kilka kobiet, które On uleczył od złych duchów i od chorób, Maria zwana Magdaleną, z której wyszło siedem demonów, Joanna, żona Chuzy, zarządcy dóbr Heroda, i Zuzanna, i wiele innych, które służyły im majątnościami swymi” (Łk 8,1-3).

Grupę naśladowców Jezusa stanowiło dwunastu apostołów i grono niewiast galilejskich. Dlaczego właśnie te osoby przystały do Chrystusa? Czy dlatego, że zostały zaproszone? Pewnego razu Jezus powiedział apostołom: „Nie wy mnie wybraliście, ale Ja was wybrałem (...)” (zob. Jan 15,6). Być może w taki sposób Jezus wybrał również niewiasty.

Co one robiły? Towarzyszyły Mu. Oczywiście, moglibyśmy zastanawiać się, jakie to rodziło problemy, gdy przybywali do miasta. Kobiety te wspie-

rały Jezusa materialnie. Mamy świadectwo, że niektóre z nich były zamożne. Towarzyszyły Mistrzowi do samego końca. Pozostały przy Nim, kiedy apostołowie rozpieczętali się, ratując swoją skórę. I one pierwsze przyniosły wiadomość o zmartwychwstaniu Chrystusa.

Innym przykładem postępowania Jezusa z niewiastami jest Jego przyjaźń z Marią i Martą. Znamy tę historię. Możemy znaleźć ją w dziesiątym rozdziale Ewangelii Łukasza. Czytamy tam, że Maria siadała u stóp Jezusa. Co to oznacza? W owych czasach u stóp nauczyciela siadał zazwyczaj uczeń. A Marta nazwała Jezusa Nauczycielem (J 11,28), kiedy zawołała Marię: „Nauczyciel tu jest i woła cię”. W tamtych czasach była to rzecz niesłychana, że rabbi nauczał kobietę. Istotnie, rabini ukuli nawet powiedzenie, wedle którego lepiej było nauczać Samarytanina niż niewiastę, a przecież wiecie, jaki Żydzi mieli stosunek do Samarytan!

Tak więc Maria usiadła u stóp Jezusa, zaś jej siostra, Marta, wypowiedziała jedno z najważniejszych słów na temat Jezusa i dała świadectwo, kim On jest. Działo się to po śmierci Łazarza, gdy Chrystus przybył do Betanii. Marta powiedziała: „Tak, Panie! Ja uwierzyłam, że Ty jesteś Chrystus, Syn Boży, który miał przyjść na świat” (zob. Jan 11,27). Czyż nie świadczy to o jej głębokiej wierze?

Kolejnym przykładem ilustrującym to, jak Jezus traktował kobiety, jest historia o Jego namaszczeniu. Wydarzenie to opisują wszystkie cztery Ewangelie; miało ono miejsce podczas przyjęcia u Szymona. To, co się tam wydarzyło, zapewne spotkałoby się z niechęcią ze strony wszystkich Żydów żyjących

w owych czasach. Jezus dopuścił, by dotknęła Go kobieta, która miała rozpuszczone włosy (a przecież tylko ulicznice mogłyby pozwolić sobie na taki gest). Na domiar wszystkiego Jezus pochwalił ją za tak piękny czyn i polecił pamięci następnych pokoleń.

Potem mamy spotkanie Jezusa z Samarytanką. W czasach Chrystusa istniało prawo mówiące, że mężczyzna nie będzie przebywał sam na sam z kobietą, nawet z własną siostrą lub córką ze względu na to, co inni mężczyźni mogliby pomyśleć. Zastanawiająca jest mentalność dawnych mężczyzn! Jezus otwarcie rozmawiał z kobietą przy studni, łamiąc tym samym wszystkie żydowskie obyczaje.

W Nowym Testamencie możemy również znaleźć historię cudzołożnej kobiety przyprowadzonej siłą przed oblicze Jezusa. Wtedy Zbawiciel obronił ją przed tymi, którzy pragnęli jej potępienia. Wydaje się więc, że można znaleźć dużo przykładów pokazujących, jak Jezus traktował kobiety.

A czy Mistrz uzdrowiał niewiasty? W szabat przywrócił zdrowie teściowej Piotra. Przy tej okazji złamał podwójnie prawo żydowskie — nie tylko zrobił to w dniu sobotnim, ale również dotknął ją, ujmując za rękę.

Kolejny cud uzdrowienia zapisany został w Ewangelii Łukasza 10,13, a dotyczy kobiety chorej od osiemnastu lat. I tak jak poprzednio, uzdrowienie miało miejsce w szabat, a Jezus publicznie położył na niej swe ręce, czyli dopuścił się czegoś absolutnie niedozwolonego.

W Ewangelii zawarta jest również historia wzbudzenia z martwych syna wdowy w miasteczku Nain. Jezus przerwał wtedy nabożeństwo pogrze-

bowe, przynosząc radość zmartwionym. Kiedy została wskrzeszona córka Jaira, Zbawca ponownie złamał panujące ogólnie zwyczaje, przywracając życie dziewczynce przez dotyk. Kiedy Jezus szedł do domu Jaira, skraju Jego szaty dotknęła pewna niewiasta. Wtedy On zatrzymał się i zapytał: „Kto mnie dotknął?”. Wezwał do siebie przestraszoną kobietę, a następnie pochwalił, mówiąc, że jest godna uzdrowienia. Z uznaniem wypowiedział się o jej wierze i determinacji. Uznał ją za osobę godną szacunku.

Ostatnim wydarzeniem ilustrującym relacje między Jezusem a kobietami jest Jego droga na Golgotę. Niewiasty płakały, użalając się nad Nim. Prawdopodobnie nie miały z Mistrzem wiele styczności, ale ich serca były poruszone Jego cierpieniem. Życzylibyśmy sobie więcej takich ludzi jak one i takich, jak Szymon Cyrenejczyk, który nie potrafił stać obojętnie, gdy ujrzał cierpiącego pod ciężarem krzyża Człowieka. Kobiety szłochały i Jezus to zauważył.

W Ewangeliach nie ma ani jednej wzmianki o tym, że jakakolwiek kobieta była wrogo nastawiona do Jezusa. Zbawca tak samo swobodnie przedstawiał z kobietami, jak i mężczyznami, głosząc im swoje poselstwo. Kobiety traktował tak samo jak mężczyzn. Pod każdym względem. Wśród Jego przyjaciół znalazły się również niewiasty. Z życzliwością przyjmował ich miłość, traktując ją jako coś bardzo pięknego. Nigdy nie wahał się, czy służyć kobietom. Udowodnił też, że można spotykać się z kobietami na wysokiej, duchowej płaszczyźnie. W ten oto sposób Jezus, który okazuje im swą akceptację, jest trafnie określany mianem obrońcy kobiet.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ LUDZI POGRAŻONYCH W ROZPACZY

Jerozolima była wielokrotnie niszczona. Wielu miast i osad, istniejących za czasów Chrystusa, już dzisiaj nie ma. Przez te wszystkie lata ludzie po prostu budowali swoje siedziby na gruzach dawnych miast.

Kiedy kilka lat temu wraz z grupą turystów odwiedziłem Ziemię Świętą, wspólnie udaliśmy się, by zobaczyć sadzawkę Betezda. Leży ona około dwudziestu czterech metrów poniżej obecnego usytuowania miasta. Chcąc się tam dostać, trzeba zejść wijącymi się schodami i dojść do poziomu z czasów Jezusa.

Gdy znajdziemy się na wysokości pięciu krążanków, możemy zauważyć inne schody prowadzące jeszcze głębiej, w ciemność, wprost do wody wypełniającej basen. Jeden z członków naszej grupy przypadkowo znalazł się w basenie; próbując zejść tonącymi w ciemnościach schodami, odkrył, że to nie on poruszył wodę, ale to ona go poruszyła i zaniepokoiła!

Sadzawka Betezda wciąż istnieje, dając nam wyobrażenie, jak wyglądała za dni Jezusa.

Historia o chorym przy sadzawce Betezda jest zapisana w piątym rozdziale Ewangelii Jana: „Potem było święto żydowskie i udał się Jezus do Jerozolimy. A jest w Jerozolimie przy Owczej Bramie sadzawka, zwana po hebrajsku Betezda, mająca pięć krużgan-ków. W nich leżało mnóstwo chorych, ślepych, chro-myh i wycieńczonych, którzy czekali na porusze-nie wody”. Następnie pojawia się wiersz, którego nie zawierają wszystkie przekłady Biblii. Podaje go jed-nak Biblia Króla Jakuba: „Od czasu do czasu zstę-pował bowiem anioł Pana do sadzawki i poruszał wodę. Kto więc po poruszeniu wody pierwszy do niej wstąpił, odzyskiwał zdrowie, jakkolwiek chorobą był dotknięty” (J 5,1-4).

Można to nazwać czymś w rodzaju współczesnej sztuczki magicznej, czymś w rodzaju Lourdes — pro-szę o wybaczenie — gdzie ludzie udawali się po zdro-wie, albo przynajmniej szli tam z taką nadzieją.

„A był tam pewien człowiek, który chorował od trzydziestu ośmiu lat. I gdy Jezus ujrzał go leżą-cego i poznał, że już od dłuższego czasu choruje, zapytał go: Chcesz być zdrowy? Odpowiedział mu chory: Panie, nie mam człowieka, który by mnie wrzucił do sadzawki, gdy woda się poruszy; zanim zaś ja sam dojdę, inny przede mną wchodzi. Rzecz mu Jezus: Wstań, weź łoże swoje i chodź. A właśnie tego dnia był sabat” (w. 5-9).

Ostatni fragment tego rozdziału opisuje następ-stwa czynu Jezusa. Zbawiciel został postawiony przed ziemskim trybunałem i oskarżony.

Jezusa, Pana szabat, oskarżono o bezczeszczenie tego dnia. Gdyby to nie było tragiczne, mogłoby się wydać nawet śmieszne. Jezus — Stwórca, to przecież Ten, który wszystko uczynił, Ten, który sprawiał, że biły serca Jego oskarżycieli. Rzeczywiście, to niesamowita historia!

Sześciokrotnie, przy różnych okazjach, Jezus był oskarżany o łamanie szabat. Kiedy przestudiujecie każde z tych sześciu zdarzeń, zauważycie, że Jezus zawsze działał w obronie człowieka, natomiast przywódcy religijni w takich sytuacjach zawsze stawali po stronie prawa. Jednak w Ewangelii Mateusza w dwunastym rozdziale i dwunastym wierszu Chrystus powiedział: „A zatem wolno w sabat dobrze czynić”. Zbawiciel „złamał” szabat po to, by go zachować. Natomiast przywódcy żydowscy, próbując zachować dzień święty, łamali go. Kiedy Jezus stanął w obronie człowieka, tak naprawdę stanął również w obronie prawa. Wszak jedno nie wyklucza drugiego. Wolno w szabat dobrze czynić.

Słowo „wolno” jest bardzo interesujące. Pismo nie mówi, iż miło jest czynić dobrze w dzień sabatu lub że czynienie dobra to jakiś przywilej. Ono powiada, że wolno w szabat dobrze czynić. Innymi słowy, zgadza się z wymogami prawa. Jest to podobne do jazdy samochodem autostradą, na której znajduje się znak drogowy mówiący, że prędkość minimalna wynosi sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ten znak zezwala, by jechać z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a w dodatku jazda wolniejsza równa się przekroczeniu prawa. Czynienie dobra jest zgodne z prawem i Jezus przyszedł, by pokazać prawdziwy cel ustanowienia dnia świę-

tego. Najwyraźniej Zbawca podjął ogromne ryzyko, decydując się odrzucić balast tradycji i obrzędowości, i chcąc ukazać, na czym polega istota zachowywania szabatu.

Tego szczególnego dnia Zbawiciel przechadzał się między pięcioma krążgankami. Ludzie, którzy tam leżeli, byli nieuleczalnie chorzy. Przyjaciele i rodziny chorych pomogli im się tutaj dostać w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku. Niektórzy wzniesli w pobliżu sadzawki prymitywne schronienia; innych przynoszono tutaj codziennie. Wszyscy czekali na poruszenie wody. Wtedy każdy próbował jako pierwszy wejść do sadzawki. Chorzy zniekształceni, umierający, nieszczęśliwi i pogrążeni w rozpacz — czekali. Jezus sam chodził wśród cierpiących, nie zwracając niczyjej uwagi. Było to na początku Jego służby. Później tłum nie odstępował Chrystusa ani na krok, podążając w wielkiej liczbie Jego śladami. Ale tego dnia nikt Mu nie towarzyszył, nie było kobiet przepychających się wśród tłumu i próbujących dotknąć chociaż skraju Jego szaty. Mistrz przechadzał się między krążgankami, przyglądając się cierpiącym nieszczęśnikom. Pragnął ich uzdrowić. Chciał uzdrowić wszystkich! Gdybym tam był i rozpoznał Go, wiedząc jaką ma moc, zawołałbym: „Śmiało, Jezusie! Ulecz każdego!”.

Nie mógł jednak tego uczynić. Miał jeszcze wiele do zrobienia w swej misji i gdyby ich wszystkich uzdrowił, miałyby zbyt mało czasu na wykonanie swego dzieła. W rzeczy samej, uzdrawiając tylko jednego człowieka, uczynił wielki krok w kierunku krzyża. Z tej właśnie przyczyny nie uzdrowił wszystkich trędowatych. Stałoby to na przeszkodzie

wypełnieniu Jego największej misji — zbawienia całej ludzkości.

Dlatego też Bóg nie unicestwił grzechu już dawno temu. Z tego powodu również nie może On uzdrowić dzisiaj wszystkich chorych i niedołączonych, którzy znajdują się w szpitalach, domach opieki i innych instytucjach tego rodzaju. Bóg w swej mądrości musi pozwolić na to, aby wypełniło się ostatecznie przeznaczenie grzechu, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co on naprawdę oznacza. A kiedy nadejdzie koniec grzechu, nikt już na wieki nie będzie musiał cierpieć z jego powodu.

Kiedy Jezus przechadzał się między pięcioma krążgankami, miał wielkie pragnienie, by uzdrowić wszystkich chorych i być może tęsknił za tym dniem, gdy grzech zostanie na wieki unicestwiony i wszyscy zostaną uzdrowieni, zobaczył człowieka godnego litości. Współczucie dla tego nieszczęśnika wzięło górę nad wszystkim.

Oto leży przed Chrystusem człowiek chory od trzydziestu ośmiu lat. Opuścili go przyjaciele i rodzina, a jego domem jest teren przylegający do sadzawki. Jezus zatrzymuje się, patrzy na leżącego i zadaje z pozoru naiwne pytanie:

— Chcesz być zdrowy?

— Przepraszam, a jak myślisz, w jakim celu tutaj jestem?

— Chcesz być zdrowy?

Najwidoczniej Zbawiciel chciał, by chory odpowiedział na Jego pytanie.

Znamy odpowiedź chromego:

— Oczywiście, bardzo tego chcę. Ale nie mam nikogo, kto by mi pomógł. Nikogo. A ja już jestem zbyt słaby, by o własnych siłach wejść do sadzawki.

Zawsze ktoś inny wchodzi tam przede mną. Nie ma dla mnie nadziei.

Jezus nie traci więc czasu. Mówi wprost. Patrzy na tego człowieka. Dysponuje mocą Dawcy Życia, Stwórcy, który uczynił cały wszechświat. To moc, która sprawiła, że słuchał Go w akcie stwarzania nawet pojedynczy pył. Rozkazuje więc: „Wstań, weź łoże swoje i chodź!”.

Zwróćcie uwagę na intrygującą kolejność wydarzeń. Czytamy, iż po pierwsze, chory odzyskał zdrowie; po drugie, wziął swoje łoże i po trzecie — chodził.

Jak łatwo dopisujemy do tej historii coś od siebie. Pragniemy chociaż odrobinę zasługi i chwały przypisać sobie, więc powiadamy: Bóg pomaga tylko tym, którzy pomagają sobie. Chcemy, żeby Boże dary zależały częściowo także i od naszych wysiłków. Prawdopodobnie słyszałeś, jak ludzie sugerowali, że ów chromy człowiek mógł znowu chodzić dlatego, iż natężył swoją wolę, zacisnął zęby i z determinacją pragnął spełnić to, co powiedział do niego Jezus. A kiedy uczynił wszystko, co mógł ze swej strony, został uzdrowiony i był w stanie chodzić. Nie tak to się jednak odbyło. Jezus natychmiast go uzdrowił. Chory najpierw został uleczony; następnie powstał, wziął łoże swoje i poszedł. Chodzenie i zabranie łoża były jedynie rezultatami uzdrowienia — nie zaś jego przyczyną.

Widzimy tego człowieka, jak w podskokach opuszcza teren sadzawki. Co przedstawia w tym opowiadaniu sadzawka? Ilustruje to, co jesteśmy w stanie uczynić o własnych siłach, chcąc odzyskać zdrowie. Sadzawka mogła reprezentować nasze usiłowania zmierzające do uzyskania zbawienia, odniesienia zwycięstwa lub osiągnięcia sprawiedliwości.

Być może niektórzy ludzie zostali uzdrowieni siłą własnego umysłu, gdyż najwyraźniej przyczyna ich choroby leżała ukryta głęboko w ich psychice. Lecz ten człowiek był słaby. Nie miał nawet dość siły i energii, by wejść do sadzawki. Był w beznadziejnym stanie.

A może znajdujecie się w podobnej sytuacji, co ów nieszczęśnik? Nie przeoczcie duchowej lekcji zawartej w tej historii. Czy macie obecnie swoją sadzawkę? Może próbujecie sami zapracować na niebo, staracie się być dobrymi ludźmi po to, by się tam dostać? Czy to jest waszą sadzawką? Nigdy nie osiągniecie zbawienia o własnych siłach.

Czy próbowaliście pokonać grzech panujący w waszym życiu? Nie macie pokoju ducha? Jesteście bliscy rozpacz? Czy to jest wasza sadzawka? Można wspomnieć wyznawców Kościoła, starających się uczynić coś, by przyśpieszyć przyjście Chrystusa. Czy słyszeliście o tym? Czy widzieliście hasła i plakaty mówiące: „Powstańmy i dokończmy dzieło”? A potem dowiadujecie się, że populacja świata rośnie szybciej niż postępuje zwiastowanie Ewangelii i już jesteście bliscy utraty nadziei. Czy to jest dzisiaj waszą sadzawką?

Mamy wiele różnych sadzawek, do których próbujemy wejść. Być może są i tacy, którzy usiłują to zrobić od trzydziestu ośmiu lat, a nawet dłużej, ale jeszcze im się to nie udało. Mam dla was dobrą nowinę! „Jest studnia wypełniona krwią, która wypłynęła z żył Immanuela; grzesznicy zanurzeni w tej cudownej krwi obmyją swych win plamy”. Jest szata dla nagich, szata tkana, w której nie ma nawet jednej nitki wytworzonej przez człowieka. Możemy

ją otrzymać dzisiaj w prezencie. W miejsce naszej niemożności Jezus daje nam szatę mocy.

Czy zechcielibyście przyłączyć się do tego, który leży przy jednym z krążganków? Obok przechodzi Jezus. Pochyla się i pyta: „Czy chcecie być zdrowi?”.

Dotykamy tutaj zagadnienia, określanego przez niektórych mianem subiektywnej Ewangelii. Tacy ludzie powiadają: „Nie mówmy o uzdrawianiu. Bądźmy obiektywni. Nie patrzmy na siebie”.

Czy możecie wyobrazić sobie, jak Jezus pochyla się nad człowiekiem przy sadzawce, mówiąc:

— Czy chcesz być zdrowy?

Na to chory odpowiada:

— To zbyt subiektywne. Wystarczy, jeżeli przekażesz na moje konto w niebie część Twojej sprawiedliwości.

Możemy być wdzięczni za to, co Jezus uczynił na krzyżu, lecz równie wdzięczni możemy być za to, czego pragnie On dokonać w naszym życiu dzisiaj. Charles Spurgeon, potężny kaznodzieja minionych lat, ujął to następująco: „A teraz moi drodzy słuchacze zadam wam pytanie. Czy chcecie być zdrowi? Czy pragniecie być zbawieni? Czy wiecie, co oznacza bycie zbawionym? Tak, powiecie, to jest uniknięcie wiecznego potępienia. O, nie, nie. To jest rezultat zbawienia. Zbawienie to zupełnie coś innego. Czy chcecie być uwolnieni od mocy grzechu? Czy pragniecie wybawienia od pożądlivosti, przyziemności, nieczystości, złości, niesprawiedliwości, niepożądliwości, apodyktyczności, pijaństwa i świeckości? Czy jesteście gotowi wyrzec się najdroższego wam grzechu?”.

— Nie — powie ktoś — szczerze mówiąc, nie pragnę tego wszystkiego. Nie do takiej osoby jednak dziś mówię.

Ale znajdzie się ktoś, kto powie:

— Ogromnie pragnę pozbyć się grzechu, całkowicie go wykorzenić. Z Bożą łaską chcę dzisiaj stać się chrześcijaninem i uwolnić się od mych grzechów. Następnie powstać, wziąć łożę swoje i pójść.

Czy nie chcecie przyjąć za swego naprawdę najlepszego Przyjaciela, jakiego kiedykolwiek moglibyście mieć, samego Pana Jezusa, który przechadza się między krużgankami? On nie przyszedł, by wzywać do pokuty sprawiedliwych, lecz grzeszników. Jezus mówi: „Do mnie zwróćcie się, wszystkie krańce ziemi, abyście byli zbawione”. On zaryzykował dla was. Jego miłosierdzie zawsze w Nim zwycięża. Oferuje wam dzisiaj tak upragnione duchowe uzdrowienie.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ UCZNIÓW

Czy myśleliście kiedyś o tym, aby umrzeć dla Chrystusa? Czy bylibyście na to gotowi? A czy gdybyście zdecydowali się na coś takiego, czy naprawdę byście nie zawiedli? Z pewnością ci, którzy oddali swe życie w imię Jezusa, musieli otrzymać pomoc z wysokości.

Podczas powstania bokserów w Chinach bandyci uprowadzili do swej górskiej kryjówki misjonarza i próbowali zmusić go do wyrzeczenia się wiary. Odmówił. Wtedy odcięli mu wszystkie palce u rąk i nóg. I ponownie zapytali:

— Czy i teraz nie wyrzekniesz się swojej wiary?

Jego odpowiedź brzmiała:

— Nie.

Tak więc obcięli mu ręce do nadgarstka i stopy aż do kostek, a potem krzyczeli, żeby porzucił swą wiarę w Chrystusa. Jeszcze raz odmówił. Wtedy odcięli mu ręce i nogi aż do końca. Kiedy umierał, leżąc w kałuży krwi, zapytali:

— A może teraz chcesz coś powiedzieć?

Odrzekł:

— Tak, czy możecie zawiadomić mojego syna, by przyjechał do Chin na moje miejsce?

Zapewne słyszeliśmy wiele opowieści tego typu, pochodzących z różnych epok i krajów. Krew męczenników płynie od czasów Abła aż do dziś. Byłoby wręcz nietaktem, gdybyśmy w tej książce, mówiącej o tym, jak Jezus traktował ludzi, nie zastanowili się nad tym, jak Jezus odnosił się do swych naśladowców, uczestniczących we wspólnocie i cierpieniu.

Zbawca mówił do każdego z nich: „Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota” (Ap 2,10). Apostoł Piotr poznał cenę cierpienia. Ale i w jego życiu była chwila, kiedy chciał się wycofać. Możecie odtworzyć sobie rozmowę Jezusa z apostołami, kiedy powiedział im o nadchodzącej śmierci. Wtedy właśnie Piotr rzekł: „Miej litość nad sobą, Panie! Nie przyjdzie to na ciebie”. Jezus skarcił go za te słowa (zob. Mt 16,22-23).

Ale Piotr także nauczył się cenić błogosławieństwa płynące z uczestnictwa we wspólnocie i cierpieniu. Czytamy o tym w 1 P 4,12-13: „Najmilsi! Nie dziwcie się, jakby was coś niezwykłego spotkało, gdy was pali ogień, który służy doświadczeniu waszemu, ale w tej mierze, jak jesteście uczestnikami cierpień Chrystusowych, radujcie się, abyście i podczas objawienia chwały jego radowali się i weselili”.

Nie jest więc dziwne, że chrześcijanie cierpią. Podobne słowa napisał apostoł Paweł w swym Liście do Filipian 1,29: „Gdyż wam dla Chrystusa zostało darowane to, że możecie nie tylko w niego wierzyć, ale i dla niego cierpieć”.

Jest to przywilej, dar i zaszczyt — jedno z największych błogosławieństw, jakimi obdarza nas Niebo, gdy uczestniczymy w cierpieniach i jesteśmy

wierni Bogu aż do śmierci. To tajemnica i ludzkim umysłem nie pojmiemy tej prawdy; uczestnictwo w cierpieniach jest tym, co ofiaruje nam Chrystus.

Dlatego skoncentrujemy naszą uwagę na jednym z najwierniejszych naśladowców Jezusa, o którym sam Zbawiciel powiedział: „Nikt większy od niego się nie narodził”. Nazywał się Jan Chrzciciel. Wielu dziwiło się jego śmierci.

Jan Chrzciciel był cudownym dzieckiem, poświęconym Bogu od swego narodzenia. Spędził życie na pustyni. Nosił dziwny ubiór, jadł strąki chleba świętojańskiego i miód zbierany przez dzikie pszczoły. Umiłował przebywanie na odludnych, otwartych przestrzeniach.

Kiedy rozpoczął swą publiczną służbę, obwieszczać rychłe nadejście Mesjasza, nie szczędził słów krytyki pod adresem ludzi. Napominał nawet króla Heroda z powodu jego małżeństwa. Żonie Heroda nie podobało się to, co powiedział, więc namówiła swego męża, by wtrącił Jana Chrzciciela do więzienia.

Większość ludzi spodziewała się szybkiego uwolnienia Jana. Uważano, że powszechny szacunek, jakim cieszył się nawet u Heroda, gwarantuje mu bezpieczeństwo. Ale Jan Chrzciciel czekał i czekał. Ciężko znosił pobyt w ciasnym lochu, ponieważ niemal całe życie spędził na otwartym, górzystym terenie. W jego umyśle rodziły się pytania. Naszły go wątpliwości w związku z jego misją, a także wątpliwości dotyczące boskości Chrystusa.

W końcu przyszedł czas, gdy już dłużej nie mógł znieść tej niepewności, przesłał więc do Jezusa wiadomość, w której dzielił się z Nim swymi pytaniami. Otrzymała odpowiedź na nowo zbudowała jego wiarę.

Przyszedł dzień, gdy żona Heroda dostała to, czego chciała. Za pośrednictwem swej córki, Salome, sprytnie podeszła męża i w rezultacie Jan Chrzciciel został ścięty — najwidoczniej zapomniał o nim Bóg, zapomniał Chrystus, najwyraźniej pozostawiono go na pastwę losu. Czy tak właśnie Jezus traktuje swoich uczniów?

Trudno nam zrozumieć, że największym darem, jakim Niebo może nas obdarzyć, jest współuczestnictwo w cierpieniach Chrystusowych. Staje się ono dowodem najwyższego zaufania i uznania. Jakiego rodzaju udział w cierpieniach Jezusa mieli Jan Chrzciciel, misjonarz z Chin i wszyscy męczennicy na przestrzeni wieków? Czym są cierpienia Chrystusowe?

Jezus cierpiał przede wszystkim z powodu swej prawości. Nie było to cierpienie spowodowane Jego grzechem. Błogosławił tych, którzy w następnych wiekach mieli cierpieć z powodu swej sprawiedliwości. niesprawiedliwi zawsze czuli się źle w obecności prawych. Niegodziwcy nienawidzili Jezusa za Jego nienaganne życie i właśnie dlatego próbowali Go zniszczyć. Ci, którzy przyjęli sprawiedliwość Jezusa, zostali ostrzeżeni, iż nie zawsze będą akceptowani, a wielu z nich będzie cierpieć prześladowania, a nawet ponieść śmierć ze względu na sprawiedliwość.

Jezus cierpiał za innych. Stanowi On najdoskonalszy przykład osoby, która nie wahała się złożyć życia w ofierze za swych przyjaciół. Wielu naśladowców Chrystusa w następnych stuleciach uczyniło tak samo. Na pewno o tym słyszeliśmy.

Wiemy też, że Jezus cierpiał, gdyż wypełnił ułożony na początku świata mistrzowski plan, który

zakładał, że w razie pojawienia się na ziemi grzechu przyjdzie Mesjasz i zaoferuje ludziom ratunek. Zbawiciel nie uchylił się od wykonania tego planu i przez całe swoje życie na ziemi był posłuszny woli swego Ojca.

A przecież mógł siebie ocalić. Kiedy pod krzyżem znaleźli się kapłani i uczeni w Piśmie, powiedzieli: „Innych ratował, a siebie samego wyratować nie może” (Mk 15,31). Mówili prawdę. Chociaż mógł się uratować, nie był w stanie jednocześnie ocalić innych i samego siebie.

Ludzie podążający za Jezusem odkryli tę samą prawdę. Trwali w posłuszeństwie Bogu, a nie potrafili ocalić samych siebie. Gdyby misjonarz z Chin wyrzekł się swojej wiary w Chrystusa, miałby szanse ocalić życie. Ponieważ jednak postanowił być wierny Bogu i nieustannie wyznawał swą wiarę w Jezusa, nie mógł ocalić siebie.

Tak więc naśladowca Chrystusa może cierpieć dla sprawiedliwości, znosić męki przez wzgląd na innych ludzi i cierpieć, ponieważ jest wierny Bogu. Jan Chrzciciel doświadczył takiego cierpienia.

Jezus z radością uwolniłby swego umiłowanego i wiernego sługę, ale z uwagi na tysiące męczenników, którzy w następnych latach czy wiekach byli więzieni i karani śmiercią, Jan musiał wypić swój kielich gorzkości.

Jan Chrzciciel dał przykład apostołom, z których tylko jeden nie poniósł męczeńskiej śmierci. Pozostali uczniowie zapłacili najwyższą cenę, wskazując drogę innym. Kolejni męczennicy pokazali drogę tym wszystkim, którzy dziś żyją w świecie bólu, cierpienia, rozłąki i śmierci.

Dlatego więc rozumiemy, że Jan zginął przez wzgląd na przyszłych męczenników. Pozostaje jednak pytanie, dlaczego oni muszą umierać?

Należy zacząć od tego, że Bóg tak urządził świat, aby deszcz padał zarówno na sprawiedliwych, jak i niesprawiedliwych. Słońce świeci nad dobrymi i złymi. Gdyby dobro było przeznaczone tylko dla sprawiedliwych, a zło dotyczyło nikczemników, świat wkrótce byłby pełen ludzi służących Bogu z pobudek egoistycznych. Bóg zaś pragnie służby opartej na miłości. Stwórca nigdy nie obiecywał swym wyznawcom „zawsze błękitnego nieba”. Nie mówił też, że uwolni nas od kłopotów, które spotykają każdego w tym świecie grzechu.

Niewątpliwie składa się na to wiele przyczyn. Przede wszystkim pozwala to naśladowcom Chrystusa nieustannie uzmysławiać sobie ohydę grzechu, w innym przypadku zapomnielibyśmy o jego destrukcyjnej naturze i znów byśmy mu ulegli. Zgodnie z Bożym planem nadejdzie czas, gdy w całym wszechświecie zapanuje porządek, przestaną istnieć grzech i grzesznicy. Bóg pragnie, by tak pozostało na wieki. Stwórca obiecał, że grzech nie zaistnieje po raz drugi. Żeby tak się stało, musimy wyraźnie zobaczyć, czym jest grzech, byśmy nigdy więcej nie ulegli jego zwodniczemu urokowi.

Powinniśmy też zastanowić się nad czymś innym. Wiemy, że szatan nieustannie oskarża Boga o niesprawiedliwość. Diabeł twierdzi, że ludzie służą Stwórcy, aby coś od Niego otrzymać. Wiemy, jak zakończyła się historia z Jobem, którego szatan oskarżył, iż służy Bogu jedynie ze względu na otrzymywane od Niego błogosławieństwa (zob. Job 1,9-10).

Doświadczenie Joba może powtórzyć się w życiu każdego z nas.

Bez względu na to, co zrobi diabeł i jakie nieszczęście na nas ześle, to Bóg obiecuje nam moc, dzięki której będziemy mogli wytrwać w cierpieniu, nie tracąc do Niego zaufania. I On musi przedstawić tę prawdę w realnym życiu.

Przypatrzmy się, jak działa ta zasada w odniesieniu do wielkiego boju między Chrystusem i szatanem. Biblia uczy, że przy końcu tysiąclecia, kiedy Jezus powróci na ziemię po raz trzeci, wszyscy, którzy kiedykolwiek żyli na naszej planecie, spotkają się pierwszy i jedyny raz. Część ludzi zgromadzonych za murami miasta będzie starała się zajrzeć do środka, zaś inni, znajdujący się w środku, będą chcieli wyrzwać na zewnątrz.

Poza murami miasta znajdują się ludzie z czasów potopu, których myśli i serca zostały przeniknięte złem. Będą pięściami wygrażać Bogu, mówiąc:

— To niesprawiedliwe. W naszych czasach zbyt trudno było służyć Tobie.

Wyobraźmy sobie, że z miasta dobiega głos:

— Noe, czy zechciałbyś wejść na mur?

Kiedy Noe znajdzie się tam, na górze, ludzie z czasów potopu zamilkną.

Mogę oczyma wyobraźni zobaczyć stojących za murami miasta tych, którzy żyli w czasach odstępstwa Izraela. Poddali się ogólnej presji i stali się czcicielami Baala. Wygrażają Bogu, mówiąc:

— Bardzo trudno było Tobie służyć w takich warunkach — właściwie jako jedyni wyznawalibyśmy wówczas wiarę w Ciebie.

I Bóg prosi, aby Eliasz stanął na murze. Wtedy wszyscy narzekający umilkną.

Widzę też ludzi z okresu wczesnego chrześcijaństwa, kiedy prześladowania osiągnęły szczyt. Oni również znajdują się poza murami Nowej Jerozolimy i wymachując pięściami, będą krzyczeć:

— W naszych czasach trudno było Tobie służyć, Boże. Zabili by nas, gdybyśmy otwarcie mówili o Jezusie Chrystusie.

I wtedy Bóg pośle na mur Szczepana i tym samym zamknie im usta.

Mogę dostrzec również ludzi żyjących w średnio-wieczu i wygrażających Bogu. I wtedy na mur wstępują Hus i Hieronim. Widzę też kogoś z Chin, kto żył w dniach, kiedy wybuchło powstanie bokserów. Stoi poza murami miasta, zarzucając Bogu niesprawiedliwość. Wtedy do przodu wychodzi wspomniany na początku rozdziału misjonarz.

Widzę wreszcie kogoś, kto żyje w naszych czasach — ofiara raka, cierpiąca miesiącami, nim ostatecznie umrze. Przed śmiercią gniewa się na Boga i obwinia Go za wszystkie swoje cierpienia, przeklina Go i umiera.

Dla kogoś takiego, kto znajdzie się kiedyś po drugiej stronie murów, Bóg potrzebuje osoby, która przeszła podobną próbę, a mimo to kochała Go i ufała Mu do końca, nie zważając na cierpienia.

Czy oznacza to, że Bóg jest sprawcą tych wszystkich utrapień? Ależ nie. Odpowiada za nie szatan, ale Bóg w swym miłosierdziu może odwrócić od człowieka nieszczęście. Kiedy apostołowie zapytali Jezusa, czy zgrzeszył niewidomy, czy też jego rodzice, On odpowiedział: „Ani on nie zgrzeszył, ani

rodzice jego, lecz aby się na nim objawiły dzieła Boże” (zob. J 9,3).

Nadejdzie taki dzień, kiedy chwała Boża zatriumfuje i naśladowcy Chrystusa, którzy cierpieli i służyli Mu przez wzgląd na Niego, nie zaś tylko dla własnego dobra, otrzymają nagrodę. Jezus obiecał coś znacznie więcej niż tylko wynagrodzenie cierpień doznanych przez ludzi w tym grzesznym świecie.

Zgodnie z Bożym planem dotyczącym wielkiego boju, nawet ci, którzy wraz z szatanem zostaną poza murami miasta, przyznają ostatecznie, że Bóg postępował sprawiedliwie.

Jakże cudowny to będzie dzień, kiedy problem grzechu zniknie na zawsze, a my będziemy wiecznie cieszyć się towarzystwem Jezusa.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ SĄSIADÓW

Szybko rozeszła się wieść, że do miasta przybywa Jezus. Nie tak dawno opuścił swe rodzinne strony. Przez prawie trzydzieści lat żył po sąsiedzku z ludźmi w Nazarecie. Jeszcze nie minęły dwa lata od czasu, gdy spakował narzędzia, pożegnał matkę i rozpoczął swą niezwykłą misję.

Do Nazaretu docierały informacje z miast oraz wiosek Galilei, znad Jordanu i z Jerozolimy. Jezus czynił tajemnicze rzeczy. Często przy miejskiej studni lub na targowisku spotykali się mężczyźni i kobiety, przekazując sobie najnowsze plotki na Jego temat. Większość opowieści zdawała się nie pasować do obrazu człowieka, jakiego znali. Tam w Nazarecie Jezus był dobrym pracownikiem, uprzejmym słuchaczem i miłym sąsiadem. Uważano Go za zainteresowanego Bożymi sprawami ekscentryka, który chętnie pomaga wszystkim wokół. Wieści, które do nich docierały, przedstawiały Chrystusa jako fanatyka, radykała lub zelotę.

Wkrótce po opuszczeniu miasta przez Jezusa, mieszkańcy Nazaretu dowiedzieli się o oczyszczeniu

przez Niego świątyni w Jerozolimie. W miejscowej synagodze nigdy nie zrobił czegoś podobnego! Ale może Jerozolima wymagała takiego potraktowania. Krążyły wszak plotki, iż w sercu religijnej siedziby narodu żydowskiego panuje korupcja.

Jezus podróżował po całym kraju, a gdziekolwiek się udał, towarzyszyła Mu coraz większa rzesz zwolenników. Mnożyły się też wieści o cudach, uzdrowieniach i wypędzaniu demonów. Nikt nie był pewien, czy można temu wszystkiemu wierzyć, ale wszyscy z zainteresowaniem śledzili informacje na temat miejscowego młodzieńca, czyniącego dobro; a może ów młodzieniec przysparzał kłopotów? Tak, teraz mieli przekonać się o tym na własne oczy, ponieważ Jezus przybywał z wizytą do miasta.

„I powrócił Jezus w mocy Ducha do Galilei, a wieść o nim rozeszła się po całej okolicznej krainie. On sam zaś nauczał w ich synagogach, sławiony przez wszystkich. I przyszedł do Nazaretu, gdzie się wychował, i wszedł według zwyczaju swego w dzień sabatu do synagogi, i powstał, aby czytać” (Łk 4,14-16).

Mieszkańcy Nazaretu z wielką dumą przyjęli fakt, że Jezus dostąpił zaszczytu przeczytania Pisma w sobotni poranek. Jak miło, że znów był u siebie w domu. Lokalni przywódcy kościelni uhonorowali go występem na podium. Możemy nawet słyszeć, jak ktoś szepcze do sąsiada:

— Czy wiesz, że to syn Józefa? Mieszkał kiedyś niedaleko nas, przy tej samej ulicy.

Jan Chrzciciel głosił, iż Jezus jest Synem Bożym. Apostołowie wierzyli, że to Mesjasz. Ogromne rzesze uznały Go za wielkiego Nauczyciela, a nawet proroka. Ale tutaj w Nazarecie nazywano Go synem

Józefa. I jeśli doniesienia o cudach, których dokonał w innych miejscach, były prawdą, to czyż Nazaret nie był najbardziej uprawniony do szczególnego pokazu? Czyż ludziom nie należały się miejsca w pierwszym rzędzie? Przecież znali Go od zawsze. Pochylili się do przodu, by nie uronić ani jednego słowa.

„I podano mu księgę proroka Izajasza, a otworzywszy księgę, natrafił na miejsce, gdzie było napisane: Duch Pański nade mną, przeto namaścił mnie, abym zwiastował ubogim dobrą nowinę, posłał mnie, abym ogłosił jeńcom wyzwolenie, a ślepym przejrzenie, abym uciśnionych wypuścił na wolność, abym zwiastował miłościwy rok Pana. I zamknąwszy księgę, oddał ją słudze i usiadł. A oczy wszystkich w synagodze były w niego wpatrzone” (Łk 4,17-20).

Prawdopodobnie większość mieszkańców Nazaretu nie zrozumiała głównej myśli zawartej w tych słowach. Wiedzieli, że ten konkretny fragment Pisma dotyczy mesjańskiego wystąpienia, ale sądzili, iż odnosi się to do Mesjasza, który przyjdzie. Być może część z nich zaczęła już kojarzyć ze sobą pewne fakty i poczuła się nieswojo. Jednak wszyscy czuli, że coś wisi w powietrzu. Wszyscy jakby na coś czekali. Biblia mówi, iż oczy wszystkich patrzyły na Niego, nawet gdy już usiadł.

Wtedy Jezus przemówił jeszcze raz, o czym czytamy w wierszu dwudziestym pierwszym: „Dziś wypełniło się to Pismo w uszach waszych”. Na wszystkie twarzach widoczna była zmiana. Jezus wyraźnie mówił, że jest Mesjaszem. Bardzo trudno zaakceptować takie słowa, zwłaszcza, gdy wypowiada je sąsiad. Ale w tej wypowiedzi było coś bardziej przykrego. Jeżeli mówił o sobie: „Ja jestem

Mesjaszem”, to oznaczało również: „Jesteście biedni. Jesteście jeńcami. Jesteście ślepi i zniewoleni”.

W jaki sposób Jezus potraktował swych sąsiadów! Czy nie zasługiwali na szacunek i cześć? Wszak oni przyjęli Go bardzo uprzejmie. Cóż za nietakt!

Jeżeli chciał, by w Niego uwierzyli, dlaczego zaraz na początku nie uleczył wszystkich swych przyjaciół i sąsiadów z chorób i dolegliwości? Jeżeli był Mesjaszem, dlaczego nie rozdzielił najpierw wśród nich stanowisk w swym nowym królestwie, o którym tyle słyszeli? Zamiast tego, na wstępie ich obraził, a potem oczekiwał od nich akceptacji i poparcia.

Pomimo zainteresowania Jezusem — tym miejscowym młodzieńcem, który rozślawił ich miasto w Jerozolimie i Kafarnaum — mimo Jego łaskawych słów i silnego wpływu Ducha Świętego w owym dniu, szybko dojrzewało w nich ziarno odrzucenia. Ludzie pytali: „Czyż ten nie jest synem Józefa?” (w. 22).

Co chcieli przez to powiedzieć? Dawali do zrozumienia, że On jest po prostu jednym z nich. Zgoda, Jezusie, możesz występować przeciwko korupcji w Jerozolimie. Niech wszyscy wiedzą o grzeszności pogan i Samarytan. Napominaj wszetecznice i poborców podatków. Ale tu jest Nazaret! Nie traktuj swoich sąsiadów w taki sam sposób jak innych! Jesteś jednym z nas. Pomogliśmy Ci stać się Tym, kim teraz jesteś. Nie udawaj wielkiego człowieka — my Ciebie znamy! Znamy Twoich rodziców i krewnych. Wiemy, że jesteś synem Józefa.

Ale Jezus jeszcze nie skończył. „I rzekł do nich: Zapewne powiecie mi owo przysłowie: Lekarzu, ulecz samego siebie. Dokonaj także tutaj, w ojczyźnie swojej, tych wielkich rzeczy, które, jak słyszeliśmy, wyda-

rzyły się w Kafarnaum” (w. 23). A następnie przypomniał im o czasach Eliasza, kiedy przez trzy i pół roku nie padał deszcz. Chociaż w tamtym czasie w Izraelu było wiele wdów, prorok nie został posłany do żadnej z nich, tylko do wdowy w Sarepcie Sydońskiej, a więc osoby z zewnątrz. Bóg nie uznał za stosowne zwrócić się do swego ludu, lecz do pogan. I nie dość na tym. Jezus przypomniał obecnym o trędowatym Naamanie, uzdrowionym przez proroka Elizeusza. Tym samym zasugerował, że podobnie dzieje się teraz w Nazarecie. Jego sąsiedzi nie mogli tego dłużej słuchać.

„I wszyscy w synagodze, słysząc to, zawrzeli gniewem” (w. 28). Wszyscy!

Zastanówmy się przez chwilę; byli to ludzie, z którymi Jezus dorastał. W dzieciństwie razem się bawili. Widzieli Go, gdy jeszcze jako chłopiec wczesnym rankiem wychodził za miasto ze zwojami papirusu pod pachą. Szedł na pobliskie wzgórze, żeby pobyć w ciszy ze swym Ojcem. Zнали Jego doskonałe życie; podawał im szklankę zimnej wody, dzielił się swym obiadem, gdy byli głodni. Ewangelista Marek pisze, że w synagodze znajdowała się również rodzina Jezusa. Mimo iż chcielibyśmy, aby chociaż oni zareagowali inaczej, to przecież czytamy, że wszyscy wpadli w gniew.

„I powstawszy wypchnęli Go z miasta, i wywiedli aż na szczyt góry, na której miasto ich było zbudowane, aby Go w dół strącić. Lecz On przeszedł przez środek ich i oddalił się” (w. 29-30).

Czy widzicie, jak Jezus samotnie odchodzi z Nazaretu? Spójrzcie, jak spuścił głowę, a łzy płyną po Jego twarzy. Tam zostali Jego dawni przyjaciele z cza-

sów dzieciństwa. Z pewnością miłował tych ludzi w szczególny sposób. A jednak odepchnęli Go, ba, chcieli Go nawet zabić! Serce tego Męża Boleści, który dobrze wiedział, czym jest smutek, napełniło się bólem. Odrzucili Go sąsiedzi, przyjaciele i być może część Jego własnej rodziny!

Dlaczego tak się stało? Przyczyny odrzucenia tkwiły głębiej niż tylko w rywalizacji sąsiadów i współmieszkańców Jego rodzinnego miasta. Odrzucili Go, ponieważ był bezgrzeszny i nie-naganny w swym postępowaniu. Bezbożni zawsze czują się nieswojo w obecności pobożnych. Odsunęli się od Niego, gdyż wiedzieli, że gdyby przyjęli Jego nauki, musieliby też zmienić swoje życie. Poza tym ciężko została zraniona ich narodowa duma. Nie życzyli sobie rozważań nad starotestamentowymi fragmentami Pisma, które mówiły o wywyższeniu pogan i obcych ponad lud wybrany. Odrzucili Go, ponieważ nie okazał należytego szacunku ich religijnemu życiu, obyczajom, a nawet dostojnikom kościelnym, których poważali. Buntowali się przeciw temu, że był taki jak oni, a jednak inny.

Tak więc Jezus został zmuszony przez swych sąsiadów z Nazaretu do opuszczenia miasta. Odszedł zakurzoną drogą z tragiczną świadomością, że wielu z nich odrzuciło Go ostatecznie. Wiedział, że ci, którzy odrzucili Boga, odrzucają też i Jego. Ludzka duma nigdy nie pozwala na przyznanie się do popełnienia błędu. Kiedy zajmujemy określone stanowisko wobec pewnych spraw, nie chcemy go już zmienić. Większość mieszkańców Nazaretu, która odrzuciła Mesjasza, nigdy nie przyznała się, że zrobiła źle. Ale i tam znalazło się kilka osób przychylnych Jezusowi.

W szóstym rozdziale Ewangelii Marka czytamy, że Jezus zdołał uzdrowić kilku mieszkańców Nazaretu. Tylko kilku mieszkańców z tak ważnego w oczach Bożych narodu wybranego. Zawsze tylko nieliczni przyjmowali Jezusa i ja również rozpaczliwie pragnę się do nich zaliczać. A wy?

Jezus przyszedł, by zwiastować Ewangelię ubogim, lecz zaakceptowało Go tylko kilku biednych rybaków. Czy chcielibyście się do nich przyłączyć? Jezus przyszedł, by pocieszyć pogrążonych w rozpacz. Jednak niewielu z nich, tak jak Maria czy Marta, nauczyło się siedzieć u Jego stóp. Jezus przyszedł, aby ogłosić jeńcom wyzwolenie, ale tylko kilka osób usłyszało Jego głos i przyjęło wolność, gdy w ich skołatanych umysłach szalały demony.

Jezus przyszedł, by przywrócić wzrok ślepym. Niestety, tylko kilku, tak jak Bartymeusz, wołało o pomoc, której On tak bardzo pragnął udzielić. Niewielu duchowych ślepców odczuwało swoją nędzę i zabiegało o pomoc Jezusa w odzyskaniu wzroku. Zaledwie paru pobitych i posiniaczonych przez wroga przyszło do Mistrza i przyjęło ofiarowaną im wolność oraz głośno wychwalało Jego imię.

Mało było takich osób.

Kiedy widzimy Jezusa idącego drogą, wypędzonego przez ludzi, którzy wzgardzili Jego miłością, nie pozwólmy na to, by szedł sam. Nie dopuśćmy, by Jezus szedł dziś samotnie, dotrzymajmy mu towarzysztwa, mówiąc: „Drogi Panie, pragnę iść z Tobą. Jestem po Twojej stronie i nie chcę Cię odrzucić”.

On wciąż z wielkim utęsknieniem szuka garstki ludzi, chcących przyjąć błogosławieństwa, którymi pragnie ich obdarzyć.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ PRZYWÓDCÓW RELIGIJNYCH

Czy jesteście faryzeuszami? A może saduceuszami? Jeżeli macie choćby powierzchowną wiedzę na temat tego, co mówi Biblia o Chrystusie, zapewne nie chcielibyście być utożsamiani z żadną z tych grup! Jednak w czasach Jezusa faryzeusze i saduceusze cieszyli się dobrą opinią. Nawet apostoł Paweł szczycił się tym, że był faryzeuszem. W tamtych dniach, jeżeli ktoś przypadkowo spotkał starego przyjaciela, który zapytał go: „Co porabia teraz twój syn?”, z dumą odpowiadał: „Mój syn jest faryzeuszem!”.

Jednak dzisiaj faryzeuszy i saduceuszy postrzega się w dużym stopniu negatywnie, mimo że ich problemy są po części także naszymi problemami. Przyjrzyjmy się uważnie temu, co sprawiło, że stali się legalistami, a być może dowiemy się, jak uchronić się od błędów, które oni popełnili.

Kim byli faryzeusze? Uchodzili za konserwatystów, nieugiętych legalistów i tradycjonalistów. Zadawali

sobie wiele trudu, by zachować kościelne standardy i doktryny, by dopełnić świętych obrzędów. Stali się ofiarą powszechnego w tamtych czasach poglądu, że zbawienia można dostąpić przez uczynki. Innymi słowy, próbowali zbawić samych siebie dzięki własnym wysiłkom. Faryzeusze byli liczniejszą grupą od saduceuszy. Skrupulatne przestrzeganie zasad kościelnych dawało im poczucie pełnego bezpieczeństwa.

Drugie wpływowe stronnictwo religijne stanowili saduceusze. Za dni Chrystusa uchodzili za liberałów. Jednak i o nich można powiedzieć, iż byli legalistami, gdyż podobnie jak faryzeusze błędnie uważali, że zbawienie można osiągnąć przez uczynki. Swoje poczucie bezpieczeństwa wiązali z odrzuceniem zasad kościelnych.

Saduceusze, w przeciwieństwie do faryzeuszy otwarcie popierających doktryny religijne oparte na ludzkiej tradycji, twierdzili, iż wyznają zasadę *sola scriptura*. Ale w rzeczywistości nadali religii swoją własną formę. Chociaż podkreślali znaczenie Pisma Świętego, traktowali je jednak wybiórczo, pomijając część zawartych w nim nauk.

Spośród saduceuszy wywodzili się najwięksi wrogowie Jezusa. Byli mniejszą liczebnie grupą od faryzeuszy, niemniej jednak bardziej wpływową. To spośród nich wybierano zazwyczaj najwyższego kapłana; to również oni kontrolowali Sanhedryn.

Z badań przeprowadzonych wśród chrześcijan wynika, że zdecydowana większość duchownych oraz ogół wyznawców wciąż stara się zasłużyć na niebo dzięki własnym wysiłkom. Przekonanie to przeniknęło do wszystkich Kościołów chrześcijańskich. Przez długi czas był to wyróżnik jedynie wielkich światowych reli-

gii, ale obecnie ten błędny pogląd upowszechnił się w całym chrześcijaństwie. Każdy Kościół zмага się z chorobą znaną jako zbawienie z uczynków. Zdecydowana większość tzw. nominalnych chrześcijan nie ma czasu dla Boga i nie czyta Jego Słowa. Każdy, kto żyje z dala od Boga, a mimo to ufa, że dostanie się do nieba, wierzy w zbawienie z uczynków. Mamy więc podstawy, by sądzić, że najprawdopodobniej faryzeusze i saduceusze są wśród nas.

Oprócz nadziei, że na zbawienie można sobie zasłużyć, te dwa stronnictwa łączyło coś jeszcze. Mianowicie, fałszywie interpretowali Biblię. Błędnie rozumieli cel i funkcję prawa. Fałszywie odczytywali proroctwa, w tym proroctwo o przyjsciu Mesjasza. Niewłaściwie rozumieli dobrą nowinę o Królestwie Bożym. Mimo to byli wielkimi ekspertami w dziedzinie usprawiedliwienia! Tak więc podczas obchodów różnych świąt i religijnych uroczystości krew lała się strumieniami. Codziennie uczestniczyli w składaniu ofiar z baranków, jagniąt i gołębi. Ale mimo iż faryzeusze i saduceusze mieli wspólne przekonania i interesy, nie było między nimi zgody. Nieustannie się kłócili i zawzięcie sprzecali. Często przyczyną ich sporów była kwestia zmartwychwstania.

Kiedy Jezus się z nimi spotykał, traktował ich bardzo surowo, zgodnie z wyznawanymi przez nich zasadami. Zbawiciel nie tylko odnosił się z dezaprobatą do ich rytuałów i ceremonii, ale nawet ich obrażał! Trudno zrozumieć, że potrafił wypowiadać do nich ostre słowa, mając łzy w oczach; ale wiemy, że tak właśnie było. W Ewangelii Łukasza 12,1 określił faryzeuszy i saduceuszy mianem hipokrytów. Umieli przybierać na pokaz piękne maski.

W dwudziestym trzecim rozdziale Ewangelii Mateusza Jezus użył ciekawej ilustracji, żeby zobrazować, na czym polegał ich problem: przyrównał ich do kielicha i misy, które są czyste z zewnątrz, natomiast w środku pełne obrzydliwości.

Chrystus użył innej, jeszcze bardziej skrajnej ilustracji, kiedy wspomniął o grobowcach budowanych prorokom (zob. Mt 23,27-30). Jezus rzekł: „Biada wam uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy, że podobni jesteście do grobów pobielanych, które na zewnątrz wyglądają pięknie, ale wewnątrz są pełne trupich kości i wszelakiej nieczystości. Tak i wy wydajecie się ludziom sprawiedliwi, wewnątrz zaś jesteście pełni obłudy i bezprawia. Biada wam uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy, że budujecie grobowce prorokom i zdobicie nagrobki sprawiedliwych. I mówicie: Gdybyśmy żyli za dni ojców naszych, nie byłibyśmy ich współnikami w przelaniu krwi proroków”.

Najwyraźniej padli ofiarą powierzchownej pobożności. Wiedzieli, jak wydeptać ścieżkę, prowadzącą z domu do synagogi lub kościoła. Ale Zbawiciel przestrzegł, że jeśli nasza pobożność nie będzie większa niż pobożność faryzeuszy, nie dostaniemy się do Królestwa Niebios. Owi obłudnicy oddawali dziesięcinę, rygorystycznie przestrzegali sabatu, byli zwolennikami reformy zdrowia. Nie zjedliby nawet komara w zupie. Starali się czynić wiele dobrego, tak żeby inni to zauważyli. Potrafili wspaniale pościć i długo się modlić. Byli drobiazgowi w kwestii rytualnych obmywań, a także uwielbiali zajmować pierwsze miejsca w synagodze. Na innych ludzi nałożyli jednak ciężar nie do udźwignięcia. Jezus powiedział do nich, że kiedy pozyskują współwyznawcę,

to czynią go „synem piekła dwakroć gorszym niż oni sami” (zob. Mt 23,15).

Jezus rzekł: „A gdy ja będę wywyższony ponad ziemię, wszystkich do siebie pociągnę” (J 12,32). Natomiast przywódcy religijni powiedzieli: „Kiedy wszystkich do siebie pociągniemy, wtedy będziemy wywyższeni”. I tego wyłącznie pragnęli.

Dostojnicy kościołni nie znosili Jezusa z wielu powodów. Przede wszystkim za to, że przebywał On z grzesznikami, czego oni nie czynili. Grzesznicy byli bez szans w konfrontacji z faryzeuszami i saduceuszami. Wyłączano ich z synagogi, kamienowano i nie kontaktowano się z nimi. Chrystus jednak chętnie przebywał w towarzystwie grzeszników i to jest dzisiaj dobrą nowiną dla nas wszystkich. Czyż nie cieszy się z tego, że Jezus spotykał się z grzesznikami?

Faryzeusze i saduceusze nie darzyli Zbawiciela sympatią również dlatego, iż według nich łamał szabat. Uważali Go za liberała, gdyż nie postępował zgodnie z ich wierzeniami i zasadami. Nie podobało im się to, że Jezus wystąpił ze swymi naukami bez ich zgody. Nie podobało im się także, że nie okazywał szacunku wysokiemu urzędowi, który sprawowali. Denerwowały ich określenia, których używał w stosunku do nich; oburzali się również na to, że nie szczędził im słów krytyki. Nie podobały im się cuda, które czynił Mistrz z Nazaretu oraz to, że otaczały Go tłumy głośno sławiące Jego imię. Powiedzieli: „Oto cały świat poszedł za nim” (J 12,19). Obawiali się utraty autorytetu i władzy nad ludem.

Po prostu byli zazdrośni i żądni władzy. Toteż kiedy w wyniku ich głębokiej nienawiści Chrystus zawisł na krzyżu, przechodzili obok, kiwając gło-

wami. Szydzili: „Innych ratował, a siebie samego ocalić nie może”. Faryzeusze i saduceusze przez całe życie usiłowali uratować siebie, zatem policzkiem był dla nich fakt, iż Jezus nie przyszedł na świat, by ocalić własne życie. Zbawiciel mógł siebie oszczędzić, ale przecież nie to było celem Jego przyjścia na ziemię. Przyszedł, by uratować innych ludzi, wśród nich ciebie i mnie. Jeżeli chciał pozostać wierny swemu posłannictwu, nie mógł postąpić inaczej.

Kwintesencję nauk Jezusa stanowiło całkowite poddanie się, a to szczególnie obrażało przywódców religijnych. Sądziło, iż są na tyle mocni, by móc samodzielnie kierować własnym życiem. Szczególnie raziło to saduceuszy, którzy nie wierzyli, że Bóg troszczy się o swoje dzieci. Toteż z wrogością odnosili się do nauk i przykładu Jezusa Chrystusa. Apostoł Paweł w I Liście do Koryntian 2,7-8 napisał na temat tych dostojników Kościoła następujące słowa: „Ale głosimy mądrość Bożą tajemną, zakrytą, którą Bóg przed wiekami przeznaczył ku chwale naszej, której żaden z władców tego świata nie poznał, bo gdyby poznali, nie byłiby Pana chwały ukrzyżowali”. Podobną myśl wyraził Jezus w modlitwie, gdy został ukrzyżowany: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią” (Łk 23,34). Najwidoczniej ludzie ci nie zdawali sobie sprawy z tego, co czynią, bo gdyby wiedzieli, że Jezus jest Synem Bożym, nie ukrzyżowaliby Go.

Dlaczego jednak nie wiedzieli? Rozpoznali Go pasterze, mędrcy ze Wschodu i skromni rybacy. Nawet demony wiedziały, z kim mają do czynienia, gdyż mówiły: „Wiemy, kim jesteś”. Ale przywódcy religijni nie rozpoznali Go. Prawdopodobnie kluczem do rozwiązania tego problemu są słowa Chrystusa,

zapisane w jedenastym rozdziale Ewangelii Mateusza i dwudziestym piątym wierszu: „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom”.

Jezus był wdzięczny, że zostało to zakryte przed mądrymi. Dlaczego? A cóż takiego mądrzy uczynili z prawdą? Przypisali chwałę sobie samym. Wszyscy mamy naturalną skłonność do przedstawiania siebie w jak najlepszym świetle, choćby z najbliższego powodu.

Czy Bóg usiadł na swym tronie i rzekł: „Objaw prawdę rybakom i pasterzom, ale zakryj ją przed faryzeuszami”? Czy są inne fragmenty Pisma Świętego, które rzucają więcej światła na tę sprawę? Przeczytajmy trzynasty rozdział Ewangelii Mateusza, zaczynając od dziewiątego wiersza: „Kto ma uszy, niechaj słucha. I przystąpiwszy uczniowie, rzekli mu: Dlaczego mówisz do nich w podobieństwach? A on odpowiadając rzekł: Wam dane jest znać tajemnice Królestwa Niebios, ale tamtym nie jest dane”. Nie zatrzymujemy się. Czytajmy dalej! „Albowiem temu kto ma, będzie dane i obfitować będzie; a temu kto nie ma i to, co ma będzie odjęte. Dlatego w podobieństwach do nich mówię, bo patrząc, nie widzą i słuchając, nie słyszą ani nie rozumieją. I spełnia się na nich prorocтво Izajasza, które powiada: Będziecie stale słuchać, a nie będziecie rozumieli; będziecie ustawicznie patrzeć, a nie ujrzycie. Albowiem otępiało serce tego ludu, uszu ich dotknęła głuchota, oczy swe przymrużyli, żeby oczami nie widzieli ani uszami nie słyszeli, i sercem nie rozumieli, i nie nawrócili się, a Ja żebym ich nie uleczył. Ale błogosławione oczy wasze, że widzą i uszy wasze, że słyszą” (w. 9-16). Oni zamknęli swoje oczy i uszy.

Tak więc Bóg nie decyduje arbitralnie, kto może zrozumieć, a kto nie. Wynika to z różnic między ludźmi. Promienie słoneczne w jednakowy sposób padają na воск i na glinę. Pod wpływem słońca воск mięknie, natomiast glina twardnieje. Dlaczego? Przecież otacza je ten sam blask słońca.

Dlaczego więc przywódcy Kościoła zamknęli oczy, a ich uszy dotknęła głuchota? Bo pojawienie się Jezusa zagroziło ich pełnej splendoru pozycji. Zbawiciel skierował swoje poselstwo do wieśniaków i pogan, natomiast zupełnie pominął przywódców Kościoła. Zrozumieli, że podważyło to ich autorytet.

Po drugie, mocno zraniona została ich narodowa duma. Oczekiwali Mesjasza, który miał stanąć na czele armii i zniszczyć potęgę Rzymu. Zamiast tego Chrystus przyszedł na świat jako skromny człowiek, który obdarowywał swymi prezentami zarówno Żydów, jak i pogan.

Po trzecie, urażona została ich osobista duma. Do Jezusa łąnęli grzesznicy, cudzołożnice i złodzieje, a On ich akceptował. Jak to możliwe, skoro faryzeusze w Jego obecności odczuwali jedynie niepokój? Toteż zamknęli oczy i zwrócili się przeciwko Niemu. Podobnie jak mieszkańcy Nazaretu, którzy odrzucili Jezusa, tak i przywódcy religijni byli zbyt dumni, by przyznać się do błędu.

Pomimo różnic faryzeusze i saduceusze w końcu doszli do porozumienia. Gdyby zamiast tego wyrzekli się swojej dumy i wspólnie zaakceptowali Jezusa, wtedy mogliby się zjednoczyć, bowiem gdy tylko jesteśmy blisko Chrystusa, innych ludzi traktujemy z miłością. Niestety, oni jednomyślnie odrzucili Jezusa i wystąpili przeciwko Niemu podczas

przesłuchania u Piłata, w dużym stopniu przyczyniając się do ukrzyżowania Mistrza.

A może, spoglądając na przywódców religijnych z czasów Chrystusa, dostrzegacie w nich samych siebie? Czy oznacza to, że jesteście w beznadziejnej sytuacji? Nie, mam dla was dobrą nowinę — możecie przyłączyć się do tych, którzy stanowili wyjątek od reguły.

Nikodem — faryzeusz i członek Sanhedrynu — był zbyt dumny, by spotkać się z Jezusem za dnia, starał się więc zobaczyć z Nim pod osłoną ciemności. Mimo to zaakceptował potrzebę nowonarodzenia, na które Jezus zwrócił szczególną uwagę. Nikodem stał się Jego wiernym naśladowcą.

Szymon, faryzeusz, długo szedł krętymi drogami, zanim przyjął Jezusa. I nawet po uzdrowieniu z trądu, nie odwrócił się od grzechu; ale nadszedł czas, kiedy Chrystus trafił do tego grzesznego serca podczas urządnego przez niego przyjęcia; wtedy faryzeusz poddał się miłości, która zawsze go strzegła.

W dwunastym rozdziale Ewangelii Jana, w czterdziestym drugim i czterdziestym trzecim wierszu czytamy, że „wielu” uwierzyło w Niego. Wielu ludzi doświadczyło bezowocności własnych dążeń do samozbawienia i zdecydowało się przyjąć zbawienie oferowane przez Jezusa Chrystusa. Uświadomili sobie, iż nie są w stanie oczyścić świątyni swego serca, więc zaprosili Go, by przyszedł do nich nie tylko z jednodzienną wizytą, ale żeby był z nimi codziennie.

Jezus proponuje każdemu to samo zbawienie i my również możemy dokonać wyboru i zdecydować się na życiodajny związek z Tym, który pozwoli nam lepiej poznać się jako Zbawca, Pan i Przyjaciół.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ PROSTYCH LUDZI

Czy znana jest wam z czasów dzieciństwa zabawa z zawiązanymi oczami? Jeżeli tak, to czy bawiąc się w nią, weszliście w ubraniu do wody, taplaliście się w kałuży błota lub skakaliście z dachu garażu? Zapewne mieliście wówczas poważne wątpliwości, czy uczestniczenie w niej ma sens.

Owce nieustannie podążają śladem przywódcy stada. W pewnej nowojorskiej rzeźni był specjalnie wytresowany na przywódcę koziół. Nazywał się Judasz. Gdy tylko brama się otwierała, przechodził przez nią i wszystkie owce ślepo szły za nim. W ostatniej chwili koziół wymykał się małym, bocznym wyjściem, natomiast owce podążały ku swemu przeznaczeniu, podczas gdy Judasz wracał po następne stado.

Jedna z najkrótszych przypowieści Jezusa dotyczy duchowego niebezpieczeństwa związanego ze ślepym naśladowaniem przywódców. Jest ona zapisana w Ewangelii Łukasza w szóstym rozdziale, w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym wierszu:

„Opowiedział im też podobieństwo: Czy może ślepy ślepego prowadzić? Czy obaj nie wpadną do dołu? Nie masz ucznia nad mistrza, ale należycie będzie przygotowany każdy, gdy będzie jak jego mistrz”.

Jezus często porównywał swych naśladowców do owiec, zachęcając, by podążali za Nim, dokądkolwiek ich powiedzie. W czasach Chrystusa ogół ludzi uznawał za przywódców faryzeuszy i saduceuszy. Jak już zauważyliśmy w poprzednim rozdziale, faryzeusze byli tradycjonalistami i konserwatystami, saduceusze zaś liberałami. Ludzie wywodzący się z obu tych stronnictw charakteryzowali się legalizmem, ponieważ wierzyli, że zbawienie można osiągnąć przez uczynki. Naród żydowski stanął murem za swymi przywódcami, ślepymi przywódcami, wspólnie z nimi zwracając się przeciwko Jezusowi.

Tragiczne jest to, że ludzie rzadko kiedy przerażają swych kaznodziejów, nauczycieli i przywódców. Naród żydowski przestał istnieć, ponieważ błędnie, ślepo wierzył swym przywódcom. Izraelici nie studiowali samodzielnie Pisma Świętego i nie starali się sami zbadać, po której stronie leży prawda. Czy dzisiaj nie zagraża nam podobne niebezpieczeństwo? Jakże łatwo przychodzi ludziom ślepo kogoś naśladować, zamiast osobiście badać, dociekać prawdy i modlić się, aby rozpoznać głos prawdziwego Pasterza.

Kolejny, podobny fragment, mówiący o bezmyślnym podążaniu za przywódcami, znajduje się w piętnastym rozdziale Ewangelii Mateusza, w wierszach trzynastym i czternastym. Jezus wypowiedział właśnie ostre słowa nagany pod adresem ówczesnych dostojników Kościoła. Uczniowie zapytali, Go, czy zdaje sobie

sprawę, że obraził faryzeuszy? „A On odpowiadając rzekł: Wszelka roślina, której nie zasadził Ojciec niebieski, wykorzeniona zostanie. Zostawcie ich. Ślepi są przewodnikami ślepych, a jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną”. Najwyraźniej nawet w religijnych społecznościach są przywódcy, których nie „zasadził” Bóg. Nie wszyscy, mówiący o przynależności do ciała Chrystusowego, przedstawiają drzewa sprawiedliwości. I nadejdzie czas, kiedy wszyscy nieposadzeni przez Pana zostaną wykorzenieni.

Chciałbym jednak wyraźnie zaznaczyć, że kiedy rozważamy kwestię naśladowania przywódców w dzisiejszych czasach, nie chodzi wyłącznie o tych, którzy posiadają najwyższe stanowiska w hierarchii. W praktyce bowiem podążanie za przywódcami nie ogranicza się wyłącznie do ślepego posłuszeństwa wobec nich. Ludzie sami wybierają swoich liderów, w zależności od tego, jakie stawiają sobie cele w życiu. Zawsze można znaleźć przewodnika, który poprowadzi nas tam, dokąd będziemy chcieli. Bóg ustanowił przywódców po to, żeby kierowali Jego dziełem i Kościołem. Władza ma specyficzny cel i funkcję. Istota sprawy polega na niebezpieczeństwie ślepego naśladowania kogokolwiek.

Na podstawie badań stwierdzono, że zaledwie jeden na czterech lub pięciu wierzących poświęca pewien czas na modlitwę i czytanie Słowa Bożego. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to współcześnie mamy wielu ślepych naśladowców Chrystusa. Nie traktujmy więc tego, o czym tu mówimy, jedynie jako faktu historycznego, ale postarajmy się wyciągnąć z przypowieści Jezusa właściwe wnioski, które mogą być ostrzeżeniem dla wszystkich ludzi.

Jezus powiedział, że w pewnych okolicznościach, idąc za przywódcami, możemy wpaść do dołu. Ale dlaczego? Gdzie leży przyczyna tego, że prosty lud, który szedł za Jezusem, tak łatwo dał się oszukać?

Po pierwsze, ludzie ci tak naprawdę nie nawrócili się do Boga. Nigdy nie doświadczyli nadnaturalnej mocy Ducha Świętego, który przemienia ludzkie serca. Nie zmienił się ich stosunek do Boga. Nigdy nie otworzyli się na przyjęcie nowego umysłu, którym Pan chciał ich obdarzyć, by mogli Go poznać. Niewiele czasu poświęcali na osobiste poszukiwanie Boga; nie byli tym zainteresowani. W czasach Chrystusa Żydzi przywiązywali do swych nadgarstków i głowy fragmenty Pisma, które przecież powinni mieć zapisane głęboko w sercu. Cała ich religijna działalność koncentrowała się na nich samych. Lubowali się w powierzchownej religijności, którą cechowała jedynie pusta forma i ceremonia, nieestety, ich serc nie dotknęła Boża łaska.

Owi ludzie nie żyli w łączności z Bogiem. Błędnie wierzyli, iż na zbawienie trzeba zapracować; natomiast przestrzeganie zasad wiary oraz praktyki religijne miały zagwarantować im doczesne błogosławieństwa. Podobało im się, że gdy ofiarują Bogu dziesięcinę, ich pól nie dotknie plaga szarańczy. Interesowali się niebem i życiem wiecznym. Byli pod wielkim wrażeniem cudownego rozmnożenia chleba i ryb, a także tego, jak Jezus słowem uzdrowił z wszelkich chorób. Ale w szóstym rozdziale Ewangelii Jana czytamy, że kiedy Chrystus powiedział im o chlebie żywota, byli zakłopotani i mówili: „Twarda to mowa, któż jej słuchać może?” (w. 6).

Większość ludzi zaakceptowała Go tylko częściowo. Chętnie uznali Go za wielkiego Nauczyciela. Skwapliwie przyznali, iż jest wielkim cudotwórcą. Byli gotowi uwierzyć, że to prorok. Ale odmówili uznania Go za Zbawiciela, Pana i Boga. Ta częściowa akceptacja doprowadziła do całkowitego odrzucenia Chrystusa.

Ludzie ci mieli również opory, by zaakceptować ducha proroctwa. Możemy przeczytać o tym w szesnastym rozdziale Ewangelii Łukasza, wiersze dwiętnasty do trzydziestego pierwszego, gdzie Jezus, wykorzystując dobrze wszystkim znaną rzymską bajkę, naucza kilku ważnych prawd. Nie ma tam jednak nauki o stanie człowieka po śmierci! Jak zapewne pamiętacie, bogacz cierpiał męki i poprosił o posłanie żebraka Łazarza do jego pięciu braci z ostrzeżeniem, żeby nie popełnili tego samego błędu, który on uczynił.

„Rzekł mu Abraham: Mają Mojżesza i proroków, niechże ich słuchają. A on rzekł: Nie, ojcze Abrahamie, ale jeśli kto z umarłych pójdzie do nich, upamiętają się. I odrzekł mu: Jeśli Mojżesza nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, też nie uwierzą” (w. 29-31).

Niedługo potem zmartwychwstał ktoś, kto także miał na imię Łazarz! Ale Żydzi nie tylko odmówili uznania tego za prawdę, lecz spiskowali, żeby zgładzić zarówno Jezusa, jak i wzbudzonego z martwych Łazarza. Tak więc ci ludzie nie przyjmowali nauk Mojżesza i proroków.

W dwudziestym trzecim rozdziale Ewangelii Mateusza czytamy, że przyozdabiali oni grobowce proroków, chociaż dosłownie i w przenośni byli dziećmi

tych, którzy zabijali owych mężów Bożych. Apostoł Paweł wspomniał o tym, gdy przemawiał: „Mężowie bracia, synowie rodu Abrahamowego (...). Mieszkańcy Jerozolimy bowiem i ich przełożeni nie poznali go i przez skazanie go wypełnili słowa proroków czytane w każdy szabat” (Dz 13,26-27). Tak więc w każdy szabat Żydzi czytali pisma proroków, ale nie przyjęli Go, gdyż nie rozumieli tego, co było czytane.

Możemy zacytować również słowa Szczepana: „Ludzie twardego karku i opornych serc i uszu, wy zawsze sprzeciwiacie się Duchowi Świętemu, jak ojcowie wasi, tak i wy! Któregoż z proroków nie prześladowali ojcowie wasi? Pozabijali też tych, którzy przepowiedzieli przyjście Sprawiedliwego, którego wy teraz staliście się zdrajcami i mordercami. Wy, którzy otrzymaliście zakon, jak wam go dali aniołowie, a nie przestrzegaliście go” (Dz 7,51-53).

Po tych słowach ludzie, którzy otaczali przemawiającego Szczepana, rzucili się na niego, wypchnęli go poza miasto i zaczęli kamienować; zaś pewien młodzieniec, imieniem Szaweł, stał i pilnował ich ubrań. Ale Szczepan, patrząc w niebo, ujrzał Jezusa stojącego po prawicy Ojca. Zawsze lubiłem czytać ten fragment. Jezus nie siedział bezczynnie, ale stał u boku Szczepana, który umierał, modląc się za wrogów. Ów męczennik powiedział całą prawdę o tych ludziach. Chociaż wyznali swymi ustami, że akceptują i szanują proroków, w rzeczywistości odrzucili Bożych posłańców i Tego, którego przepowiedzieli.

Świadczy o tym również ich stosunek do Jana Chrzciciela. W dwudziestym pierwszym rozdziale Ewangelii Mateusza czytamy, że przywódcy religijni byli zakłopotani zadaniem przez Jezusa pytaniem,

kim jest dla nich Jan Chrzciciel. Nie odpowiedzieli na nie. Prosty lud wierzył, że jest on prorokiem. Faryzeusze zaś nie mieli zaufania do Jana Chrzciciela, który nazwał Jezusa Pomazańcem Bożym. W ich oczach Jezus nie był Mesjaszem.

Czy kiedykolwiek powiedział, że przywódcy są niepotrzebni? Nie. Istnienie przewodników duchowych ma swoje uzasadnienie. Ale czy przywódcy powinni głosić ludziom prawdy, domagając się, by nie podlegały one żadnemu osądowi ze strony narodu? Nigdy! Głównym zadaniem przywódców, nauczycieli i kaznodziejów jest zachęcenie i dopingowanie, by ludzie poznali prawdę w oparciu o własne przemyślenia. Jest takie stare przysłowie: można dać człowiekowi rybę i wyżywić go przez jeden dzień; można też nauczyć go łowić i zapewnić mu wyżywienie na całe życie. Chociaż to nie wegetariańska ilustracja, niemniej jednak jest bardzo wymowna!

Czy Paweł głosił prawdę? Z całą pewnością. Czy Jezus mówił prawdę? Tak. Czy uczniowie nauczali prawdy? Tak. Berejczycy również badali, czy tak się rzeczy mają i zostali pochwaleni za swą postawę. Jezus nigdy nie prosił o to, by ślepo iść za Nim. Nie nalegał, żeby bezkrytycznie Mu wierzyć. Ale rzeczywiście zachęcał do tego, by Go naśladować.

Większość prostego ludu nie przyjęła Chrystusa. Jednak były wyjątki i te wyjątki stanowią dla nas zachętę i dodają nam odwagi.

Nie wszyscy spośród wielkiej rzeszy ludzi zwrócili się przeciwko Zbawicielowi. Nie wszyscy, którzy chwalili Go pieśnią w czasie Jego triumfalnego wjazdu do Jerozolimy, wołali kilka dni później: „Ukrzyżuj Go!”. Kobieta przy studni szukała cze-

goś, co ukołoby jej rozdarte serce. Uznała Jezusa za Mesjasza i przekonała o tym całe miasteczko. Łazarz, prosty człowiek, niczym nie wyróżniający się w synagodze, od pierwszego spotkania pokochał Jezusa dozgonną miłością. Złoczyńca na krzyżu zwrócił swoją twarz w stronę Zbawiciela, pokonując ból i wstyd i rzekł: „Panie, pamiętaj o mnie!”. Cieszę się, że były takie wyjątki, a wy?

Możemy przyłączyć się do tych nielicznych, którzy byli wierni Jezusowi; podobnie jak to uczynili apostołowie pod koniec pewnej rozmowy z Nim. Czytamy o niej w szóstym rozdziale Ewangelii Jana. Kiedy tłumy opuściły Jezusa, zapytał: „Czy wy też zamierzacie odejść?” (zob. w. 67).

Czy nie chcielibyście odpowiedzieć tak jak uczniowie: „Dokąd pójdziemy? Wierzymy, że ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego” (zob. w. 68). Wiara w Jezusa nie cieszyła się wtedy popularnością. Pójście za Nim nie było w modzie. Często nie jest to popularne i dzisiaj. Chciałbym zachęcić was do podwójnego doświadczenia, które uchroni was od ślepego naśladownictwa i zwiedzenia. Po pierwsze, utrzymujcie osobisty kontakt z Jezusem. Po drugie, ważne jest inteligentne zrozumienie prawdy, na której ten związek się opiera. Te dwie rzeczy są jednakowo istotne. Żadnej z nich nie można pominąć. Możliwość samodzielnego poznawania Jezusa i zgłębiania prawdy o Nim przez czytanie Jego Słowa oraz modlitwę. Powinniśmy traktować dzisiaj jako przywilej. My także możemy szukać Boga, aż przyjdzie po raz drugi.

JAK JEZUS TRAKTOWAŁ LUDZI SPOZA KOŚCIOŁA

Właśnie zaczęły się wiosenne ferie; studenci college'u udawali się do swych domów. Kiedy jechaliśmy samochodem, zauważyliśmy stojącą na poboczu drogi tablicę z napisem: „Proszę nie czytać tego, co jest po drugiej stronie!”. Nikt się nie odezwał, ale gdy tylko minęliśmy tablicę, wszyscy obrócili głowy, by zobaczyć, co znajduje się z drugiej strony! Okazuje się, że antyreklama może być bardzo skuteczną formą reklamy. Możliwe, iż Bóg, by dotrzeć do ludzi, od czasu do czasu wykorzystuje taki sposób zwiastowania Ewangelii.

Kiedy misja Jezusa na tym świecie zbliżała się do końca, a było to tuż przed Jego śmiercią, sprawy nie wyglądały najlepiej. Wokół Niego panowała nieprzyjazna atmosfera. Chrystus spotykał się z powszechną niechęcią. Wiele osób, wśród nich ci, którzy zostali przez Niego uzdrowieni, zapomnieli o Nim. Na dziesięciu trędowatych dziewięciu przyjęło od Niego fizyczne uzdrowienie, odrzucając dar duchowego odrodzenia.

Jeszcze przez pewien czas wokół Chrystusa gromadziły się rzesze ludzi, którzy pragnęli Go usłyszeć i zobaczyć. Ale gdy Jego pobyt na ziemi się kończył, wydawało się, że misja Jezusa poniosła porażkę. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Najwidoczniej udało Mu się wykonać tylko niewielką część z tego, co zamierzał.

Jednakże pomimo, zdawałoby się, nieuniknionej porażki, Zbawiciel, będąc na Górze Oliwnej, spojrział na sąsiedni szczyt i rzekł: „Ewangelia, której nauczam, będzie głoszona po całym świecie”. Gdybyśmy przyjrżeli się temu, ilu naśladowców miał wtedy Jezus, nie było nawet cienia szansy, by te słowa się ziściły. Miał u swego boku zaledwie kilku uczniów i garstkę niewiast — Jego naśladowczyń — lecz gdy nadszedł krytyczny moment, uczniowie od razu pozostawili Go na łasce losu, uciekając w popłochu. Dla wszystkich było oczywiste, że nigdy nie zostanie zaakceptowany przez przywódców Kościoła żydowskiego. Wydawało się, iż poniósł klęskę.

Jednak my, żyjący obecnie, doczekaliśmy wypełnienia się Jego przepowiedni. Istnieją realne szanse, że wkrótce wszystko się wypełni. Dzisiaj Kościół również spotyka się z ostrą krytyką. Ale również to Bóg może obrócić na swoją korzyść, tak jak zamienił w zwycięstwo, zdawałoby się nieuchronną, porażkę misji Jezusa.

Zła prasa mimo wszystko przynosi rozgłos. Kiedy ktoś mówi, żeby nie czytać tego, co jest napisane na odwrocie tablicy, sprawia, że odnosi to odwrotny skutek. Wielce pouczające są wydarzenia tuż przed ukrzyżowaniem Jezusa, kiedy wszystko wskazywało na to, że Jego misja zakończyła się fiaskiem.

Przeczytajmy fragment Ewangelii Jana; mówi on o pewnym epizodzie, który dodał Jezusowi otuchy.

„A byli niektórzy Grecy wśród tych, którzy pielgrzymowali do Jerozolimy, aby się modlić w święto” (J 12,20). Chrystus po raz ostatni w swym życiu brał udział w uroczystości religijnej; znajdował się na dziedzińcu świątyni i już odwracał się, by opuścić na zawsze to miejsce, gdy (owi Grecy) „podeszli do Filipa, który był z Betsaidy w Galilei, z prośbą, mówiąc: Panie, chcemy Jezusa widzieć. Poszedł Filip i powiedział Andrzejowi, Andrzej zaś i Filip powiedzieli Jezusowi. A Jezus odpowiedział im, mówiąc: Nadeszła godzina, aby został uwielbiony Syn Człowieczy” (zob. J 12,21-23).

Wtedy Zbawiciel wypowiada pozornie mało istotne słowa, ale gdy się nad nimi głębiej zastanowimy, nabierają one wielkiego znaczenia. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli ziarnko pszeniczne, które wpadło do ziemi, nie obumrze, pojedynczym ziarnem zostaje; lecz jeśli obumrze, obfity owoc wydaje” (w. 24). Jezus mówi tutaj, że będzie uwielbiony, zanim jednak to się stanie, najpierw umrze. Następnie zwraca się do swych naśladowców tymi słowy: „Kto miłuje życie swoje, utraci je, a kto nienawidzi życia swego na tym świecie, zachowa je ku żywotowi wiecznemu. Jeśli kto chce mi służyć, niech idzie za mną [Iść za Jezusem? Dokąd? Na krzyż!?!], a gdzie ja jestem, tam i sługa mój będzie; jeśli kto mnie służy, uczci go Ojciec mój” (w. 26-27). Jezus wskazuje na to, iż musimy wpierv udać się za Nim aż na krzyż; dopiero potem możemy zostać uwielbieni.

„Teraz dusza moja jest zatrwożona, i cóż powiem? Ojcze, wybaw mnie teraz od tej godziny?”. Z tych słów wynika, że gdyby Jezus mógł wybierać, wolałby uniknąć śmierci na krzyżu. Następnie jednak podaje się woli swego Ojca i zgadza się na realizację

planu zbawienia. „Przecież dlatego przyszedłem na tę godzinę. Ojcze, uwielbij imię swoje!”.

„Odezwał się więc głos z nieba: I uwielbiłem, i jeszcze uwielbię. Lud więc, który stał i słyszał, mówił, że zagrzmiało, inni mówili: Anioł do niego przemówił. Jezus, odpowiadając, rzekł: Nie gwoli mnie odezwał się ten głos, ale gwoli was” (w. 27-30). Bóg dał ludziom jeszcze jedną, ostatnią szansę, aby Go posłuchali. Ale zauważmy, że dla niektórych głos Boży był tylko grzmotem pioruna. „Teraz odbywa się sąd nad tym światem; teraz władca tego świata będzie wyrzucony. A gdy Ja będę wywyższony ponad ziemię, wszystkich do siebie pociągnę” (w. 31-32).

Zapewne Jezus był podbudowany tym, iż chcieli zobaczyć Go ludzie ze Wschodu. To jeden z nielicznych krzepiących momentów w ostatnich dniach Jego życia, kiedy padał już na Niego cień krzyża. Przepowiedział owo wydarzenie, choć nie podobało się to Jego uczniom. Pojawienie się Greków było wypełnieniem proroctwa, o którym czytamy w Mt 8,11-12. Jezus właśnie uzdrowił sługę centuriona i pochwalił go za wielką wiarę, następnie oświadczył: „A powiadam wam, że wielu przybędzie ze wschodu i zachodu, i zasiądą do stołu z Abrahamem i z Izaakiem, i z Jakubem w Królestwie Niebios. Synowie Królestwa zaś będą wyrzuceni do ciemności na zewnątrz; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”.

Jezus przewidział, że zostanie odrzucony przez Jego własny naród, a miejsce Żydów zajmą ludzie ze wschodu i zachodu (ewangelista Łukasz dodaje, że również z północy i południa) i zasiądą do stołu razem z Abrahamem i z Izaakiem, i z Jakubem.

Kiedy urodził się Chrystus, ze Wschodu przybyli mędrcy i zapytali: „Gdzie jest ten nowo narodzony król żydowski? Widzieliśmy bowiem gwiazdę jego na Wschodzie i przyszliśmy oddać mu pokłon” (Mt 2,2). Teraz zaś przy końcu Jego służby przybyła grupa ludzi ze Wschodu, co stanowiło dalszy ciąg wypełniania się tego proroctwa.

Czy zwróciłeś uwagę na zachowanie Filipa i Andrzeja? Byli obdarzeni wielką wrażliwością na niedolę ludzkich serc poszukujących Boga, oni też pierwsi zauważyli Greków, którzy przybyli na dziedziniec świątyni. Cofając się trochę w czasie możemy przypomnieć sobie, że to właśnie Andrzej przyprowadził Piotra, swego brata, do Jezusa. Wyobraźmy sobie, jak później Andrzej siedzi w ostatnim rzędzie w synagodze, słuchając kazania Piotra i jak mówi do siebie tymi słowami: „Wspaniale się stało, że przyprowadziłem Piotra do Jezusa”. Andrzej zawsze wolał pozostawać w cieniu. Nie był zbyt rozmowny, nie lubił też publicznie występować. Jednak często przyprowadzał ludzi do Chrystusa, choćby chłopca z pięcioma bochenkami chleba i dwiema rybkami.

Filip, jeden z pierwszych uczniów, przywiódł do Jezusa Natanaela, zapraszając go słowami: „Pójdź i zobacz”. Tak więc ponownie widzimy Natanaela i Andrzeja wskazujących ludziom Zbawiciela.

Grecy kierowali się właściwymi motywami, mówiąc: „Chcemy zobaczyć Jezusa”. Nie pytali o rezultaty wyprawy misyjnej, na którą wyruszyło siedemdziesięciu uczniów. Nie prosili o oprowadzenie ich po świątyni lub rozwikłanie pewnych teologicznych kwestii. Grecy chcieli po prostu zobaczyć Jezusa i ich prośba została spełniona.

Ten fragment Pisma zawiera dobrze znaną wypowiedź Chrystusa: „A gdy Ja będę wywyższony (...), wszystkich do siebie pociągnę”. Wywyższenie Jezusa przyciąga do Niego ludzi. Wiszący na krzyżu Zbawiciel był dla ludzi, którzy żyli w tamtych czasach, kamieniem obrazy. Podobnie jest również dzisiaj. Wczesny Kościół chrześcijański otaczała powszechna niechęć. Można powiedzieć, że cieszył się złą sławą. Ówczesni bogowie bowiem różnili się bardzo od Tego, którego dobrze charakteryzuje zdanie: „Innych ratował, a siebie samego wyratować nie może”. Paweł w Liście do Koryntian napisał, że dla niektórych mowa o krzyżu jest głupstwem. Jednak w tym właśnie kryje się moc Boża.

Zatem owi Grecy przeszli od razu do sedna sprawy. Poprosili o pokazanie im Jezusa, a następnie przyjęli Go jako Mesjasza; było to wtedy, kiedy inni zamknęli drzwi swego serca dla zbawienia.

Mówi się, że w czasach ostatecznych, tuż przed przyjściem Jezusa, Kościół przeżyje tak poważny kryzys, iż jego upadek będzie niemal przesądzony. Ale do upadku nie dojdzie. Raz jeszcze stanie się inaczej. Nastąpi zadziwiająca wymiana — odejdą ci, którzy byli w Kościele, a na ich miejsce przyjdą ludzie z północy i południa, ze wschodu i zachodu. Zauważcie, że Abraham, Izaak i Jakub nie opuszczają Kościoła, by przyłączyć się do tłumów przybywających z różnych stron świata. Stanie się odwrotnie. Niechaj nie umknie to naszej uwadze.

W końcowych dniach historii świata w Kościele, żywym ciele Chrystusa, nastąpi wielki exodus ludzi, którzy odejdą z tych samych powodów, co religijny naród żydowski w czasach apostołskich. Powodem

tego będzie odrzucenie Chrystusa. Na ich miejsce przyjdzie nowa, wielka rzesza wiernych.

Dlaczego tak się stanie? Odpowiedź na to pytanie daje nam apostoł Paweł: „Cóż tedy powiemy? To, że poganie, którzy nie dążyli do sprawiedliwości, sprawiedliwości dostąpili, sprawiedliwości, która jest z wiary; A Izrael, który dążył do sprawiedliwości z zakonu, do sprawiedliwości z zakonu nie doszedł. Dlaczego? Dlatego, że było to nie z wiary, lecz jakby z uczynków; potknęli się oni o kamień obrazy, jak napisano: Oto kładę na Syjonie Kamień obrazy i skałę zgorszenia, a kto w niego uwierzy, nie będzie zawstydzony. Bracia! Pragnienie serca mego i modlitwa zanoszona do Boga zmierzają do zbawienia Izraela. Daję im bowiem świadectwo, że mają gorliwość dla Boga, ale gorliwość nierozsądną; bo nie znając usprawiedliwienia, które pochodzi od Boga, a własne usiłując ustanowić, nie podporządkowali się usprawiedliwieniu Bożemu” (zob. Rz 9,30-33; 10,1-3).

Żydzi nie udali się na Golgotę i nie przyłączyli do Jezusa, który nie chciał ratować siebie samego. Nie uświadomili sobie, że nie są w stanie zbawić samych siebie. Apostoł Paweł kończy swoje rozważania tymi słowami: „Albowiem końcem zakonu jest Chrystus, aby był usprawiedliwiony każdy, kto wierzy” (w. 4).

Kwestia dotycząca zbawienia z wiary i zbawienia z uczynków stanowi linię graniczną, oddzielającą tych, którzy wraz z Grekami przyjęli Jezusa od tych, którzy razem z przywódcami religijnymi Go odrzucili. Ludzie przypisujący sobie chwałę i domagający się uznania za swój trud uważają Chrystusa za kamień obrazy i skałę zgorszenia. Z tego powodu w dniach ostatecznych legaliści odrzucą Zbawiciela.

Możemy zawołać za apostołem Pawłem: „Bracia! Pragnienie serca mego i modlitwa zanoszona do Boga zmierzają do zbawienia” — ilu ludzi? Wszystkich. Wcale nie chcemy, by tysiące wyznawców opuściły nasz Kościół i pograżyły się w ciemności. Bożym pragnieniem jest, by wszyscy Jego wierni pozostali w Kościele. Każdy z nas może zasiąść do stołu wraz z Abrahamem, Izaakiem i Jakubem oraz z niezliczoną rzeszą zbawionych z każdego narodu, rodzaju, języka i plemienia. Jedynym sposobem, aby uniknąć zgorszenia i nie potknąć się o kamień obrazy jest dobrowolne rzucenie się na Skałę i rozbicie o nią własnego „ja”. Możemy nawiązać codzienną łączność z Chrystusem, naśladować Go, przyznając w ten sposób, że sami nie jesteśmy w stanie się zbawić. Możemy również pójść za przykładem Greków, którzy usilnie starali się zobaczyć z Jezusem.

*My chcemy ujrzeć Jezusa, gdyż coraz dłuższy cień
Na nasze życie pada, w noc zamieniając dzień.
My chcemy ujrzeć Jezusa, otrzymać wiary zdroj,
Kiedy ostatnia walka zakończy śmiertelny bój.
My chcemy ujrzeć Jezusa, to wszystko i więcej nic.
Ten widok nas rozraduje i nabierzemy sił.
My chcemy ujrzeć Jezusa, w Nim przebaczenia moc.
Wnet Zmartwychwstały powróci zakończyć
śmiertelną noc.*

Anna B. Warner (tłumaczenie Renata Piotrowska)

JAK JEZUS ZOSTAŁ POTRAKTOWANY W OGRODZIE GETSEMANE

W dzieciństwie — mieszkałem wtedy w stanie Michigan — bardzo często jeździłem na łyżwach. Pamiętam, jak kiedyś, gdy miałem dwanaście lat, mój tata, który był pastorem, miał udać się na drugi koniec miasta, żeby udzielić komuś lekcji biblijnej. Wiedziałem, że będzie przejeżdżał niedaleko parku, w którym panowały idealne warunki do jazdy na łyżwach. Przekonałem go, żeby zabrał mnie ze sobą i zostawił przy zamrożonym jeziorze.

Tego wieczoru studium lekcji biblijnej musiało chyba dotyczyć tysiąclecia! Taty długo nie było. Park zamknięto, wszyscy poszli do domu, a ja zostałem sam. Żeby nie zmarznąć, starałem się przez cały czas jeździć na łyżwach. Kiedy tak czekałem, czas włókł się w nieskończoność, więc pomyślałem, że tata najwidoczniej o mnie zapomniał i sam wrócił do domu. Przemarzłem na kość, tak że nie byłem w stanie utrzymać się na łyżwach, dlatego schroniłem się przed lodowatym wiatrem za drzewem.

Być może myślicie, że dwunastoletni chłopcy nie płaczą. Jednak mylicie się! Miotaly mną wtedy różnego rodzaju przykre uczucia: złość, żal i smutek. Kiedy niemal umierałem z rozpacz, nagle z ulgą zauważyłem światła samochodu mojego taty. Nigdy nie byłem bardziej szczęśliwy! Przygotowując się do napisania tego rozdziału, przypominałem sobie przeżywane wówczas uczucie rozżalenia, kiedy sądziłem, że ojciec o mnie zapomni.

Rozpoczynając od tego rozdziału, zamiast zastanawiać się nad tym, jak Jezus traktował ludzi, zajmujemy się tym, jak inni traktowali Jezusa. Do tej pory spotkaliśmy już wiele grup, z którymi Zbawiciel miał styczność, pracując i wędrując; stwierdziliśmy, że traktował wszystkich z wielką miłością i życzliwością. Teraz, kiedy będziemy studiowali ostatnie dramatyczne sceny Jego życia, zwrócimy szczególną uwagę na to, jak inni postrzegali Jego życie i misję.

Zacznijmy od tego, jak potraktowano Jezusa w ogrodzie Getsemane: „Wtedy idzie z nimi do ogrodu, zwanego Getsemane, i mówi do uczniów: Siadźcie tu, a ja tymczasem odejdę tam i będę się modlił. I wziął ze sobą Piotra oraz dwóch synów Zebedeuszowych, i począł się smucić i trwożyć. Wtedy mówi do nich: Smężna jest dusza moja aż do śmierci”. My prawdopodobnie powiedzielibyśmy: „Czuję, że niedługo umrę”.

„Pozostańcie tu i czuwajcie ze mną. Potem postąpił nieco dalej, upadł na oblicze swoje, modlił się i mówił: Ojcze mój, jeśli można, niech mnie ten kielich minie; wszakże nie jako Ja chcę, ale jako Ty” (Mt 26,36-39).

Cofnijmy się do wydarzeń poprzedzających modlitwę Zbawiciela w ogrodzie. Jezus wraz ze swymi uczniami uczestniczył w wieczerzy paschalnej w pokoju na górnym piętrze. Udzielił wówczas uczniom kilku budujących lekcji; mówił na temat krzewu winnego i jego latorośli, następnie żarliwie się modlił za swymi naśladowcami, wstawiał się u Ojca nie tylko za uczniami (było ich wówczas jedenastu), ale i za wszystkimi chrześcijanami żyjącymi w tym i w następnych stuleciach.

Potem wszyscy opuścili górne piętro i poszli do ogrodu, gdzie Jezus lubił się modlić i przebywać w duchowej łączności ze swym Ojcem. Kiedy tam szli, Chrystus odczuwał na swym sercu wielki ciężar. Uczniowie zauważyli, że szedł przygarbiony z powodu przygniatającego Go smutku. Z ogromnym trudem stawiał kroki, tak jakby ktoś położył Mu na ramiona ciężkie brzemie. Zbliżyli się więc do Niego, bardzo pragnąc Go wesprzeć, mimo że nie rozumieli, dlaczego Jego duszę ogarnął smutek.

Kiedy znaleźli się u wejścia do ogrodu, większość uczniów tam została; Jezus wybrał trzech, którzy mieli Mu towarzyszyć w dalszej drodze. Następnie udał się z nimi do swego ulubionego zakątka, gdzie zazwyczaj się modlił; natomiast trzech uczniów czekał na Niego w pewnej odległości. Mamy na pewno w pamięci obrazy przedstawiające tę scenę: Jezus na kolanach, modlący się w ogrodzie. Tej nocy serce Zbawiciela napełniał bezgraniczny smutek, gdyż miał pełną świadomość tego, że wkrótce umrze.

Rozważając doświadczenie Jezusa w ogrodzie Getsemane, zwróćmy uwagę na to, że w tym drama-

tycznym momencie obok Niego znalazły się osoby, które różnie się do Niego odnosiły.

Najpierw zastanowimy się, jak potraktował swego Syna Bóg Ojciec.

Jeszcze przed założeniem świata został powzięty przez Syna Bożego i Boga Ojca plan zbawienia; Jezus, pomimo ogromu cierpienia, był zdecydowany na to, by zgodnie z tym planem oddać swe życie za upadły świat. Po ludzku rzecz ujmując, Zbawiciel przeląkł się na myśl o oczekującej Go straszliwej próbie. Nadszedł czas, kiedy Bóg „dotknął Go karą za winę nas wszystkich”, jak czytamy w Piśmie Świętym. Był to przytłaczający ciężar.

Nigdy nie pojmimy, jak wielkie to było brzemię, ale pomyślmy przez chwilę o naszych porażkach, o tym, jak się czuliśmy, kiedy popełniliśmy w naszym życiu straszliwy błąd lub dopuściliśmy się jakiegoś ciężkiego grzechu; nasze sumienie obarczone było wówczas nieznośnym poczuciem winy, od której za sprawą szatana trudno było nam się uwolnić. Pomyślcie o tych momentach w waszym życiu, kiedy znajdowaliście się daleko od Boga, samotni, z wyrzutami sumienia oraz okropnym cierpieniem z powodu popełnionego grzechu. Wielokrotnie rozmawiałem z ludźmi, którzy w tym grzesznym świecie upadali pod wielkim brzemieniem winy, zbierając owoce własnego stylu życia; myśleli wówczas o samobójstwie. Uważali, że nie ma sensu żyć z ciągłym poczuciem winy i wiążącym się z tym bólem, który trudno było wytrzymać. Przypomnijcie sobie, co przeżywaliście, kiedy ciężko zgrzeszyliście i dodajcie do tego wszystkie podobne przeżycia, których doświadczyliście w całym swoim życiu. Potem pomnóżcie

to przez liczbę mieszkańców świata ze wszystkimi ich winami. Następnie pomnożcie to jeszcze przez liczbę ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na naszej planecie. Wtedy zobaczycie obraz wielkiego brzemienia winy, które zostało złożone na barki Chrystusa. Dlatego właśnie nie jesteśmy nawet w stanie wyobrazić sobie ani zrozumieć, jak wielki ciężar Bóg złożył na Jego ramiona dla naszego dobra.

A najbardziej zdumiewające jest to, że Jezus był włączony w realizację planu zbawienia w tym samym stopniu, co Jego Ojciec. Bóg nie dotknął Go karą za winę nas wszystkich wbrew Jego woli. Biblia mówi, że Ojciec i Syn współpracowali w dziele pojednania świata. I chociaż Bóg kocha grzeszników i zawsze ich kochał, to jednak nienawidzi grzechu. Jezus również nienawidził grzechu. Wielki ciężar win świata zabijał Go. Mimo to Zbawiciel chętnie podjął się tego zadania, aby Bóg mógł okazać swą sprawiedliwość, a jednocześnie usprawiedliwić tych, którzy uwierzą w Jezusa i przyjmą Jego ofiarę złożoną za grzechy całego świata.

Podczas owej ciężkiej próby w Getsemane, kiedy Jezus właściwie już umarł, zanim skonał fizycznie na krzyżu, między Nim a Bogiem powstała przepaść. Taka właśnie przepaść dzieli Boga od grzesznika, który uporczywie buntuje się przeciwko Stwórcy i ostatecznie ginie na wieki.

Czasem wydaje się nam, że Jezus w ogrodzie Getsemane był zdany wyłącznie na własne siły. Zauważmy, że przez całe swoje życie Zbawiciel żył w ścisłej łączności z Bogiem i w zupełnej zależności od Niego. Ale w tym momencie — tj. podczas duchowych zmagających się w Getsemane — mogłoby się wyda-

wać, że Ojciec Go opuścił, pozostawił samemu sobie, tak iż Jezus musiał samotnie walczyć z grzechem. Powinniśmy jednak zastanowić się nad tym, czy jest to prawdą, bowiem pomimo tego, że Zbawiciel czuł się opuszczony przez Boga, w rzeczywistości było inaczej. Mesjasz przewidział, że będzie przeżywał wielki smutek, gdy powiedział: „Oto nadchodzi godzina, owszem już nadeszła, że się rozproszycie, każdy do swoich, i mnie samego zostawicie; lecz nie jestem sam, bo Ojciec jest ze mną”. Jezus wiedział, że będzie z Nim Ojciec, choć miał również świadomość tego, że kiedy nadejdzie kryzys, poczuje się porzucony i pozostawiony na łasce losu. W czasie tej godziny próby opanowało Go dojmujące uczucie osamotnienia, był więc przekonany, iż tak jest naprawdę. Zbawiciel sądził, że Bóg pogniewał się na Niego z powodu grzechu, który przyjął na siebie, i że została zburzona harmonia panująca do tej pory między Nim a Ojcem. Jednak Bóg był tam, gdy „w Chrystusie świat ze sobą pojednał” (zob. 2 Kor 5,19).

Jezus bał się. Lękał się, że nie da rady przez to wszystko przejść, czuł się bowiem opuszczony przez Ojca i zdany tylko na siebie. Wiedział, iż jest tylko człowiekiem. Moglibyśmy wiele dyskutować, spekulując na temat ludzkiej natury Chrystusa. Wiemy na pewno, że Jezus znał dobrze z własnego doświadczenia słabość ludzkiej natury po czterech tysiącach lat istnienia grzechu na ziemi. Nie był tak silny jak Adam; dobrze też wiedział, dlaczego pierwszy człowiek nie okazał wierności Bogu podczas próby w ogrodzie Eden. Czuł się zapomniany, osamotniony i dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że padł na ziemię, modląc się, by przepaść dzieląca Go od Ojca

nie powiększała się. Cierpiał z tego powodu wielki ból. Nic więc dziwnego, że głośno wołał, aż na Jego czole pojawiły się krople potu i krwi. Nie dziwi też, że śmiertelny bój, który Jezus toczył w Getsemane, można opisać tylko za pomocą takich słów jak: rozpacz, przerażenie i ciemność. Żaden ludzki smutek nie równa się temu, jaki wtedy przeżywał Jezus. Było to trudne doświadczenie nie tylko dla Chrystusa, ale również dla Jego Ojca.

Przyjrzyjmy się teraz innej osobie, która towarzyszyła Jezusowi w tej godzinie próby — Jego przeciwnikowi — szatanowi. Jaką taktyką posłużył się diabeł podczas owej godziny ciemności? Nadszedł dla niego wielki moment, gdyż oto ważyły się losy świata. Nieprzyjaciel nieustannie starał się pokonać Jezusa i jeszcze zanim Zbawiciel się narodził, czynił wszystko, by nie powiódł się plan zbawienia ludzkości. Kiedy Jezus był małym dzieciąciem, szatan, starając się Go zgładzić, sprawił, że w Betlejem zostały zabite wszystkie niemowlęta płci męskiej.

Nieprzyjaciel spotkał Jezusa na pustyni i nieomal udało mu się Go pokonać. Gdy jednak Zbawiciel był kuszony ponad swe siły, przybył anioł i wzmocnił Go. Szatan i jego pomocnicy wielokrotnie rzucał Chrystusowi wyzwanie, krzycząc: „Wiemy, kim jesteś, Świętym Bożym”.

Teraz diabeł zwodził Jezusa myślą, że Ojciec już na zawsze Go opuścił. Jezus powiedział: „Mój Ojciec nie zostawił mnie samego”, na co szatan replikował: „Ależ tak, zostawił Cię. Jesteś sam, zdany na własne siły. Rozłąka, którą odczuwasz, jest rzeczywistością. Już nigdy nie zobaczysz Boga. Między Tobą a Ojcem otworzyła się wieczna przepaść, więc chyba nie ma

sensu, żebyś cierpiał? Twoim celem jest zbawienie świata, ale świat Cię odrzucił. Nawet twój własny naród ma zamiar Cię zniszczyć. Twój uczeń okazał się zdrajcą i wydał Cię wrogom. Dlaczego się nie poddasz? Czemu nie wracasz do Ojca, zamiast marnować tutaj czas?”. Jezus był kuszony, by powrócić do Ojca. Rzecz zdumiewająca! Naszą największą pokusą jest, aby żyć bez Boga. Zaś największą pokusą Zbawiciela było to, aby wrócić do Boga. Dwie diametralnie różne pokusy, prawda? Szatan czynił wszystko, żeby Jezus zostawił świat swemu losowi. Dobrze wiedział, że w tym momencie waży się jego przyszłość.

Teraz skierujmy naszą uwagę na aniołów. Jak oni zachowali się tej nocy, kiedy Jezus toczył duchową walkę w Getsemane? Milczeli. Aniołowie wiedzieli, że nadszedł przełomowy moment w dziejach całego wszechświata. Wszelkie śpiewy w niebie zamilkły. Umilkły również harfy. Aniołowie z zapartym tchem oglądali rozgrywający się na ziemi dramat. Wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra. Istoty, których całe życie jest wypełnione radością służenia, były mocno przejęte tym, co działo się tej nocy. Możemy sobie wyobrazić, że aniołowie chodzili wówczas niespokojnie tam i z powrotem, co chwilę spoglądając na tę dramatyczną scenę, a następnie wstrząśnięci odwracali oczy. Pragnęli na swych prędkich skrzydłach pośpieszyć Jezusowi z pomocą, ale nie mogli tego uczynić.

Spoglądali raz na Jezusa modlącego się w ogrodzie, raz na Ojca. Chcieli tylko tego, aby Bóg skinął głową, zgadzając się, by mogli wesprzeć Syna Bożego. W końcu musieli odwrócić wzrok od tej wstrząsającej sceny.

Planem zbawienia zainteresowane są nie tylko istoty ludzkie żyjące na ziemi. Istnieją również bezgrzeszne światy, które też żywo się nim interesują. Czy wierzycie w istnienie pozaziemskich cywilizacji? Czytaliście może niedawno dwunasty rozdział Objawienia Jana? „Dlatego weselcie się, niebiosy i wy, którzy w nich mieszkacie” (w. 12). Biblia zawiera wiele wzmianek świadczących o tym, że istnieją pozaziemskie światy zamieszkane przez inteligentne istoty. Moglibyśmy wdać się w spekulacje, jak dużą wiedzą dysponują one na temat tego, co się dzieje na naszej ziemi. Być może wiedzą tyle samo co aniołowie. Jednak wątpię, żeby informacje docierały do nich za pośrednictwem telewizyjnego serwisu informacyjnego prowadzonego przez powszechnie lubianego dziennikarza z „Wiadomości”. Wiemy, że kiedy świat został stworzony, „gwiazdy poranne chórem radośnie się odezwały i okrzyk wydali wszyscy synowie Boży” (zob. Hi 38,4.7). Wszystkie stworzenia we wszechświecie były świadome tego, co się tutaj dzieje; zadawały sobie również pytanie, jaki będzie wynik konfliktu, który zaistniał między Bogiem i szatanem.

Kiedy Lucyfer zbuntował się, oskarżył Boga po pierwsze o to, że niemożliwe jest zachowanie Bożego prawa, po drugie o to, że jeśli ktoś dopuści się grzechu, nigdy już nie uzyska przebaczenia. Gdyby jego oskarżenia okazały się słuszne, cały wszechświat znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie. Dlatego właśnie aniołowie oraz bezgrzeszne światy patrzyły w osłupieniu, śledząc z zapartym tchem scenę rozgrywającą się w Getsemane.

Teraz zastanówmy się nad tym, jaka była tej nocy postawa uczniów. Wiemy, że posnęli. Czy nie krytykowaliście ich za to? Jezus oczekiwał od nich współczucia; był człowiekiem, a jedną z potrzeb ludzkiego serca jest potrzeba serdeczności. Kiedy cierpimy, pragniemy usłyszeć słowa pocieszenia: „Jestem z tobą — jestem tutaj”.

Jezus z trudem wstał z miejsca, na którym przebywał w odosobnieniu i podszedł do uczniów, by usłyszeć słowa zachęty; ale wszyscy spali. Zbudzeni, wpatrywali się w Niego zaspanymi oczami, nie byli jednak w stanie nawet wstać i odpowiedzieć na Jego wezwanie o pomoc. I wkrótce znowu zasnęli.

Zwróćmy uwagę, jakim mianem Pismo Święte określa ten rodzaj snu, który zmorzył uczniów. Powodem senności może być zmęczenie np. całodzienną wędrówką po zakurzonych drogach lub znużenie. Ale jeszcze inny powód wymienia ewangelista Łukasz: „A wstawszy od modlitwy, przyszedł do uczniów i zastał ich śpiących ze smutku”.

Czym jest sen spowodowany smutkiem? Psychologowie, którzy badają ludzki umysł, stwierdzili, że część ludzi zapada w sen, szukając w nim ucieczki od ponurej rozpacz. Wielu z nas doświadczyło tego w mniejszym lub większym stopniu w swoim życiu. Uczniów zmorzył właśnie taki sen. Wiedzieli, że Jezus cierpi. Słyszeli, jak mówił o czekającej Go straszliwej próbie i śmierci. Nie chcieli tego słuchać, ale byli przerażeni. Do ich uszu dolatywały westchnienia i okrzyki Jezusa wywołane cierpieniem. Boleli nad tym, że ich Nauczyciel znosi męki, dlatego sen, który ich ogarnął, przyniósł im ulgę. Uczniowie posnęli z rozpacz.

Jezus wiedział o tym i my również winniśmy mieć to w pamięci. Zbawiciel rozumiał, że duch jest ochotny, ale ciało słabe. Uczniowie nie zasnęli dlatego, iż zapomnieli o Jezusie; oni zapadli w sen, tak bardzo bowiem się z Nim identyfikowali, że nie mogli znieść presji przygniatającego smutku. Dlatego posnęli.

Tak więc po raz trzeci Jezus powrócił samotnie na miejsce modlitwy i jeszcze raz wołał: „Ojcze, jeśli chcesz; wszakże nie moja, lecz twoja wola niech się stanie”.

Jedynie przyroda towarzyszyła Jezusowi w tej godzinie próby. Drzewa oliwne płakały padającymi na ziemię kroplami, cyprysy pochylały się ze współczuciem, kiedy ciszę nocy przerywały wołania cierpiącego Zbawiciela, który najwidoczniej pozostawiony samemu sobie i zapomniany przez niebo i ziemię zmagał się do ostatniej chwili, tocząc duchową walkę. Żadne ludzkie cierpienie nie może równać się temu, które Zbawiciel przeżywał w Getsemane. Nikt nigdy nie był w takiej sytuacji. Nikt nigdy nie wymagał od człowieka, by udźwignął ciężar winy całego świata. Gdy Jezus toczył duchową walkę, płacząc i modląc się, w końcu bliski śmierci upadł na ziemię. Wtedy obraz owej sceny uległ gwałtownej zmianie.

Gabriel — który zajął miejsce Lucyfera i zawsze przebywał w obecności Bożej — chodził niespokojnie tam i z powrotem, spoglądając na Ojca, to znów na scenę w ogrodzie; wreszcie Bóg skinął głową. Archanioł wyruszył z nadnaturalną prędkością — prędkością umożliwiającą pokonywanie w mgnieniu oka kosmicznych odległości — i przemierzył

dystans dwustu trylionów kilometrów, a może i więcej, w niespełna trzy minuty! W niebie dało się słyszeć wołanie wszystkich zastępów anielskich: „Gabrielu, pośpiesz się!”.

Archanioł pędzi i staje u boku Jezusa. Podnosi Jego opartą na ziemi głowę i trzyma w swych ramionach. Wskazuje na niebo, skąd przybył. Przypomina, że Ojciec miłuje Chrystusa. Mówi Mu o ludziach, którzy zostaną zbawieni w wyniku Jego ofiary. Zapewnia, iż Ojciec jest większy i potężniejszy od szatana, i że królestwa tego świata przejdą pod panowanie świętych Najwyższego. Pociesza Go, że Jego okrutne cierpienie przyniesie owoc, wieczny owoc; mianowicie dzięki temu ludzie — istoty zamieszkujące ziemię — będą na wieki żyć z Nim w niebie.

I Jezus wstaje. Opuszcza ogród z podniesioną głową, aby stawić czoła pragnącemu Go pojąć motłochowi. Z królewską godnością przyjmuje wszystkie cierpienia aż do momentu śmierci na krzyżu. Kiedy gawieź poszturchuje i popycha Go w czasie drogi na Golgotę, idzie pełen nadludzkiej mocy Ducha. Z wiarą przyjmuje miłość i moc swego Ojca. I mimo że czuje się osamotniony, gdy wisząc na krzyżu, woła: „Czemuś mnie opuścił?” — to jednak nie jest sam. Zanim umrze, powie jeszcze takie słowa: „Ojcze, w ręce twoje polecam ducha mego” (zob. Łk 23,46).

Czy cieszyć się, słysząc tę historię? Czy jesteście szczęśliwi, wiedząc, w jakim celu Jezus to wszystko wycierpiał? Czy radujecie się, że dzięki Niemu możecie dostać wiecznego zbawienia? Podziękujmy Mu raz jeszcze za Jego zadziwiającą miłość.

JAK PIOTR TRAKTOWAŁ JEZUSA

Często rodzice stoją przed dylematem: czy stosować wobec swych dzieci kary cielesne, czy też nie. Wyniki badań wykazują, że nie to jest najważniejsze, jakie kary wymierzamy naszym dzieciom; przede wszystkim muszą one wiedzieć, że rodzice, chociaż narzucają im pewne rygory, jednak kochają je i bezwarunkowo akceptują. Mimo wszystko mój tata często sprawiał mi lanie!

Gdy byłem mały, ojciec wymierzał mi niezbyt bolesne kary. Pewnego razu dostałem takie właśnie lekkie lanie; poszedłem do mojej mamy i śmiejąc się, powiedziałem: „Prawie wcale nie bolało!”. Popełniłem wówczas jeden z największych błędów w moim życiu. Mama powiedziała o tym tacie i od tej pory tata wymierzał karę z największą surowością. Jednak najboleśniej wspominam karę, kiedy tata nie dotknął mnie nawet palcem.

Byliśmy wówczas na wakacjach na wyspie położonej na samym środku jeziora Gull Lake w stanie Michigan. Mój brat i ja nieustannie się ze sobą biliśmy. Była to nasza ulubiona rozrywka. Zadrę-

czaliśmy tym nie tylko samych siebie, ale również naszych rodziców. Ojciec próbował wszystkiego, by nas powstrzymać od bójek: nie dostawaliśmy deserów, kładliśmy się spać bez kolacji, zostawaliśmy za karę w domku wczasowym, gdzie mieszkaliśmy, a także dostawaliśmy lanie. Niestety, nic nie pomagało. W końcu tata wezwał nas do siebie na dywanik, starając się wymyślić jakąś inną karę. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. I wtedy zauważyłem łzy w jego oczach. Łzy w oczach mojego potężnie zbudowanego taty były dla mnie czymś zupełnie nieoczekiwanym. Zdałem sobie sprawę, że zadałem ból i rozczarowałem osobę, która mnie kocha. Nie mogłem tego znieść. Przyjąłbym każdy inny rodzaj kary, tylko nie to. Było to najboleśniej lanie, jakie kiedykolwiek dostałem!

Podobne doświadczenie spotkało Piotra. W poprzednim rozdziale zatrzymaliśmy naszą uwagę na scenie rozgrywającej się w ogrodzie Getsemane. Opisana ona została w dwudziestym szóstym rozdziale Ewangelii Mateusza. Kiedy anioł powrócił do nieba, Jezus powiedział uczniom, żeby nie przerywali snu i odpoczynku. „I gdy On jeszcze mówił, oto nadszedł Judasz, jeden z dwunastu, a wraz z nim liczny tłum z mieczami i z kijami, od arcykapłanów i od starszych ludu” (w. 47). „W tej godzinie rzekł Jezus do tłumy: Jak na zbójcę wyszliście z mieczami i kijami, aby mnie pochwycić, codziennie siadywałem w świątyni i nauczałem, a nie pojмалиście mnie. Ale to wszystko się stało, aby się wypełniły Pisma prorockie. Wtedy wszyscy uczniowie go opuścili i uciekli” (w. 55-56).

Apostołowie nagle się obudzili. Nadszedł Judasz na czele licznej tłumy, przystąpił do Jezusa i poca-

łował Go. Był to znak, że jest to Ten, którego mieli pojmać. Wtedy Piotr dobył miecza i uciął ucho słudze arcykapłana. Kiedy Jezus przemówił w krótkich słowach do tłumu, z nieba zstąpił anioł i stanął pomiędzy Zbawicielem i tłumem; wydawało się, że ich plan się nie powiódł. Jednak anioł oddalił się i uczniowie, którzy przysięgali, że nigdy nie opuszczą Jezusa, uciekli w popłochu pod osłoną ciemności. Nawet Piotr, człowiek porywczy, który powiedział: „Inni być może od Ciebie odejdą, ale ja nigdy Cię nie opuszczę”, nawet ten Piotr opuścił Mistrza i uciekł.

I wtedy tłum zaprowadził Jezusa do pałacu Kajfasza. Tam próbowali znaleźć świadków, którzy wnieśliby przeciwko Niemu fałszywe oskarżenie. Na tej podstawie można było skazać Go na śmierć. Jednak fałszywi świadkowie spierali się ze sobą, a ich zeznania były sprzeczne.

Jezus stał cierpliwie, nie wypowiedział ani słowa, aż Kajfasz nie wytrzymał nerwowo i nakazał Jezusowi, by pod przysięgą powiedział, czy jest Chrystusem, Synem Boga.

Wtedy Jezus przerwał milczenie i rzekł: „Tyś powiedział”. Wszyscy nadstawili uszu, słuchając wypowiedzi Zbawiciela złożonej pod przysięgą i w obecności najwyższego kapłana; wszystkie oczy wpatrywały się w twarz jaśniejącą niebiańskim blaskiem. Jezus dodał jeszcze coś, o co Kajfasz Go nie prosił, mianowicie: „Odtąd ujrzycie Syna Człowieczego siedzącego na prawicy mocy Bożej i przychodzącego na obłokach nieba” (w. 64).

Na to Kajfasz zawołał: „Zbłąźnił!”. I wtedy wzburzony tłum zaczął Go popychać, poszturchiwać i pluć na Niego. Była to dla Zbawiciela okropna

noc, spędzona na dziedzińcu pałacu arcykapłana. Gawiedź nakryła Jego głowę strzępem starego materiału, biła Go i wołała: „Prorokuj nam, kto cię uderzył?”. Tłum pluł też na Jego oblicze. Jezus był traktowany w sposób okrutny i niesprawiedliwy, tak jak pospolity przestępca.

Ale tej nocy Jezus doznał jeszcze większego cierpienia. Zatrzymajmy naszą uwagę nad źródłem owej udręki, albowiem spowodowana ona była postawą jednego z Jego najbliższych uczniów.

Kiedy tłum pochwyił Zbawiciela, wszyscy uczniowie w popłochu ratowali się ucieczką, ale Piotr i Jan zawrócili i zachowując bezpieczny dystans, podążyli za tłumem, który zaprowadził Mistrza na dziedziniec pałacu Kajfasza. Nie chcieli pozostawić Jezusa na łasce losu.

Gdy weszli na dziedziniec, Jan znalazł miejsce jak najbliżej Jezusa, lecz Piotr wtopił się w tłum siedzący przy ognisku, żeby się ogrzać, ponieważ noc była chłodna. Próbował udawać kogoś, kim nie był. To znana historia. Obawiam się jednak, że czasem nie zwracamy należytej uwagi na etapy, które doprowadziły Piotra do zaparcia się Pana.

Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że znajduje się na złej drodze, była jego rozmowa z Jezusem, który starał się ostrzec swego ucznia przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Mistrz powiedział wtedy: „Wy wszyscy zgorszycie się ze mnie tej nocy; napisano bowiem: Uderzę pasterza i będą rozproszone owce trzody”.

Lecz Piotr odpowiedział: „Choćby się wszyscy zgorszyli z ciebie, ja się nigdy nie zgorszę”.

Jezus rzekł: „Jeszcze tej nocy, zanim kur zapieje, trzykroć się mnie zaprzesz”.

Jednak Piotr uparcie obstawał przy swoim: „Choćbym miał z tobą umrzeć, nie zaprę się ciebie” (Mt 26,31-34).

Piotr był pewny siebie. Uważał, że jest mocnym człowiekiem, obdarzonym niezłomnym i silnym charakterem, którego stać na podjęcie właściwej decyzji i wytrwanie w niej aż do końca. Sądził, że jest człowiekiem zdyscyplinowanym, na którego Jezus może liczyć. Nie uświadamiał sobie grożącego mu niebezpieczeństwa. Piotr zrobił wtedy pierwszy krok w kierunku zaparcia się swego Pana.

Drugi etap miał miejsce wtedy, gdy apostoł zamiast czuwać, modląc się, uległ pokusie snu. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, kiedy uważamy, że niczego nam nie brakuje. Bo czy odczuwamy potrzebę modlitwy, jeśli uważamy, że damy sobie radę o własnych siłach? Czy potrzebujemy więcej mocy, kiedy myślimy, że właściwie to już jesteśmy mocni?

Trzecim etapem w procesie, który ostatecznie doprowadził Piotra do upadku, była jego próba samotnej walki ze złem. Myślał, że jest dość mocny, by o własnych siłach pokonać nieprzyjaciela. Chciał powstrzymać wielki tłum jedynie przy pomocy swego miecza. Ale wszystko, co zyskał, to jedno ucięte ucho, które w dodatku nie należało do szczególnie ważnej osoby — do sługi najwyższego kapłana.

Kiedy odłączymy się od źródła siły, zapominamy, że sami nie jesteśmy w stanie walczyć z nieprzyjacielem. Zapominamy również, że tylko Bóg może toczyć za nas bój z wrogiem. Jedynie On jest dostatecznie mocny. Gdy sami próbujemy wymachi-

wać mieczem, nieuniknionym tego rezultatem jest porażka i wstyd.

Kolejny, czwarty krok w stronę upadku Piotr zrobił w czasie dramatycznych wydarzeń w ogrodzie Getsemane, kiedy próbował ocalić własną skórę. Apostoł daremnie oczekiwał, iż Jezus poprze jego próbę stoczenia walki z wrogim tłumem. Tak się jednak nie stało, więc Piotr uciekł. Uważał, że jeżeli Pan nie jest na tyle potężny, by go ocalić, sam musi zatroszczyć się o ratunek. I uciekł, znikając w ciemnościach.

Piąty etap na drodze do upadku polegał na tym, że Piotr szedł za pojmanym przez służby arcykapłana Jezusem w pewnej odległości. Ostatnie wydarzenia zachwiały jego zaufanie do Mistrza. Ale nie potrafił całkowicie i na zawsze odejść od Chrystusa. Tym razem jednak był ostrożny, wołał nie ryzykować, za bardzo zbliżając się do Niego. Celowo szedł za swym Nauczycielem, zachowując bezpieczną odległość.

Tamta noc była chłodna. Noc jest zawsze chłodna, gdy znajdujemy się daleko od Chrystusa. Czy już to odkryliście? Szósty krok, przybliżający do zguby, Piotr zrobił wtedy, kiedy szukał ciepła i wygody tam, gdzie świat dostarcza nam tych rzeczy. Próbując się rozgrzać, przyłączył się do siedzących przy ognisku. Stwierdził jednak, że czuje się wśród tych ludzi dziwnie obco, dlatego popełnił kolejny, siódmy błąd: usiłował uchodzić za kogoś, kim nie był. Postąpił tak, gdyż różnił się od otaczającego go tłumu. Kiedy motłoch naśmiewał się z maltretowanego Jezusa, Piotrowi nie było do śmiechu. Ale płacz by go wydał i wszyscy rozpoznaliby w nim jednego z uczniów Jezusa; dlatego zmuszał się, by śmiać się

głośniej niż pozostali. Kiedy inni przeklinali i żartowali, on w głębi ducha czuł się poirytowany. Grał rolę człowieka, który był mu obcy i nie robił tego dobrze, gdyż szybko został rozpoznany.

I tak apostoł Piotr doszedł do ostatniego etapu — całkowicie zaparł się Chrystusa. Kiedy ktoś odłącza się od Jezusa, znajdując ciepło i akceptację w świecie, na pytanie: „Czy nie jesteś jednym z nich?” odpowiada: „Nie, naprawdę nie!”. Taka jest nieunikniona kolej rzeczy. Gdy wytworzyła się nieprzyjazna atmosfera i wszyscy wskazywali palcem na Piotra, on zaczął się zaklinać i przekonywać, oraz przysięgać, że nic nie łączy go z tym Człowiekiem.

W tym momencie Jezus odwrócił się i spojrzał na ucznia; właśnie był popychany i poszturchiwany przez tłum, na głowie miał cierniową koronę, a z Jego skroni i czoła wolno spływały krople krwi. Istnieją różne spojrzenia, ale kiedy Jezus popatrzył na Piotra, w Jego wzroku nie było gniewu i wzdargy, tylko litość i miłość dla biednego ucznia.

Prawdopodobnie nie rozpoznalibyśmy wtedy w Piotrze ucznia Jezusa. Przecież nawet on sam wyparł się Mistrza. Lecz Chrystus wciąż uważał go za swego ucznia. Apostoł nie był hipokrytą. Myślał poważnie, kiedy zapewniał, że jest gotów umrzeć za Jezusa. Ale był słabym człowiekiem i niepostrzeżenie krok po kroku oddalał się od Zbawiciela, mając do Niego coraz mniej zaufania. Piotr nawet nie zdawał sobie z tego sprawy aż do momentu, kiedy wyparł się Nauczyciela. Diabeł zawsze działa w ten sposób. Wcale nie żąda, byśmy rzucili się z wysokiej skały. On wie, że zauważylibyśmy niebezpieczeństwo i zwrócili się o pomoc do Jezusa. Odciąga nas

od wiary stopniowo, niewinnymi z pozoru i małymi krokami, tak iż nawet sobie tego nie uświadamiamy.

Jezus patrzył na Piotra z miłością, rozczarowaniem i smutkiem. Jeżeli kiedykolwiek potrzebował wsparcia ze strony przyjaciela, to właśnie wtedy. Jeżeli kiedykolwiek potrzebował zapewnienia, że uczniowie są wciąż z Nim, że są po Jego stronie, był to najwłaściwszy moment. Największy ból podczas tamtej nocy Zbawiciel odczuł wtedy, gdy Jego najbliżsi przyjaciele wyparli się Go.

Gdy Piotr napotkał wzrok Zbawiciela, ogarnęła go fala wspomnień. Przypomniawszy sobie, jak Pan powołał go do służby nad jeziorem, wypowiadał słowa: „Uczynię was rybakami ludzi”. Piotr przypomniawszy sobie noc na jeziorze, kiedy omal nie utonął wskutek swej zarozumiałości, ale Zbawiciel wyciągnął swą dłoń i uratował go. Wspomniawszy, jak Nauczyciel przyszedł mu z pomocą, gdy powstało zamieszanie wokół podatku świątynnego. Przypomniawszy sobie, że jeszcze kilka godzin temu, Pan umył jego stopy, cierpliwie wyjaśniając, dlaczego nie powinien przeciwko temu protestować. Wspomniawszy również na słowa Jezusa: „Szymonie, Szymonie, oto szatan wyprosił sobie, żeby was przesiać, jak pszenicę. Ja zaś prosiłem za tobą” (zob. Łk 22,31-32).

I kiedy Piotr zobaczył bladą, cierpiącą twarz Mistrza, nie mógł tego znieść. Odwrócił wzrok, wybiegł z dziedzińca i pomknął ciemnymi ulicami Jerozolimy. Dotarł do Złotej Bramy, zbiegł ze wzgórza i przeprawił się przez potok Cedron. Następnie wspiął się po zboczu góry i od drugiej strony wszedł do ogrodu Getsemane. Błądził po omacku, póki nie odnalazł miejsca, w którym Jezus się modlił i wołał,

i na które padły krople Jego krwi i potu. Piotr upadł twarzą do ziemi, pragnąc śmierci. Wiedział, że tej nocy zadał Zbawicielowi ból straszniejszy niż ten, który zadali Mu oprawcy. I świadomość tego paliła go do żywego.

Po nocy spędzonej w ogrodzie Piotr nie był już tym samym człowiekiem. Kryzys sprawił, że w jego życiu dokonał się przełom. Miłość i przebaczenie Jezusa dodały mu nadziei; dały mu siłę, by w przyszłości z przekonaniem i pewnością mówić o dobrej nowinie, o tym, co Jezus pragnie uczynić nawet dla swego najsłabszego dziecka.

Tej nocy również ktoś inny pragnął umrzeć i w rzeczy samej zginął, popełniając samobójstwo. Na imię miał Judasz. Najprawdopodobniej był najzdolniejszym z dwunastu uczniów Jezusa. On jeden rozumiał, jakie królestwo Mistrz zamierza ustanowić na ziemi. Nie podobało mu się to i próbował wszystkiego, by odwieść Go od tego zamiaru; podjął desperacką próbę nakłonienia Chrystusa do realizacji jego własnego planu. Gdy Jezus nakarmił wielką rzeszę ludzi, Judasz wręcz usiłował zmusić Jezusa do ustanowienia ziemskiego królestwa. Tej nocy jeszcze raz próbował siłą osadzić Nauczyciela na tronie. Czy kiedykolwiek walczyłeś o to, aby posadzić Jezusa na tronie w twoim życiu?

Judasz uknuł mistrzowski plan, który zakładał znacznie więcej niż zdobycie nagrody, trzydziestu sztuk srebra od przywódców żydowskich. Jego prawdziwym celem było zmuszenie Jezusa do ustanowienia ziemskiego królestwa, doprowadzenie do sytuacji, w której Mistrz będzie musiał wynieść samego siebie na tron. Myślał, że jeżeli wyda Jezusa w ręce

przywódców religijnych, stanie On przed koniecznością uczynienia cudu, ratując się w ten sposób od śmierci; to zaś niechybnie doprowadzi do założenia królestwa Jezusa jako nowego Mesjasza. Judasz był pewien, że swymi sprytnymi metodami postępowania zdobędzie uznanie i Jezus mianuje go premierem w swoim królestwie.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem aż do momentu, gdy zdradził Jezusa pocałunkiem. Wtedy powiedział do kapłanów i przedstawicieli władzy: „Bierzcie Go”. Był absolutnie przekonany, że Jezus rzuci swych wrogów na kolana, uwolni samego siebie i uczniów, a potem zasiądzie na tronie w Izraelu.

Ale stało się inaczej i Judasz z pewnej odległości obserwował, jak Jezus był prowadzony niczym baranek na rzeź. Widział, jak związano ręce Mistrza, a później szydzono z Niego podczas rozprawy przed Kajfaszem. Gdy sąd nad Jezusem dobiegał końca, Judasza ogarnęło przerażenie, że wydał swego Nauczyciela na śmierć.

Wtedy zdarzyło się coś niezwykle dramatycznego, czego Judasz nie mógł znieść. Scena ta została opisana w książce E.G. White pt. *Życie Jezusa*:

„W pewnej chwili odezwał się z sali ochryply głos wzbudzający dreszcz grozy we wszystkich sercach:

— On jest niewinny; oszczędź go, Kajfaszu!

Można było dostrzec wysoką sylwetkę Judasza przeciskającą się wśród zaskoczonego tłumu. Jego twarz była blada i posępna, a na czoło wystąpił kroplisty pot. Rzucając się pośpiesznie w stronę tronu sędziowskiego, cisnął przed najwyższym kapłanem srebrniki — cenę zdrady Pana. Czepiając się szat Kaj-

fasza błagał żarliwie, aby uwolnił Jezusa, zapewniając, że nie uczynił On niczego, co by mogło posłużyć za powód do skazania na śmierć. (...) — Zgrzeszyłem wydawszy krew niewinną! — wołał Judasz” (wyd. pol. Warszawa 1983, s. 570).

Potem rzucił się do stóp Jezusa i błagał Go, by się ratował. Ale Mistrz odrzekł tylko: „Dla tej godziny przyszedłem na świat”.

Znacie koniec historii Judasza. Później tłumy podążające na wzgórze Golgoty zatrzymały się na widok leżącego pod drzewem ciała. Zapewne sznur, na którym powiesił się zdrajca, został zerwany.

Po wyznaniu Judasza rozprawa sądowa przed Kajfaszem szybko się zakończyła. Jego przyznanie się do tego, iż zdradził Jezusa, postawiło najwyższego kapłana w niekorzystnym świetle; Kajfaszowi zależało na tym, by uniknąć pytających spojrzeń i zakłopotania.

Nastał już wczesny poranek, więc oskarżyciele musieli szybko działać, aby osiągnąć to, co zamierzali. Był piątek — początek Paschy — zaciętrzenie tłumu, dzięki któremu sprawy zaszły już tak daleko, wyraźnie słabło. Czekanie do zakończenia szabatu spowodowałoby, że znacznie zmniejszyłyby się szanse na skazanie Jezusa.

Toteż sąd nad Chrystusem, odbywający się przed najwyższymi dostojnikami religijnymi narodu wybranego, został szybko zakończony. Kapłani i słudzy Jego własnej świątyni osądzili i potępił swego Stworzyciela. Dziwcie się, o niebiosy i bądź zdumiona ziemi!

JAK POTRAKTOWANO JEZUSA NA SALI SĄDOWEJ U PIŁATA

Prowadzili więc Jezusa od Kajfasza na zamek; a było rano; ale sami nie weszli na zamek, aby się nie skałać, by móc spożyć wieczerzę paschalną” (J 18,28).

Wszechświat był świadkiem jakże zdumiewającej sceny! Przed ziemskim sądem stanął Sędzia całego świata, Stwórca nieba i ziemi, jak również tych, co popychali Go i poszturchiwali, prowadząc na salę rozpraw mieszczącą się na zamku Piłata. To Jezus sprawiał, że biły ich serca nawet wtedy, kiedy Go oskarżali. A On stał w milczeniu, w pełni świadomy tego, że nadejdzie dzień, kiedy ci sami ludzie staną przed Nim — Sędzią wszystkich istot — i wtedy ogłosi im wyrok, który zadecyduje o ich wiecznym losie.

Czy martwiliście się kiedyś tym, co się z wami stanie w dniu Sądu Ostatecznego? A może boicie się tego dnia i odsuwacie nawet myśl o tym wydarzeniu, ponieważ wywołuje w was niepokój? Gdy

oczekujecie na nadchodzący dzień sądu, pamiętajcie o trzech rzeczach.

Po pierwsze, będziecie sądzeni sprawiedliwie. Kiedy Jezusa przyprowadzono na salę rozpraw, stanął w obliczu tego doświadczenia, wiedząc, że nie będzie sądzony sprawiedliwie. Miał świadomość, że ci, którzy Go oskarżyli, szukali pretekstu, aby tylko Go skazać. Co więcej, nie znajdując żadnych podstaw do wydania wyroku, skazali Zbawiciela w oparciu o zeznania fałszywych świadków. Sąd, przed którym Jezus został postawiony, był skorumpowany i zepsuty do szpiku kości. Przecież tak naprawdę Chrystusowi można było zarzucić jedynie bezgrzeszne życie, które wzbudzało wyrzuty sumienia w grzesznych ludziach, dlatego też nikt nie zabrał głosu w Jego obronie.

Kiedy staniecie na Sądzie Ostatecznym, będziecie sądzeni sprawiedliwie. Jak myślicie, czy to dobra, czy też zła nowina? Uważacie się za grzeszników, czy też nie? Gdy zostaniecie postawieni przed sprawiedliwym i doskonałym sądem, który rozstrzygnie, czy byliście, czy nie byliście grzesznikami, jaki według was będzie wyrok? Te pytania powodują — co wcale nie dziwi — że oczekujemy na dzień sądu z obawą i troską. Wszak wiemy, że gdy będziemy sądzeni sprawiedliwie, z pewnością zostaniemy potępieni! Nie mamy nawet cienia szansy na uniewinnienie, jeżeli sąd nad nami będzie odbywał się w oparciu o Boże prawo i Jego normy.

Ale na tym nie koniec! Jest druga rzecz, o której musimy pamiętać, kiedy zastanawiamy się nad dniem sądu. Jezus samotnie stawiał czoła oskarżycielom na sali rozpraw. Nie było nikogo, kto by

Go wspierał i bronił przed postawionymi zarzutami. Prokurator działał z wielką bezwzględnością, natomiast obrona, co może dziwić, była nieobecna.

W dniu Sądu Ostatecznego, kiedy zasiądziemy na ławie oskarżonych, naprzeciwko oskarżyciela zasiądzie obok nas obrońca, Orędownik wstawiający się za nami u Ojca — Jezus Chrystus sprawiedliwy. Nie będziemy musieli stać samotnie, gdy wróg skieruje przeciw nam zarzuty. Obok nas stanie przychylny nam Jezus, który nie tylko był tak samo jak my kuszony, ale przeciwko któremu również odbyła się rozprawa zakończona wyrokiem skazującym. On też poniósł karę, na którą nie zasłużył; stało się tak, by mógł zrzec się własnej sprawiedliwości na naszą korzyść, abyśmy my mogli zostać uniewinnieni, na co właściwie tylko On w pełni zasługiwał. Zbawiciel stanął przed sądem dla naszego dobra. Dla naszego dobra został skazany. I dla naszego dobra został ukarany.

Oczywiście ostatnią, trzecią rzeczą, o której winniśmy pamiętać, rozmyślając o nadchodzącym dniu sądu, jest fakt, że ten sam Jezus — nasz obrońca, który ze względu na nas stanął przed sądem i został ukarany — będzie również naszym Sędzią. Cóż więcej mógł jeszcze uczynić, by zapewnić nam najlepszą możliwość uzyskania przebaczenia?

Ale dla Niego samego, kiedy tamtego dnia stanął przed Piłatem, nie było nadziei na przebaczenie, miłosierdzie i sprawiedliwość. Przywódcy żydowscy, którzy przywlekli Go na zamek, sami nawet nie weszli na salę rozpraw. Chcieli zachować rytualną czystość ze względu na zbliżającą się Paschę, święto, które wskazywało na ofiarę Chrystusa złożoną

za ich grzechy. Nalegali, żeby Jezus został skazany na śmierć przez rzymski sąd, bowiem chcieli zdążyć do domu przed nastaniem paschalnego weekendu. Grzech dziwnie wpływa na ludzki osąd, prawda?

„Wtedy wyszedł do nich Piłat i rzekł: Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi? Odpowiedzieli mu, mówiąc: Gdyby ten nie był złoczyńcą, nie wydałibyśmy go tobie”. Co chcieli przez to powiedzieć?

— Nie pytaj się nas! My jesteśmy przełożonymi. Jesteśmy przywódcami narodu żydowskiego. Czy nie wiesz, z kim rozmawiasz?

„I rzekł im Piłat: Weźcie go i osądźcie go według waszego zakonu”.

Innymi słowy:

— Jeżeli wy jesteście przełożonymi, dlaczego przyprowadziliście go do mnie?

„Rzekli mu Żydzi: Nam nie wolno nikogo zabijać; aby się wypełniło słowo Jezusa, które wypowiedział, zaznaczając, jaką śmiercią miał umrzeć. Wtedy znowu wszedł Piłat do zamku i zawołał Jezusa, mówiąc do niego: Czy ty jesteś królem żydowskim? Odpowiedział Jezus: Czy sam od siebie to mówisz, czy inni powiedzieli ci o mnie? Odpowiedział Piłat: Czy ja jestem Żydem? Naród twój i arcykapłani wydali mi ciebie; co uczyniłeś? Odpowiedział Jezus: Królestwo moje nie jest z tego świata, gdyby z tego świata było Królestwo moje, słudzy moi walczyliby, abym nie był wydany Żydom; bo właśnie Królestwo moje nie jest stąd” (J 18,29-36).

Zwróćmy szczególną uwagę na jedno zdanie: „Królestwo moje nie jest z tego świata, gdyby z tego świata było Królestwo moje, słudzy moi walczyliby, abym nie był wydany Żydom”. Judasz postanowił siłą

osadzić Jezusa na tronie. Walczył o to, by Pan został Królem. Taki był jego sposób działania i wierzył, że tylko w ten sposób może zrealizować swoje zamierzenia. Sądził, że nie należy szczędzić wysiłków, by urzeczywistnić ten plan. Nie chciał czekać, aż Bóg zacznie działać. Pragnął sam działać.

Ale Jezus powiada: „Królestwo moje nie jest z tego świata; gdyby było z tego świata, wtedy służyłby moi walczyliby”. Ponieważ Jego Królestwo nie było stąd, Jego służy nie mogli o nie walczyć. Być może my również nie powinniśmy toczyć walki o to, by odnieść zwycięstwo w Królestwie duchowym.

Gdy prześledzicie występowanie słowa „królestwo” w Ewangelii, odkryjecie, że Jezus używał go, mając na myśli zarówno królestwo łaski, jak i królestwo chwały. Wielokrotnie posługiwał się wyrazem „królestwo” lub wyrażeniem „królestwo niebios”. Często Jego przypowieści zaczynały się od słów: „Królestwo Niebios podobne jest do...”.

Królestwo łaski oznacza zarówno moc, jak i przebaczenie Boga. Ale o żaden z tych dwóch darów służy Pana nie powinni walczyć. Nie jesteśmy w stanie zapracować lub zasłużyć sobie na niebo, ani walczyć o zwycięstwo, posłuszeństwo i przezwyciężenie złych skłonności. Gdyby Królestwo Jezusa było z tego świata, wtedy Jego służy walczyliby o to z grzechem i szatanem. Ale Jezus powiedział: „Królestwo moje nie jest z tego świata”.

Błogosławieństwa Królestwa Niebieskiego dostajemy w prezencie. Przebaczenie jest darem. Żal za grzechy jest darem. Zwycięstwo jest darem. Posłuszeństwo jest darem. Nie walczymy przecież o coś, co otrzymaliśmy w prezencie.

Piotr tego nie rozumiał. Najpierw chwycił za miecz, by przekonać się, że nie tędy droga. Wtedy uciekł od Jezusa. Później widzimy, jak leży twarzą do ziemi, pragnąc śmierci. Judasz również tego nie rozumiał i dlatego powiesił się, a jego zwłoki leżały pod drzewem przy drodze prowadzącej na Golgotę. Tej prostej prawdy nie pojął również Piłat. Wolał dać posłuch krzykom tłumu niż cichym słowom Jezusa, oferującego mu dar Królestwa, w którym nie trzeba walczyć o błogosławieństwa. Piłat nie chciał podjąć bolesnej dlań decyzji, odesłał więc Jezusa do Heroda, aby zrzucić na niego całą odpowiedzialność. Herod również nie pojął natury Chrystusowego Królestwa.

Kiedy ujrzał Jezusa, „bardzo się ucieszył, gdyż od dłuższego już czasu pragnął go zobaczyć, ponieważ słyszał o Nim i spodziewał się ujrzeć jakiś cud przez Niego dokonany. Wypytywał go więc wieloma słowami, lecz Ten nic mu nie odpowiedział”. Jezus nie powiedział do Heroda ani jednego słowa. „A byli przy tym obecni arcykapłani i uczeni w Piśmie, gwałtownie go oskarżając. Wtedy Herod z żołnierzstwem swoim sponiewierał go i wydrwił, kazał go przybrać we wspaniałą szatę i odesłał z powrotem do Piłata” (Łk 23,8-11).

Gdy pierwszy raz przeczytałam tę historię, byłem zadowolony. Przecież Herod kazał zabić Jana Chrzciciela — podczas pijackiej biesiady nierozważnie przysiągł Salome, że spełni każdą jej zachciankę. Dlatego przez długi czas wydawało mi się, że nawet chrześcijanin powinien być zadowolony, widząc, jak chłodno Jezus potraktował Heroda! Kiedyś tak myślałem. W taki właśnie sposób należało go potraktować, Boże! Dobrze mu tak! Został zignorowany,

Jezus uderzył mu nosa, odpłacił pięknym za nadobne. Cieszyłem się, że tak potraktowany przez Jezusa Herod, doznał największej zniewagi w swoim życiu.

Ale później zrozumiałem, że Jezus nie postąpił w ten sposób. Przyszedł na ziemię, aby oddać życie za Heroda i za każdego z nas. Chrystus z pewnością nie patrzył na Heroda z posępną twarzą, chcąc wyrównać z nim porachunki. Wręcz przeciwnie, drżała Mu broda, gdy w milczeniu ronił łzy. Jeszcze jedna cudownie stworzona przez Niego istota odrzuciła Go. Z bólem w sercu Jezus zaakceptował decyzję, którą podjął Herod.

Jak to się stało, że Herod wystąpił przeciwko Chrystusowi? Odrzucił ducha proroctwa! (Jak wam się to podoba? Nie spodziewaliście się tego, prawda? Ale tak właśnie było). Jan Chrzciciel był jednym z największych proroków. W rzeczywistości, jak głosi Ewangelia, był nawet kimś więcej niż tylko prorokiem, był posłańcem Bożym. Historia o Herodzie uczy nas, że jeżeli ktoś jest wrogo nastawiony do Bożego posłańca i proroków, staje się również wrogiem Jezusa. Jedno idzie zawsze w parze z drugim.

„Jeśli Mojżesza i proroków nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, też nie uwierzą” (Łk 16,31). Herod zlekceważył przekazaną mu przez proroka prawdę i nie usłyszał już innego poselstwa. Jezus pogodził się z decyzją Heroda, ponieważ nie było sposobu, aby poruszyć jego serce.

Rozgniewany i upokorzony Herod odesłał Go znowu do Piłata. Zapoznajmy się z dalszym ciągiem tej historii, zapisanej w dwudziestym siódmym rozdziale Ewangelii Mateusza. Tym razem na scenę

wkroczyła żona Piłata. „A gdy on siedział na krześle sędziowskim, posłała do niego żona jego i kazała mu powiedzieć: Nie wdawaj się z tym sprawiedliwym, bo dzisiaj we śnie przez niego wiele wycierpiałam” (Mt 27,19).

Cofnijmy się o kilka tygodni, a może nawet miesięcy. Piłat wraz z żoną spożywał wtedy śniadanie. Właśnie jadł bułeczki, popijając je kawą, gdy żona podała mu poranną gazetę „Dziennik Jerozolimski”. Zwróciła jego uwagę na nagłówki i doniesienia mówiące o Jezusie z Nazaretu. Musiała zapewne słyszeć o Jezusie i zanim Go zobaczyła podczas przesłuchania na zamku, poczuła do Niego sympatię. Dlaczego? Prawdopodobnie szukała prawdy.

Należała do tego rodzaju ludzi, z którymi mógł rozmawiać Bóg. I stąd ten burzący jej spokój sen. Zobaczyła w nim Zbawiciela przesłuchiwanego na zamku. Zauważyła, że mąż Go nie uwolnił, chociaż powinien był tak uczynić. Widziała krzyż na Golgocie i krwawiące ciało Chrystusa rozciągnięte pomiędzy niebem a ziemią. Usłyszała Jego wołanie: „Wykonało się”. Potem ujrzała w widzeniu jeszcze bardziej odległą przyszłość — czas, kiedy Chrystus powróci na ziemię w potędze i majestacie. Wtedy obudziła się natychmiast i posłała mężowi pilną wiadomość, w której ostrzegła go przed popełnieniem błędu.

Piłat, w milczeniu i z bolącym sercem, wyszedł przed zgromadzony tłum, pragnąc znaleźć jakiś sposób, by uwolnić Jezusa, a zarazem zadowolić rozgniewanych ludzi. W końcu jednak ustąpił, aby zyskać aprobatę tłuszczy. Możemy przeczytać o tym, wracając ponownie do osiemnastego rozdziału Ewangelii Jana. Piłat rozpaczliwie próbuje użyć wobec

tłumu i jego przywódców podstęp. Powiada: „Utarł się u was zwyczaj, aby wam wypuszczać na Paschę jednego; chcecie więc, abym wam wypuścił króla żydowskiego? Zawołali znowu wszyscy: Nie tego, ale Barabasa. A ten Barabas był zabójcą” (J 18,39-40).

Fulton Oursler w swej książce *The Greatest Story Ever Told* opisuje postać Barabasa — zeloty, fanatycznego skrytobójcy, który sztyletował okupantów rzymskich, walcząc w ten sposób z cesarstwem. Był dobrze znanym złodziejem i rozbójnikiem. Przywódcy religijni woleli, żeby został uwolniony Barabas, wybrali więc bezprawie i zło. Opowiadając się za jego uwolnieniem, opowiedzieli się za człowiekiem łamiącym prawo. Gdyby wybrali Jezusa, okazaliby szacunek dla Bożego prawa, posłuszeństwo Jego przykazaniom, i tym samym zerwaliby z grzechem.

Jakże subtelnie kwestia ta została postawiona we współczesnym Kościele. I my również musimy wybrać między Chrystusem a Barabaszem. Którego wybierzemy w swym życiu?

Czy zdecydujemy się na życie w ścisłej łączności z Jezusem, uznając to za jedyny sposób otrzymania Jego darów: przebaczenia i zwycięstwa? A może wybierzemy Barabasa i toczyć będziemy samotną walkę, zadowalając się zasadą, że niekoniecznie należy przestrzegać prawa?

Naród izraelski dokonał wyboru. Opowiedział się za Barabaszem i nigdy nie zmienił tej decyzji.

„Wówczas żołnierze namiestnika zabrali Jezusa na zamek i zgromadzili wokół niego cały oddział. I zdjęli z niego szaty, i przyodziali go w płaszcz szkarłatny. I uplecioną z ciernia koronę włożyli na jego głowę, a trzcinę dali mu w prawą rękę jego,

i upadając przed nim na kolana, wyśmiewali się z niego i mówili: Bądź pozdrowiony królu żydowski! I plując na niego, wzięli trzcinę i bili go po głowie. A gdy go wyśmiali, zdjęli z niego płaszcz i oblekli go w szaty jego, i odprowadzili go na ukrzyżowanie” (Mt 27,27-31).

Jezus, który jako Stwórca wszechświata mógł natychmiast wezwać na pomoc dziesięć tysięcy aniołów, aby wybawili Go z tej okropnej sytuacji, dla twojego i mojego dobra pozostał uległy aż do końca, do śmierci na krzyżu.

DROGA KRZYŻOWA

Wyobraź sobie, że jesteś Szymonem. Opuściłeś swój rodzinny dom w Afryce Północnej i wyruszyłeś w daleką podróż do Palestyny. Obecnie wraz żoną i dwoma synami, Aleksandrem i Rufusem, mieszkasz gdzieś w okolicach Jerozolimy. Tego szczególnego dnia wracasz z pola wcześnie rano, a więc o dość nietypowej porze. Jak wiadomo, ludzie zamieszkujący tamte tereny przez cały dzień pracują poza murami miasta, uprawiając ziemię. Dopiero po zmierzchu chronią się w bezpiecznych murach miasta. Być może tego właśnie dnia zapomniałeś motyki albo innego, niezbędnego do pracy narzędzia. Wchodzisz w bramy miasta i twoim oczom ukazuje się dziwna procesja.

Widzisz żołnierzy próbujących zapanować nad wzburzonym tłumem, kapłanów i dostojników w długich szatach oraz przeciętnych obywateli. Wszyscy podążają za trzema mężczyznami niosącymi krzyże. Dostrzegasz również dziewięciu młodzieńców idących w pewnej odległości; na ich twarzach maluje się wstyd i smutek.

Przyglądasz się uważnie trzem dźwigającym krzyże skazańcom. Dwaj z nich to złodzieje. Są dobrze zbudowani, muskularni, mają zacięte twarze. Stawiają opór żołnierzom, którzy zmuszają ich,

aby szli dalej. Mają oni dość siły, by nieść nałożony na ich barki ciężar.

Trzeci mężczyzna jest równie potężny jak oni. Przez większość swego życia pracował w warsztacie ciesielskim. Nie korzystał tam z udogodnień, jakimi są narzędzia elektryczne. Jednak wyróżniało Go coś szczególnego. Twoją uwagę przykuł niezwykle wyraz Jego twarzy. Miał posiniaczone i zmaltretowane ciało. W odróżnieniu od dwóch pozostałych skazańców doświadczył okrutnego traktowania. Od wczorajszego dnia nie miał w ustach ani napoju, ani pożywienia. Samotnie zmagął się w ogrodzie Getsemane z władzami ciemności. Stawał już przed sądem nie mniej niż siedem razy, został dwukrotnie ubiczowany, był obrzucany obelgami i maltretowany przez tłum. I teraz Jego ludzka natura nie może dłużej tego wytrzymać. Widzisz, jak pada, mdlejąc pod ciężarem krzyża.

Spośród dziesięciu podążających za Jezusem uczniów, chociaż jeden powinien podejść do Niego w tej krytycznej chwili. Z początkowej dwunastki apostołów brakuje trzech. Zmasakrowane zwłoki jednego leżą u stóp drzewa w pobliżu drogi. Drugi wciąż tkwi w ogrodzie Getsemane z twarzą zwróconą do ziemi. Jego serce wypełnia ból, gdyż zaparł się swego Najlepszego Przyjaciela. Trzeci zaś, ku naszej radości i zaskoczeniu, wkrótce się pojawi.

Dziesięciu wspomnianych wyżej uczniów trzyma się z dala od Jezusa. Są pogrążeni w smutku, pochyłili głowy z powodu swych zawiedzionych nadziei. Odsunęli się na bok. Smucą się, gdyż ich Mistrz cierpi. Nie podchodzą bliżej, czują strach i wstyd. Dlatego żaden z nich nie śpieszy Mu z pomocą.

A ty, Szymonie, stoisz zdumiony i przerażony tym wszystkim. Nie należysz do tych, którzy łatwo się wycofują. Nie dusisz w sobie uczuć. Toteż wykrzykujesz:

— To niewiarygodne! Dlaczego nikt nie pomoże temu człowiekowi?

Żołnierze słyszą te słowa. Już stracili głowę, nie wiedzą, co mają robić. To oczywiste, że Jezus nie da rady dalej nieść krzyża. Ledwo stoi na nogach, nawet nie dźwigając ciężkich belek. Toteż żołnierze z radością skorzystali z nadarzającej się okazji, by siłą włożyć ciężar na twe ramiona.

Być może w pierwszej chwili pożałowałeś, że nie trzymałeś języka za zębami. Ale kiedy bierzesz na swe barki krzyż i przyłączasz się do procesji, dowiadujesz się, kim jest człowiek, któremu okazałeś współczucie. To Jezus, Jezus! Twój synowie Aleksander i Rufus opowiadali ci o Nim. Widzieli Go już przedtem. Słyszeli, jak nauczał. Przyszli do domu i oznajmili ci, iż wierzą, że jest Mesjaszem. Chciałeś nawet zgłębić tę sprawę, ale nigdy nie znalazłeś na to dość czasu. A teraz zostałeś zmuszony siłą, aby nieść Jego krzyż.

Chciałbym w tym miejscu przerwać na chwilę to opowiadanie, by zapytać, czy ktokolwiek zmuszał was kiedyś do niesienia Jego krzyża. Może należycie do drugiego lub trzeciego pokolenia wyznawców naszego Kościoła i byliście przymuszani do tego przez rodziców czy dziadków? A może jesteście młodymi ludźmi, wychowanymi w chrześcijańskim domu, którym dzisiaj każe się nieść krzyż, lub nauczycielami, pastorami czy innymi pracownikami Kościoła, którzy muszą dźwigać ten ciężar, aby

utrzymać swą posadę? Zapewniam was, że nie ma w tym nic złego. Proszę, zwróćcie uwagę na dobrodziejstwa, jakie stały się udziałem Szymona. Będzie o nich mowa w dalszej części naszej historii.

Tak więc niesiesz krzyż, idąc pod górę na Golgotę. Przyglądasz się osobom znajdującym się w tłumie. Kapłani i dostojnicy wraz z ludźmi należącymi do najuboższych warstw społeczeństwa rzucają w twarz Jezusa obelgi i szyderstwa. Oni również, jak cały tłum, gwiżdżą i pokrzykują. Żołnierze z batogami i mieczami wciąż usiłują utrzymać w ryzach idącą drogą procesję. Jeden z nich często zwraca w stronę Jezusa zatroskaną twarz.

W tłumie znajdują się przede wszystkim osoby żadne wrażeń, niezależnie od tego, jakie jest ich źródło. Są to ludzie, którzy jednego dnia przyłączają się do triumfalnej procesji, krzycząc: „Hosanna Królowi!” — a następnego dołączają do grupy wołającej: „Ukrzyżuj Go!”. Robią tak, ponieważ cieszy się to popularnością. Naśladują tłum we wszystkim, co ten czyni. Nie myślą samodzielnie, ale idą za tymi głosami, które krzyczą w danym momencie najgłośniej. Niektórzy z tej gromady zostali przez Jezusa uzdrowieni, co dowodzi, że trzeba czegoś więcej niż zwykłego cudu, aby człowiek uwierzył Bogu. Wielu z nich przyprowadziło swych najbliższych do Jezusa i otrzymało od Niego pomoc, której nigdy nikomu nie odmawiał. Ale teraz miesza się z tłumem, nie odróżnia się od otoczenia.

Procesja zatrzymuje się. W pobliżu znajduje się grupa niezwykle wrażliwych kobiet. W sposób niewymuszony płaczą nad bólem i smutkiem Jezusa. Wydaje się, że są one jedynymi osobami, które zauważa skazaniec. Zatrzymuje się i rozmawia z nimi.

Chciałbym mieć pewność, że chociaż te kobiety były jedynymi prawdziwymi wyznawczyniami Jezusa, że zaakceptowały Go jako Mesjasza i płakały nad Nim — swym Panem i Zbawicielem. Wszystko jednak wskazuje na to, że płakały one z emocji pod wpływem chwili. Nasz system nerwowy często reaguje w ten właśnie sposób na pewne zewnętrzne bodźce. Wtedy natychmiast do oczu napływają łzy i równie szybko przestają płynąć; nie wywiera to na nas większego wpływu. Prawdopodobnie dlatego Jezus powiedział do niewiast: „Nie płaczcie nade mną, lecz płaczcie nad sobą i dziećmi swoimi”. W tej pełnej wzruszenia chwili próbuje wskazać im to, co jest najistotniejsze.

Nagle pojawia się trzeci, nieobecny do tej pory uczeń. To Jan, który zawsze był blisko Jezusa. Nawet w tak krytycznej chwili nie porzucił on swego Mistrza. Pomaga Marii — matce Jezusa przetrwać tę trudną sytuację. Z pewnością nie zawahałby się ponieść krzyża Chrystusa, ale w tej chwili opiekuje się matką Nauczyciela. Maria wraz Janem podchodzi do swego Syna jak tylko może najbliżej.

Przez dłuższą chwilę patrzysz na matkę Jezusa. Po jej twarzy płyną łzy. Wspiera się na ramieniu Jana i podąża śladami swego umiłowanego Syna. Być może wspomina, jak jej ośmioletnie dziecko brało pod pachę zwój pergaminu i wczesnym rankiem szło w stronę wzgórz, by z dala od zgiełku spędzać czas na wspólnej rozmowie z Ojcem. A może przypomina sobie ten dzień, kiedy Jezus zamknął warsztat ciesielski, ucałował ją na pożegnanie i wyruszył w swą niezwykłą misję. Możliwe też, że z bolejącym sercem wspomina Jego słowa, w których przepowie-

dział dziejące się obecnie wydarzenia. W jej uszach raz jeszcze brzmią słowa wypowiedziane w świątyni przez Symeona: „Oto ten przeznaczony jest, aby przezeń upadło i powstało wielu w Izraelu; tak, że twoją własną duszę przeniknie miecz” (Łk 2,34-35). Nawet i teraz ten miecz tnie i rani.

Ale przez całą drogę najżarliwiej przyglądasz się Temu, którego krzyż niesiesz. Serce masz rozdarte, widząc, jak Jezus, cierpiąc męki, idzie pochylony, z wielkim trudem, a z Jego poranionego ciała nieustannie płynie krew. Mimo to na Jego twarzy maluje się spokój i akceptacja. Zauważasz też, że idąc drogą na miejsce kaźni, ze spokojem znosi swój okrutny los.

Złoczyńcy buntują się, próbują ucieczki. Żołnierze muszą cały czas mieć na nich oko. Ale Ten, którego krzyż niesiesz, jest inny. Nie opiera się, idzie bez oporu, chociaż każdy krok sprawia Mu ogromny ból. Gdy tak patrzysz i zastanawiasz się, procesja dociera w końcu na miejsce kaźni.

Żołnierze rzymscy używają siły, by zmusić skazańców do położenia się na belkach. Natomiast Jezus pokornie podporządkowuje się ich rozkazom; kładzie się na krzyżu i rozciąga swoje ręce, oni zaś przynoszą gwoździe i młotek. Słyszysz szloch Jego matki, przekleństwa złoczyńców i żołnierzy oraz obelgi miotane przez tłum gapiów. I wtedy Jezus otwiera usta, by coś powiedzieć. Pochylasz się i słyszysz, jak mówi: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”. Nagle twoje serce przenika miłość do tego Człowieka. I wołasz:

— Ojcze, przebacz i mnie również. Przebacz, że tak długo zwlekałem. Przebacz odkładanie decyzji,

by dowiedzieć się czegoś więcej o tym Człowieku. Przebacz i to, że wątpiłem, kiedy synowie powiedzieli mi o Jezusie. I przebacz, że z wielką niechęcią niosłem Jego krzyż.

I gdy patrzysz przez łzy na Chrystusa, który leży rozciągnięty na krzyżu, wtedy słyszysz Jego słowa:

— Dziękuję ci, Szymonie. Dziękuję za to, że niosłeś mój krzyż.

Wtedy znowu na Niego spoglądasz i mówisz:

— Dziękuję Ci, dziękuję, Panie.

* * *

W dużym skrócie zobaczyliście, jak Jezus traktował ludzi. Mogliście również przyjrzeć się temu, jak ludzie traktowali Jezusa. Teraz stoicie przed wyborem: albo przyłączycie się do żołnierzy, przybijających Jezusa do krzyża i tym samym ukrzyżujecie Go na nowo, albo zdecydujecie się nieść Jego krzyż. Istnieją tylko te dwie możliwości, a wybór należy do was.

ŻYCIE^{ma}SENS.PL

Strona dla KAŻDEGO

SZUKASZ INSPIRACJI?

ŻYCIE^{ma}SENS.PL





TELEWIZYJNE STUDIUM PISMA ŚWIĘTEGO

program publicystyczny
chrześcijańskiej telewizji Hope Channel

- ⌚ POLSKA WERSJA JĘZYKOWA
- ⌚ INTERAKCYJNE ROZWAŻANIA ZAGADNIEŃ BIBLIJNYCH
- ⌚ PONAD MILION WIDZÓW ZE STU PIĘĆDZIESIĘCIU KRAJÓW
- ⌚ CO TYDZIEŃ NOWY ODCINEK!



Prowadzący **Derek Morris** to międzynarodowy mówca chrześcijański, prezenter TV, redaktor miesięcznika dla duchownych „Ministry” oraz prezes ogólnosiwiatowej adwentystycznej sieci telewizyjnej Hope Channel.

WWW.LEKCJEBIBLIJNE.TV



Kursy biblijne dla Ciebie!

*Dołącz do tysięcy osób
zadowolonych z naszej oferty!*

Edukujemy od 1973 roku!

- **„Odkrycia”**. Kurs ten wprowadza w świat odkryć wielu ciekawych zagadnień biblijnych oraz praktycznych zasad codziennego życia.
- **„Start w życie”**. Szukasz recepty na satysfakcjonującą przyszłość? Gdy czujesz się nieco zagubiony, kurs ten wskaże ci cel i kierunek życia.
- **„Zdrowie i rodzina”**. Poznasz zasady dbania o zdrowie ciała, umysłu i ducha, które leżą u podstaw radości i szczęścia każdego człowieka oraz całych rodzin.
- **„Studium proroctwa — Apokalipsa”**. Apokalipsa Jana to niezwykle ciekawa, a zarazem tajemnicza księga Nowego Testamentu opisująca czasy ostateczne. Kurs pomaga lepiej zrozumieć jej główne idee i ważne przesłanie dla współczesnego pokolenia.

Wszystkie kursy są bezpłatne i niezobowiązujące!

Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem:

Korespondencyjna Szkoła Biblijna

skr. poczt. 283

43-300 Bielsko-Biała

tel. (+48) 508-252-552

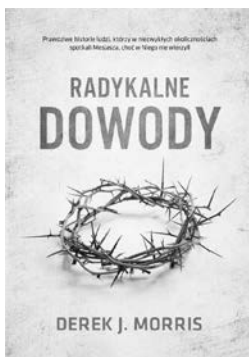
e-mail: biuro@kursybiblijne.pl

www.kursybiblijne.pl

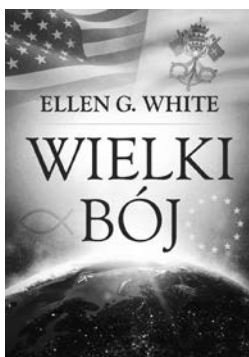
Wydawnictwo „Znaki Czasu” poleca



Książka w oparciu o historyczny opis wydarzeń zawarty w Ewangeliach przedstawia ziemskie losy Jezusa z Nazaretu. Autorka z nieprzeciętną sprawnością ukazuje, czasami zdumiewająco, a czasami wstrząsająco, dzieło Chrystusa jako Zbawiciela świata. Czyni to po mistrzowsku, w sposób plastyczny i wielowątkowy. Wszystko to zaś umieszcza na tle ówczesnych realiów panujących na Bliskim Wschodzie. Bogato ilustrowana. Stron 626.



„Jaka jest prawda o Jezusie? Czy był kimś więcej niż cieślą z Nazaretu? Kimś więcej niż kolejnym wielkim nauczycielem? Zbadaj *Radykalne dowody* osobiście!” (Josh McDowell, chrześcijański mówca, pisarz i międzynarodowy ewangelista, autor światowego bestsellera *Więcej niż cieśla*). Stron 88.

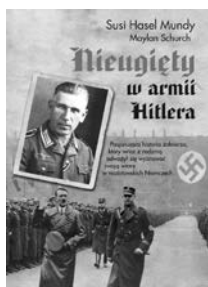


Książka ta budzi kontrowersje, wprawia w zachwyt, przynosi ulgę. Odstania kulisy duchowego konfliktu, w centrum którego wszyscy się znajdujemy. Dzieło napisane z punktu widzenia religijnej filozofii dziejów. Odstania kurtynę niewidzialnego, duchowego świata, w tym tajemnice przeszłości i przyszłości. Książka ukazuje także wiele zawiłych wydarzeń z historii chrześcijaństwa. Porusza prorocze przepowiednie Pisma Świętego dotyczące czasów końca. Stron 451.

Wydawnictwo „Znaki Czasu” poleca



Autentyczna i elektryzująca historia nastolatka Karola, syna nowojorskiego mafiosa. Doznana przez Karola moralna metamorfoza na zawsze radykalnie zmienia bieg spraw rodzinnych i jego życia. Stron 128.



Autentyczna opowieść o niemieckiej rodzinie, która w czasach II wojny światowej postanowiła pozostać wierna swym religijnym przekonaniom, bez względu na grożące jej za to konsekwencje. Stron 240.



Książka powstała na podstawie wspomnień Sabura Arakakiego dotyczących krwawych walk z Amerykanami, w których brał udział jako członek japońskiego ruchu oporu. To przejmujący opis wojny widzianej oczami młodego człowieka. Po ostatecznej kapitulacji wyspy Saipan Arakaki zostaje skazany na śmierć przez amerykański sąd wojskowy. Ułaskawiony w 1954 roku przez prezydenta Eisenhowera wraca do Japonii, gdzie zostaje... pastorem adwentystycznym. Patrząc wstecz na swoje długie i pełne niezwykłych wydarzeń życie, Arakaki wspomina okupację Saipanu i zastanawia się nad swoim ocaleniem. Stron 216.

Zamówienia na publikację prosimy kierować pod adresem:
Dział Handlowy Wydawnictwa „Znaki Czasu”
ul. Foksal 8/3, 00-366 Warszawa, tel. 22-331-98-00
e-mail: kontakt@znakiczasu.pl
księgarnia internetowa: sklep.znakiczasu.pl